

MIECZYSLAW OLBROMSKI



**SOPOT
SHOW**

WYDAWNICTWO MORSKIE 1976

Zawsze fascynowało mnie to ogromne zainteresowanie festiwalem piosenki w Sopocie, owa euforyczna gorączka festiwalowa, to ogólne podekscytowanie zarówno stałych mieszkańców Trójmiasta, wczasowiczów spędzających tu urlop, jak i tłumu nadprogramowych gości przybyłych do Sopotu na te kilka dni sierpnia specjalnie na festiwal i choć żadnemu z nich nie udało się kupić biletu wstępu do Opery Leśnej (na długo przed rozpoczęciem festiwalu rozproszonych już według tajemnego klucza wśród stałych bywalców ■■■ tak przynajmniej głosi wszechwiedząca i wszechogarniająca plotka), to jednak wydaje się, że sam fakt obcowania w bezpośredniej bliskości z gwiazdami i gwiazdeczkami festiwalu satysfakcjonuje ich zupełnie; fascynował mnie zawsze ów niepowtarzalny obyczaj związany z festiwalem, to pełne napięcia oczekiwanie na jakieś wielkie wydarzenie, które wstrząsnęłoby (zachwyciło lub zmroziło grozą) niestrudzonymi widzami, szczególnie zapelniającymi co wieczór amfiteatr Opery Leśnej, i tymi nieprzelicznymi rzeszami ślęczącymi przy telewizorach i radioodbiornikach, a także owymi łowcami sensacji i autografów, uganiającymi się ulicami Sopotu i atakującymi bez pardonu nie tylko samych czmychających przed nimi estradowców, ale każdego, kto z jakiegokolwiek powodu nosi znaczek uczestnika festiwalu.

W tym roku sensacja, i to wielkiego kalibru, wisi na włosku. Bo oto młodziutka i śliczna piosenkareczka, o dźwięcznym imieniu (a może pseudonimie) Sylwia, bożyszczce tłumów, która już od pewnego czasu kroczy triumfalnie przez estrady, wspinając się błyskawicznie po stromej drabinie kariery i sukcesu, i która — według wiarygodnych, powtarzanych na ucho wiadomości — bez większego trudu (w dodatku już podczas inauguracyjnego koncertu Festiwalu) zaćmi wszystkie renomowane gwiazdy i gwiazdorów piosenki zarówno krajowego, jak i zagranicznego chowu, ta młodziutka i śliczna piosenkareczka dzisiaj przed południem sprawiła ogromny zawód swym zwolennikom — nie zjawiała się na przewidzianą planem i zapowiadaną wczoraj wieczorem próbę w Operze Leśnej, gdzie się stawiło na długo przed rozpoczęciem próby kilka tysięcy jej zagorzałych wielbicieli, korzystając z tego, iż na próbę wstęp do Opery Leśnej jest wolny. Niestety, po kilku godzinach oczekiwania i wysłuchaniu wstępnych produkcji konkurentek Sylwii wielu jej zwolenników opuściło amfiteatr z przeczcuciami jak najgorszymi, podawanymi sobie nieśmiało na ucho, tak że już w południe krążyły po Sopocie nieprawdopodobne wieści, jedna straszniejsza od drugiej, a wszystkie oczywiście dotyczyły tajemniczego zniknięcia Sylwii.

Dotarły wreszcie i do początkującego dziennikarza, akredytowanego przy Festiwalu, nazwijmy go Tumidaj, który na własną rękę postanowił sprawdzić prawdziwość owych sensacyjnych plotek. W tym celu opuścił miejsce w pierwszym rzędzie amfiteatru, gdzie siedział pośród innych dziennikarzy, obserwując z uwagą (jak przystało na nowi-

cjusza) to, co się dzieje na estradzie, i udał się za kulisy, do bufetu. Było tutaj jak zwykle sporo podtatusiałych amantów i podstarzałych piękności oraz kilka młodych, ładnych dziewcząt, jakie zazwyczaj kręcą się przy obsłudze telewizyjno-filmowej i stanowią otoczkę idoli młodzieżowej piosenki.

— Jeszcze jeden początkujący dziennikarz przyjechał zemścić się na festiwalu, niedługo będzie ich więcej niż publiczności — powiedział Reżyser do otaczającego go rozbawionego tłumku i zaśmiał się nadspodziewanie cienko, chichotliwie.

Tumidaj czuł się trochę głupio wśród znanych artystów, ale na szczęście po skończonej próbie zjawiała się Gwiazda Numer Jeden i od razu cała uwaga została zwrócona na nią. Natychmiast stała się ośrodkiem zainteresowania tego mikroświatka: chuda, płaska, już dosyć mocno posunięta w latach, lecz pewnie jeszcze nie przekroczyła pięćdziesiątki.

Reżyser, czujny jak zwykle, dostrzegł ją pierwszy i już wołał przez ten roześmiany tłumek:

— Pani Ireno, proszę do nas! Ach, to było wspaniałe! — Podbiegł do niej żwawo na swych krótkich, tłustych nóżkach i z namaszczeniem wycalował ją w policzki. — Zupełnie nie wiem, jak by ten festiwal bez pani wyglądał! — wołał. — Wszyscy to mówią! Nawet pani Halina. — Szybkim, nie znoszącym sprzeciwu ruchem ręki realizatora telewizyjnego, pana i władcy na planie, wskazał na Gwiazdę Numer Dwa, która przesłała swęj konkurentce błady, wymuszony uśmiech i ostentacyjnie przeszła w drugi koniec bufetu, gdzie z wielkim przejęciem zaczęła pałaszować podany jej przez bufetową bigos. Nikt zresztą, poza Tumidajem, nie zwrócił na to uwagi, wszyscy byli już do tego przyzwyczajeni, Gwiazda Numer Dwa słynęła bowiem z obżarstwa.

Piosenkarze i piosenkarki po próbie i przed próbą, dziennikarze, obsługa telewizyjna i radiowa, fotoreporterzy,

a także różnego rodzaju i autoramentu oficjalni i nieoficjalni goście Festiwalu ciasno skupili się wokół Gwiazdy Numer Jeden, tak że Tumidaj widział tylko jej spiczastą brodę sterczącą ponad ich głowami, kiedy wlewała w siebie coca-colę. I jeszcze raz, i jeszcze, i znowu ten zachwyty Reżysera.

Tumidaj musiał mieć smętną minę, gdyż podszedł do niego fotoreporter, szef fotoreporterów akredytowanych przy Festiwalu, gruby, spocony, klepnął go w plecy.

— No, przyjacielu, ruszaj się, no, może bigosu? — Potoczył się do bufetu, po chwili wrócił. Trzymał w olbrzymich dłoniach dwa talerzyki z bigosem i pół bochenka chleba. — Przypalony trochę — szef fotoreporterów jadł łapczywie bigos — co myślisz o tym? — Mnie smakuje — odparł Tumidaj.

— Chodzi mi o tę smarkulę, która nagle zniknęła — powiedział fotoreporter — byłem umówiony z nią na zdjęcia, mówią, że ktoś ją porwał albo nawet zamordował, nic na razie pewnego, ale trzeba mieć oczy i uszy otwarte. — Podszedł do trzech piosenkarek, rozmawiały szeptem, po chwili Tumidaj usłyszał gruby głos fotoreportera: — Niedługo będą go mieć. — Ciągle trzymał talerzyk w olbrzymich dłoniach, teraz zbierał resztki bigosu skórką chleba.

Jedna z piosenkarek znowu coś mówiła, tym razem patrząc na Tumidaję. Fotoreporter dokładnie wytarł talerzyk, odniósł go do bufetu i leniwie zabrał się do robienia zdjęć zza kulis Festiwalu. Tumidaj, mimo niewielkiego doświadczenia dziennikarskiego, wiedział już, że takie zdjęcia są zawsze chodliwym towarem w każdej redakcji.

Fotoreporter, opasy i spocony, kolebał się ciężko na nogach, chodząc wśród podekscytowanego tłumku, od czasu do czasu przyklękał z głośnym sapaniem, aby którejs z ładniejszych piosenkarek zrobić efektowne ujęcie. Potem wrócił do Tumidaję.

— Stoisz jak ciele — powiedział obcesowo. — Po co tu właściwie jesteś?

— Zastanawiam się, gdzie zniknęła Sylwia. Podobno rewelacyjna. Mówią, że to odkrycie Reżysera i że zdobędzie pierwsze miejsce. Chciałbym z nią zrobić wywiad. Ciekawe, gdzie ona się podziewa? Powinna próbować z orkiestrą.

— Czy aby tylko to cię interesuje? — rechoce domyślnie fotoreporter. — Śliczna jest.

— No, jako dziennikarza interesuje mnie wszystko — odpowiada Tumidaj nieco obrażony.

— Tak przypuszczałem. To może zainteresuje cię rozgromienie tej wrzaskliwej grupy? Ona była tam solistką.

— Masz na myśli grupę „Płaczących Gitar”? — Tumidaj udaje, że nie wie, o co chodzi, chce pociągnąć gadatliwego fotoreportera za język.

— Jasne — mówi fotoreporter — to przez nią zespół się rozleciał.

Podszedł do nich Asystent Reżysera, zaaferowany jeszcze bardziej niż sam Reżyser.

— Tylko, panowie, bez żadnych plotek — ostrzegł. — Sylwia znajdzie się w odpowiedniej chwili. Nie zaprzatajcie sobie tym głowy.

— Czym? — zapytuje podchwytliwie Tumidaj — jeśli wolno, oczywiście, wiedzieć?

Asystent Reżysera patrzy na niego bystro. Zmienia temat.

— Ile pan ma lat, co? — uśmiecha się krzywo. Tumidaj milczy. — Chyba jest pan jeszcze straszonym młokosem.

Dziwne, z roku na rok przyjeżdżają na festiwal coraz młodszy przedstawiciele prasy. Dojdzie niedługo do tego, że redakcje będą przysyłać licealistów.

Asystent ujmuje fotoreportera pod rękę, odchodzą rozmawiając, Tumidaj zostaje sam. Odnosi talerzyk z nie dojeżdżonym bigosem do bufetu.

Znowu zaczyna grać orkiestra, koniec przerwy w próbach. Słychać kolejną piosenkarkę. Tumidaj, w braku lepszego zajęcia, wychodzi zza kulis, idzie do amfiteatru, siada na swoim miejscu w pierwszym rzędzie pośród in-

nych dziennikarzy i fotoreporterów. Piąta godzinę już, z małymi przerwami na pobyt w bufecie za kulisami, przygląda się próbie. Nudzi go to. Do rozpoczęcia inauguracyjnego koncertu jeszcze trzy dni. Myśli intensywnie, jak zdobyć rewelacyjny materiał, który by się wyróżniał spośród dziesiątka innych relacji prasowych z Festiwalu i który przyniósłby mu z miejsca rozgłos i uznanie w świecie dziennikarskim, a niczego tak nie pragnie, jak właśnie tego. Jedyna nadzieja w Sylwii, która nagle zniknęła. Tumidaj skrzętnie kolekcjonuje wszelkie plotki. Niektórzy mówią, że ją porwano, aby pozbyć się konkurencji dla Gwiazdy Numer Jeden, inni zaś, że to sprawka lansującego ją Reżysera. Chce wywołać piorunujący efekt, kiedy Sylwia cudem odnaleziona stanie niespodziewanie na estradzie w dniu rozpoczęcia Festiwalu. Tumidaj marzy o czymś mocniejszym i bardziej zaskakującym. Oczywiście tylko on jeden wpadnie na trop całej afery i tylko dzięki niemu ohydny sprawca śmierci uwielbianej przez publiczność Sylwii zostanie wykryty. A potem seria mrozących krew w żyłach reportaży, oczywiście za podwójną stawkę. Z tego, co już wprawnym (mimo młodego wieku) dziennikarskim uchem usłyszał, wczorajszy wieczór układa mu się mniej więcej tak: Agnieszka Monika Genowefa, ostatnio znana melomanom jako Sylwia, solistka zespołu „Płaczące Gitary”, po usamodzielnieniu się była murowaną kandydatką do zdobycia pierwszego miejsca na tegorocznym Festiwalu Piosenki w Sopocie w obsadzie zarówno krajowej, jak i międzynarodowej. Na próbach wypadła zdecydowanie najlepiej. Wczoraj wieczorem szeroka publiczność widziała ją ostatni raz podczas próby w Operze Leśnej. W sukni ze złotej lamy, opinającej ciasno jej kształt kibić, lekko wybiegła zza kulis na estradę, pełnym gracji ruchem ujęła w dłonie mikrofon i zaśpiewała niskim, ciepłym głosem.

Tłum szalał z zachwytu, Sylwia zaś, powłócząc spojrzeniami spod sztucznych rzęs, przesyłała znajomym spośród publiczności pierwszych rzędów promienne uśmiechy Pierw-

szej Gwiazdy in spe. Po odśpiewaniu przewidzianego w konkursie repertuaru i po wysłuchaniu dwudziestominutowej owacji na jej cześć w otoczeniu sfory wielbicieli triumfalnie opuściła Operę Leśną. Potem widziano ją w restauracji Grand Hotelu na kolacji, później jakiś mężczyzna zaprosił ją do baru, musiała go bardzo dobrze znać, bo gdy tylko pokazał się w drzwiach restauracji, podbiegła do niego i rzuciła mu się na szyję. Stary! zawołała, co cię tu sprowadza? Po prostu festiwal, wyjaśnił ów mężczyzna, speszony nieco pod obstrzałem zawistnych spojrzeń wielbicieli Sylwii. Szarmancko ucałował jej dłoń, dziewczyna zaś fachowym okiem obrzuciła jego wysportowaną, dobrze odzianą sylwetkę, szybko i bezbłędnie oceniła go jako kogoś, z kim warto utrzymywać znajomość, i pokazała ładne zęby w szerokim, tylko na specjalne okazje wytrenowanym uśmiechu. Pozwoliła zaprosić się do baru, a potem powiedziała, żeby po kolacji wpadł do niej do pokoju i cała w uśmiechach, zbierając pożądlive spojrzenia barowych gości, tanecznym krokiem wypłynęła z baru i wróciła do stolika, aby dokończyć melby. Potem, szczęśliwa po udanym dniu, choć zmęczona, pożegnała obiecującym „pa” asystujących jej panów, wśród których oczywiście znajdował się Reżyser, poszła do swojego pokoju, szybko przypudrowała policzki i czubek nosa, stanęła w otwartym oknie, wystawiając twarz na podmuchy ciepłego, zwiastującego burzę wiatru, pieszczącego delikatnie jej długie, spływające na ramiona rude włosy. W oczekiwaniu na owego mężczyznę patrzyła na ciemne, wzburzone morze, wsłuchując się w niespokojny łoskot fali bijących o brzeg.

Z rozmyślenia wyrwało ją ciche pukanie do drzwi, odwróciła się od okna, na moment zobaczyła swoje odbicie w szybie — mieniącą się w odcieniach brązu tkaninę sukni, umiejętnie dobraną pod kolor włosów, podkreślającą jeszcze gibkość i smukłość jej ciała. Kilkoma wprawnymi ruchami rąk poprawiła zmierzwiłone przez wiatr włosy i ruszyła do drzwi. Nagle, gdy pukanie powtórzyło się, sta-

nęła w pół drogi, jakby przeczuwała niebezpieczeństwo czyhające za drzwiami. Ale nie zdążyła przekręcić klucza w zamku. Drzwi ustąpiły cicho, usłyszała chichotliwy śmiech i cofnęła się pod ścianę. Boże! jęknęła. W instynktownym przeblýsku świadomości pojęła, że to już koniec.

Chciała krzyczeć, wzywać pomocy, lecz zdławione strachem gardło odmówiło posłuszeństwa. Jak zahipnotyzowana wpatrywała się w mocne palce obejmujące jej szyję.

A potem chichot mordercy nabrał szaleńczej vibracji, palce naprężyły się i zwały, Sylwia zadygotała jak wiotka roślina zerwana gwałtownie, a kiedy ją puścił, upadła na podłogę z miękkim szelestem złocistej sukni. Parę minut później dobry znajomy Sylwii — jak się potem okaże Agent PAGART-u, który proponował jej podpisanie intratnego kontraktu na występy zagraniczne zaraz po Festiwalu — zgodnie z umową zapukał do drzwi pokoju i gdy po trzykrotnym pukaniu, nie usłyszawszy sakramentalnego „proszę”, nacisnął klamkę i wszedł do środka, to, co zobaczył, wstrząsnęło nim do głębi. Z wysiłkiem uniósł słuchawkę telefonu i poprosił o połączenie z milicją.

Scenę tę Tumidaj opowiada bardzo dokładnie, z wszelkimi dramatycznosciami, Gwieździe Numer Trzy, która patrzy na niego spod okularów w grubej oprawie, wysoka i szczupła, o twarzy dumnej i pięknej; w tych okularach wygląda jakoś nieporadnie, myśli Tumidaj, tylko te za duże i za piękne oczy niepotrzebnie rzucają spod nich przebiegłe błyski, to psuje ogólne wrażenie.

— O czym będziemy rozmawiać? — spytała. — Czy dalej o Sylwii?

— Nie wiem — odparł. — To zależy od pani.

— Założę się, że nadal chciałby pan ze mną rozmawiać o Sylwii i jej domniemanej śmierci — powiedziała dosyć ostro i ta piękna twarz ściągnęła się w nieprzyjemny grymas.

— To zależy od pani — powtórzył Tumidaj.

— A więc dobrze, proszę pytać, o co pan chce,

W pierwszej chwili pomyślał, że to właśnie ona wynajęła mordercę, już chciał ją o to zapytać, ale widząc ten jej nieprzyjemny wyraz twarzy, zmienił zamiar. Jeśli rzeczywiście Gwiazda Numer Trzy wynajęła mordercę, a nie, jak się powszechnie przypuszcza, Gwiazda Numer Jeden, to chyba nie powie mu o tym. Czuł się mocno podekscytowany tym śledztwem prowadzonym na własną rękę, lecz nadal zachowywał spokój, nawet swobodę w obejściu. Powiedział:

— Przyjechałem na festiwal tylko po to, żeby zebrać nieszablony materiał o festiwalu, o każdym jego uczestniku, a więc i o pani.

— I o Sylwii także — dodała z tym nieprzyjemnym wyrazem twarzy. — Ona nadal żyje wśród nas, dopóki nie zostanie wykryty morderca, dopóty nie uwolnimy się od niej. Milicja, jak dotąd, jeszcze nie wszczęła śledztwa.

— Czy rzeczywiście jeszcze nikogo nie przesłuchiowano? — spytał Tumidaj, nie bardzo wiedział, jak poprowadzić tę rozmowę.

— Zdaje się, że teraz właśnie ktoś usiłuje to zrobić — powiedziała Gwiazda Numer Trzy. — Czy pan jest z milicji?

— Jestem dziennikarzem z „Gazety Codziennej”, przyjechałem tutaj...

Gwiazda Numer Trzy przerwała mu zniecierpliwiona:

— To już wiem, to już sto razy pan mówił.

— Zapewniam panią — Tumidaj powiedział uprzejmie, lecz głosem nieco urażonym — że nie mam nic wspólnego z milicją.

— W porządku — uśmiechnęła się pojednawczo — nie ma o co robić tyle hałasu. A więc krótko mówiąc, chce pan nas wszystkich opisać, i to w sposób niebanalny?

— Tak jakby — przyznał się Tumidaj.

— I chce się pan dowiedzieć, co naprawdę stało się z niejaką Agnieszką Moniką Genowefą, ostatnio występującą jako Sylwia?

— Chcą.

— Więc niech pan znajdzie mordercę, będzie pan sławny. Napisze pan do swojej gazety parę kawałków, może nawet dłuższą story.

— Jeśli pani mi pomoże, to kto wie... — powiedział Tumidaj.

— Więc niech pan pyta.

— Czy Sylwia wśród uczestników festiwalu miała wrogów? — spytał.

Gwiazda Numer Trzy zaśmiała się, szczerze ubawiona.

— Wrogów? Ona? To była złota dziewczyna. Wszyscy ją uwielbiali. Chociaż...

— Co chociaż?

— Nic ważnego. Nawet pewien Tekściarz, który miał powody, aby jej nienawidzić, przepadał za nią.

— Tekściarz miał powód? — spytał szybko Tumidaj. — Jak on się nazywa?

— Nazwisko nic panu nie powie. Takich tekściarzy przy festiwalu kręci się na pęczki. Ten, o którym mówię, podkochiwał się trochę w Sylwii, a może chciał tylko, żeby śpiewała jego grafo-mańskie teksty, to stary grafoman.

— Niech pani opowie mi o nim — poprosił Tumidaj.

— To zabawna historia. Sylwia miała zawsze dobre teksty, od samego początku swej kariery, a tu nagle, ku ogólnemu zdziwieniu, zaczyna śpiewać żałościwe kawałki Tekściarza, ktoś jej w końcu na to zwrócił uwagę, że z tymi tekstami daleko nie zajędzie, no i zrezygnowała ze współpracy z Tekściarzem, więc wyjechał z miłością, że ją kocha i tak dalej, ale powiedziała mu, gdzie ma tę jego miłość i tu jest koniec pieśni. Od tego czasu omijali się jak pies z kotem, chociaż w oczy nadal był dla niej słodki i przymilny, aż mdłości brały, gdy trzeba było na to patrzeć.

Tumidaj czuł, że ktoś stoi za ich plecami i przysłuchuje się rozmowie. Odwrócił się błyskawicznie. Stał rzeczywiście jakiś facet, którego nie znał.

— Rozmawiacie o panie Sylwii? — spytał.

— Chyba słyszałeś — odparła Gwiazda Numer Trzy, zła, że ją wytrącił z transu opowiadania o swej młodocianej konkurentce. — Stoisz tu już całe wieki. Bawisz się w podchody?

Śmiał się, wyciągnął do Tumidaja rękę, powiedział jakies nazwisko, Tumidaj domyślił się, że to właśnie jest ów Tekściarz, o którym mówiła Gwiazda Numer Trzy.

— Znam pana — śmiał się szeroko.

— Ty, jak będzie z tymi tekstami? — Gwiazda Numer Trzy spytała zaczepnie — podniesiesz poziom czy nie, bo w końcu i ja chciałabym zaśpiewać coś twojego?

Tekściarz pocałował ją w policzek.

— Serce mi żywiej puka, gdy słyszę takie słowa z tak pięknych ust — powiedział. — Od razu czuję się, jakby mnie ktoś całego miodem wysmarował. Mam akurat coś gotowego w sam raz dla ciebie. Szkoda, że to już tylko trzy dni do festiwalu, ale jakbyś ostro wzięła się do roboty, chyba zdążyłabyś z tym wystartować.

— I już jej nie dał dojść do słowa. Wyprowadził ją z baru, bo jak zwykle ta rozmowa toczyła się w baro-bufecie za kulisami Opery Leśnej, Tumidaj zaś znowu udał się na swoje miejsce, by przyglądać się mozolnemu zsynchronizowywaniu głosów piosenkarzy z festiwalową orkiestrą.

Tymczasem Agent PAGART-u znajdował się w opałach.

Na miejscu zbrodni zjawiała się już milicja, najpierw obejrzał zwłoki kapitan, potem porucznik, potem lekarz, a potem wzięli się do roboty milicyjni fachowcy: zdejmowali odciski palców, fotografowali, mierzyli... Później zwłoki Sylwii przykryto białym prześcieradłem i kapitan zwrócił się do lekarza, który już chował swoje instrumenty do skórzanej, specjalnej walizeczki: No i co? Śmierć przez uduszenie, odparł lekarz. Prawdopodobnie między dwudziestą trzecią trzydzieści a dwudziestą czwartą, spojrzął na zegarek, teraz jest pierwsza w nocy, a więc jakąś godzinę temu. Sekcja zwłok ustali to dokładniej. Można już za-

brać trupa? Kapitan skinął głową, odczekał, aż dwóch milicjantów, ułożywszy martwą Sylwię na przygotowanych noszach, wyniosło ją z pokoju, i wtedy zwrócił się do Agenta stojącego przy oknie z papierosem w ręku: Będzie pan musiał udzielić jeszcze kilku dodatkowych informacji.

Niewiele więcej wiem poza tym, co już powiedziałem, odparł Agent. Zobaczymy, rzekł kapitan. Agent poczuł się obrażony. Radzę odszukać i przepytać ludzi, którzy znajdowali się w pobliżu pokoju. Może coś widzieli albo słyszeli. Dziękuję za fachowe pouczenia, kapitan uśmiechnął się ironicznie. Wy agenci artystyczni macie wybujałą fantazję. Nie chce pan czasem mnie zastąpić? Nie ma obawy, Agent przyjął ten sam ton, nie do twarzy mi w mundurze.

W porządku, uciał krótko kapitan. Poruczniku, proszę wykonywać rozkazy, zwrócił się do milicjanta w cywilu, przysłuchującego się ich rozmowie. Tym panem ja się zajmę. Porucznik stuknął obcasami i wyszedł, zabierając z sobą sierżanta stojącego przy drzwiach. Pozostali milicjanci nadal dokładnie oglądali pokój piosenkarki. Ruszali się bardzo powoli, jakby od niechcenia, zwłaszcza jeden z nich przyciągał uwagę Agenta. Niemal bez przerwy ocierając kraciatą chusteczką spocone czoło, brał do ręki przez szmatkę każdy przedmiot znajdujący się w garderobie, a dający się podnieść, i uważnie oglądał przy pomocy szkła powiększającego. Tegoroczny upał daje się wszystkim we znaki, Agent nie mógł powstrzymać się od tej zgryźliwej uwagi.

Na szczęście spiekota powoli już mija, od paru dni zbiera się na burzę. Niech się pan nie obawia, kapitan pojął dowcip Agenta, patrzył na niego spod oka, może jesteśmy powolni, ale za to bardzo dokładni. Wyobraża pan sobie, jaka to będzie żmudna robota sprawdzić alibi wszystkich uczestników festiwalu. Sądzę jednak, że jakoś sobie z tym poradzimy. A propos alibi... Nie mam, odparł szorstko Agent, w czasie śmierci piosenkarki siedziałem przy barze.

Chyba że mnie ktoś tam zapamiętał. Kapitan pomachał dowodem osobistym trzymanym w ręku. Denatka nazywała

się, otworzył dowód i zajrzał do środka, Agnieszka Monika Genowefa... zaraz, a gdzie nazwisko? aha, jest!... lat dwadzieścia, wzrost średni, blondynka bez znaków szczególnych... Ostatnio występowała jako Sylwia, poinformował Agent tak samo szorstko. A jeżeli chodzi o włosy, to ich kolor był rudy. Pogratulować znajomości rzeczy, kapitan przesłał Agentowi jedno ze swoich urzędowych, podejrzliwych spojrzeń. To pan zawiadomił nas o tym morderstwie? Agent nie odpowiedział, obaj zresztą ocenili to pytanie jako czysto retoryczne, więc kapitan podjął: Co pan robił w jej pokoju? Mieliśmy porozmawiać. O czym?

O jej zagranicznym tournée. Mieliśmy omówić kontrakt.

Jaki charakter miało mieć to tournée? I dokąd chciał ją pan wywieźć? Prawie cała Europa, a może także i Ameryka, odparł Agent. Zapowiadała się wręcz rewelacyjnie, na pewno zajęłaby pierwsze miejsce na festiwalu. Na razie nie ma wystarczających dowodów, że to pan dokonał morderstwa, głos kapitana przybrał urzędowy ton. Proszę jednak nie opuszczać Sopotu. Nie ma obawy. Przyjechałem tutaj pracować. Muszę wybrać zespół na zagraniczne koncerty. Sylwia miała być jego ozdobą. Więc życzę powodzenia, rzekł kapitan. A ja pomyślności w śledztwie, odpowiedział natychmiast Agent. Skinął kapitanowi głową na pożegnanie i wyszedł na korytarz. Udał się przez hall hotelowy do swojego pokoju na drugim piętrze. Niebo przecięło kilka błyskawic — rozległ się grzmot i pierwsze duże krople zabębniły o szyby.

Ta jednak wersja śmierci Sylwii upada, nie wytrzymuje konfrontacji z innymi opowieściami, często sprzecznymi

1 znoszącymi się wzajemnie. Tumidaj w obrazie, który skonstruował z poprzednich doniesień, musi wprowadzić daleko idące zmiany.

Za kulisami w barze Opery Leśnej plotka goni plotkę.

Co chwila ktoś przynosi najświeższe wiadomości.

— Fakt — powiada Gwiazdor Numer Jeden — ostatnio o niczym innym się nie mówi, tylko o tym tajemniczym

zniknięciu Sylwii. Nie można nawet spokojnie przygotować się do festiwalu, bo wszyscy, zamiast próbować, plotkują, nawet zagraniczni goście, choć nie bardzo wiedzą, o co chodzi. Zresztą skąd wiadomo, że nie żyje, a jeśli nie żyje, to skąd wiadomo, że to morderstwo? Może popełniła samobójstwo?

Gwiazdor Numer Osiem mówi szeptem, że żadnych konkretnych śladów nie znaleziono. Wiadomo tylko, że się bronila, świadczy o tym podarta sukienka, potłuczony wazon tuż przy drzwiach, musiała nim rzucić w tego kogoś, i to wszystko.

— Pan ją znał? — zapytuje Tumidaj.

— Czy znałem? — wykrzykuje Gwiazdor Numer Osiem. — Od lat! — Jest duży, przystojny, dobrze ubrany, pewny siebie, jak każdy piosenkarz, któremu jako tako się powiodło. A może to on ją zgładził? medytuje Tumidaj, choć wie, że to absurdałne przypuszczenie, ale takie typy jak on denerwują Tumidaję. Nie napisze o nim ani jednego pochlebnego słowa, nawet nie wspomni jego nazwiska, chyba że źle. — Chce pan się dowiedzieć, czy znałem Sylwię, jak jeszcze nie była piosenkarką? — ciągnie Gwiazdor Numer Osiem. — Panie kolego, gorzej, jeszcze niczym w ogóle nie była.

— Co pan ma na myśli?

— A to, broń Boże, nie obrażając pamięci zmarłej, że Sylwia początkowo była jedną z tych dziewczyn, co to na siłę szukają fartu. Wie pan, marzy im się kariera filmowa, te rzeczy... Mieszkała z matką, ojciec zostawił je na pastwę losu, mieszkały w Warszawie na Pradze, matka handlowała na bazarze czym się dało i jakoś żyły. Potem widywałem Sylwię z facetami w drogich samochodach, mówiła, że to znajomi jej znajomych, udawałem, że wierzę, ale przecież wiadomo, jak to jest. Chciała się na chama ustawić, złapać bogatego gościa, wtedy straciłem do niej całe serce. Była już solistką „Płaczących Gitar” i strasznie zadzierała nosa. A potem rzuciła tych swoich gitarzystów

i zaczęła samodzielne loty. Jeden wyjazd za granicę, drugi, z kim popadło, z byle jaką trupą, byle się zaczepić, a potem nagle wszystko stanęło przed nią otworem, występy w telewizji, film, kilka teledysków, płyta jedna, druga.

Słowem, olśniewająca kariera. Tylko że teraz to wszystko już nieważne. Zresztą co ja panu będę mówił, panie kolego, sam pan dobrze wie, jak skończyła. Gdy się dowiedziałem o jej śmierci, chodziłem jak struty.

— I nie domyśla się pan, kto mógł ją zamordować? — zapytuje Tumidaj. — Mielście tylu wspólnych znajomych.

— Domyślałem się tak samo jak i pan [redacted] odpowiedział. — W tym sęk, że Sylwia miała zawsze za dużo znajomych.

— Każdy z nich mógł ją dźgnąć nożem lub udusić. Mógł to równie dobrze być jeden z tych zagranicznych impresariów, z którymi utrzymywała kontakty i którzy ją zapraszali na wojaje zagraniczne, jak i ktoś spośród nas.

— Kto to wie?

Tumidaj przygląda mu się spod oka. Nie wie, co o nim myśleć. Czyżby mówił to wszystko tylko przez zwykłe gadulstwo?

— Uważa pan, że ci zagraniczni faceci mają coś wspólnego ze zniknięciem Sylwii? — pyta podchwytliwie.

— Pan to powiedział, nie ja — odparł Gwiazdor Numer Osiem. Zapalił papierosa, gapił się na swych konkurentów kłębiących się przy bufecie, najwyraźniej już nic więcej nie miał do powiedzenia. Tumidaj zaproponował kieliszek koniaku, chciał kontynuować rozmowę, lecz Gwiazdor Numer Osiem przeprosił go i śpiesznie się oddalił, zobaczył bowiem wchodzącego do baru Reżysera. Już był przy nim w lansadach, tak zresztą jak prawie wszyscy, którym na Reżyserze zależało. Tumidajowi nie zależało, więc dalej mógł rozpamiętywać tajemnicze zniknięcie Sylwii.

Teraz jest długa, półgodzinna przerwa i prawie wszyscy zajęci próbami na scenie, a więc gwiazdy i gwiazdorzy, orkiestry jedna, druga, trzecia, klezmerzy z zespołów jazzowo-big-beatowo-młodzieżowych, kompozytorzy muzyki

do piosenek, tekściarze, kamerzyści telewizyjni, ich pomocnicy, pomocnicy pomocników, ci co noszą kable, ci co przesuwają kamery, ci co trzymają mikrofony, radiowcy, fotoreporterzy, dziennikarze, przedstawiciele Miejsowych Władz i Wysokich Urzędów, faceci z forszą i bez, ale za to z tupetem, dziewczęta do łóżka i dziewczęta do ozdoby, młodzi chłopcy o wyglądzie starszków i starszkwie

O wyglądzie młodych chłopców (przynajmniej im tak się wydaje), chichotliwe panie sekretarki (jest ich nieprzeliczona liczba), tłumaczki, tłumacze, a nade wszystko goście zagraniczni w swej hermetycznej, odgradzonej barierką językową otocze; słowem, wszyscy, którzy tworzą ów niepowtarzalny zgiełk festiwalowy, owo zamieszanie i artystyczny rozgardiasz, ci wszyscy skupili się w czasie przerwy wokół bufetu za kulisami i jedzą łapczywie kanapki, jakby za chwilę miała wybuchnąć w całym mieście epidemia głodu. Kto tu z kogo kpi, kto tu kogo oszukuje? zastanawia się Tumidaj, buszując umiejętnie między tym żarłocznym i wystrojonym najmodniejszym tłumem.

Kompozytor Pierwszy ma już porządnie w czubie, Gwiazda Numer Piętnaście ciągle depta Reżyserowi po piętach, Kompozytor Trzydziesty Drugi mówi do Tumidaja: — Ona musi z nim trzymać, Reżyser jest wszechmocny, a ona chce zostać najpopularniejszą piosenkarką w kraju. — Kompozytor Trzydziesty Drugi trzyma w ręku butelkę kolorowej wódki (płaską, tak zwaną pierśiówkę, o pojemności 0,3 litra), pociąga zdrowo, potem bezskutecznie próbuje upchnąć butelkę w wewnętrznej kieszeni marynarki, w końcu butelka wypada mu z rąk, tłucze się na drobne kawałki. Wygląda, jakby zrobił to umyślnie. Na moment zalega cisza, wywołana brzękiem tłuczonego szkła, wszyscy patrzą na niego. Pojawia się sprzątaczką, łypiąc złym okiem na Kompozytora Trzydziestego Drugiego, ostentacyjnie sprząta kawałki szkła, a Kompozytor Trzydziesty Drugi jak gdyby nigdy nic siada na bufecie tuż obok tacy z kanapkami i zaczyna śpiewać na całe gardło swoją ostat-

nią skomponowaną piosenkę. Słysząc chichot młodych dziewczyn i adorujących ich starszych panów, ale to Kompozytora Trzydziestego Drugiego wcale nie zraża.

Tumidaj przygląda się dokładnie owym chichoczącym dziewczynom, rozpoznaje w nich Gwiazdkę Numer Dwanaście, Dziewięć, Cztery, Osiemnaście, Dwa, Jedenaście, Sześć; być może któraś z nich wie, co się dzieje z Sylwią, rozmyśla, a być może jest w jakiś sposób zamieszana w to jej zniknięcie lub chociaż wie, kto w tym palce maczał.

Dalsze rozmyślania utrudnia mu natężający się śpiew Kompozytora Trzydziestego Drugiego. Zdaje się, że on tym swoim śpiewem przeciwko czemuś protestuje, ale Tumidaj nie bardzo może się zorientować, przeciwko czemu, bo teraz gwar rozmów gwałtownie narasta.

Kompozytor Piąty podskakuje do protestującego i kategorycznie zabrania mu dalszego śpiewania protest-songu.

— Jak tak można — krzyczy — opanuj się!

Żona Reżysera, Gwiazda Numer Cztery, także czyni wymówki protestującemu Kompozytorowi Trzydziestemu Drugiemu. W rezultacie negocjacji siada obok niego na bufecie (przezornie jednak odsuwając tacę z kanapkami), w sukience nieco przykrótkiej, jak na jej wiek, pulchne, otłuszczone uda w tej pozycji urastają do gigantycznych rozmiarów.

— Masz fajne te uda — mówi ktoś. Żona Reżysera grozi mu kokieteryjnie palcem. — Grube i pulchne, takie lubię — ten ktoś nie ustaje w komplementach, kładzie rękę na jej udzie i ścisną mocno. Gwiazda Numer Cztery zeskakuje z bufetu, chichocze, grozi tamtemu palcem, jej mąż, Reżyser, usiłuje również grozić z miną dosyć żalną i biorąc Żonę pod rękę, odprowadza na bok, z dała od bufetu, coś jej mówi, potem oboje patrzą na Tumidaję; w ogóle ten Reżyser zachowuje się nad wyraz dziwnie. Chwilami patrzy na Tumidaję tak, jakby chciał mu coś ważnego powiedzieć, to znowu kompletnie go ignoruje. Teraz na przykład pozbył się Żony, siada na usłudnie podstawionym

mu krzesła przez Gwiazdora Numer Dwa w pozycji półleżącej, uśmiecha się do Tumidaja, a gdy Tumidaj podchodzi do niego, żeby wymienić poglądy na temat Kliknięcia Sylwii, korzystając z tego, że Gwiazdor Numer Dwa podstawił mu uszłuzne drugie krzesło pod nogi, kładzie się jak na tapczanie, przykrywa głowę jakimś szalem (Reżyserskim, jest to nieodzowny rekwizyt owych panów na planie) i udaje, że śpi.

— Niech odpocznie — Tumidaj słyszy pełen troski głos Konfiansjera Rezerwowego — to mu dobrze zrobi, jest szalenie przepracowany, próby od rana do nocy, co to będzie na festiwalu, czy wytrzyma, czy dotrwa?

— Jakoś dotrwamy, musimy dotrzeć — to głos Dyrygenta albo jego Pomocnika, w każdym razie kogoś z orkiestry pierwszej, drugiej albo trzeciej, Tumidaj pomału już w tym wszystkim się gubi.

Próby wypadają wręcz skandalicznie, Gwiazda Numer Jeden urabia opinię na temat Gwiazdy Numer Dwa, Gwiazda Numer Trzy podchodzi do Reżysera, stuka go kolanem w nogę, Reżyser zdejmuje szal, otwiera oczy, unosi się na krzesła i znowu Tumidajowi zdaje się, że patrzy na niego.

— Nie gap się tak w Reżysera jak w obraz — to do Tumidaja mówi Gwiazdka Numer Jeden (w zastępstwie Sylwii, awansowała o jedno miejsce, przedtem umieszczana była na liście przez speców radiowo-telewizyjnych od klasyfikacji na drugim miejscu, za Sylwią) — przecież ty od niego nie zależysz, tak jak my — i widząc, że Tumidaj nie ucieka od niej, jak robią to inni dziennikarze, proponuje mu, aby przeprowadził z nią wywiad, bo mówiąc na ucho, ma już zaklepane zwycięstwo w festiwalu.

Tumidaj udaje, że wierzy, ale wywiadu nie przeprowadza. Korzystając z tego, że Reżyser wznowił próbę, że orkiestra zaczyna stroić swe instrumenty, robiąc jazgot piekielny, i że prawie nic nie słychać, pod byle pretekstem opuszcza Gwiazdkę Numer Jeden (w zastępstwie) i tak jak prawie wszyscy udaje się do amfiteatru, natychmiast jed-

nak zawraca, gdyż zaświtało mu w głowie, że dotychczas nie przebadał Gwiazdki Numer Jeden, a ona przecież powinna dużo wiedzieć na interesujący go temat.

Gwiazdka Numer Jeden jest sama przy bufecie, sięga po kieliszek koniaku na rozgrzewkę i mówi do nadchodzącego Tumidaja:

— Potrzebuję reklamy. Postaraj się dla mnie o jakąś reklamę, a nie pożałujesz. — Bierze od bufetowej butelkę, napełnia drugi kieliszek i podaje Tumidajowi. — To na mój koszt — mówi. Piją oboje przez chwilę w milczeniu, pewnie Gwiazdka Numer Jeden układa sobie w głowie tekst, którym chce zjednać Tumidaja. — Jeszcze pełne dwa dni tej męczarni, nie licząc dzisiejszego wieczora — mówi.

— Męczarni? — zapytuje Tumidaj — dlaczego męczarni?

— Ach! — wykrzykuje — nie wiesz, ile to kosztuje nerwów. Zawsze przed występem chudnę dwa kilo, koniecznie napisz to w wywiadzie, niech publiczność wie, jak ciężko pracujemy. — Bierze z bufetu butelkę koniaku i prowadzi Tumidaja do stolika na tyle oddalonego od bufetowej, że nie będzie mogła już podsłuchiwać tak ciekawie zaczynającej się rozmowy. — Nalać ci jeszcze? — pyta Gwiazdka Numer Jeden i nie czekając na zgodę Tumidaja, napełnia jego kieliszek, potem swój, piją do dna jak wódkę, najpierw ona, więc Tumidaj nie chcąc robić przykrości damie, idzie w jej ślady. Siedzą obok siebie bardzo blisko, Tumidaj czuje zapach jej perfum. — Fajny jesteś — mówi Gwiazdka, patrząc mu w oczy, śmieje się przymilnie i jeszcze bliżej przysuwa się do Tumidaja, który nie bardzo wie, jak w tej sytuacji się zachować. Na wszelki wypadek jednak postanowił mieć się na baczności. Kapica siedzi w przeciwnym, jeszcze ciemniejszym kącie bufetu i obserwuje ich uważnie. Gwiazdka Numer Jeden dostrzegła go, spojrzała na niego wystraszona, Kapica patrzy ciągle bez zmrużenia oka. Ich spojrzenia, Tumidaja i Kapicy, skrzyżowały się.

— On patrzy, cały czas patrzy — szepce wystraszona Gwiazdka — nic nie mówi, tylko patrzy, śledzi mnie.

Kompozytor Trzydziesty Drugi, który nagle pojawił się w asyście Konferansjera Rezerwowego, zawołał:

— Śledzi! — powtórzył okrzyk i z tym okrzykiem na ustach podbiegł do bufetu, wskoczył za ladę. — Śledzie — wołał do bufetowej. — Gdzie są śledzie? — Otworzył lodówkę, grzebał w niej, przewracając jakieś słoiki, potem wziął do ręki długi nóż i machnął nim tak energicznie przed nosem bufetowej, że biedna kobiecina przewróciła się ze strachu, zaraz jednak poderwała się, odebrała mu nóż i wypchnęła zza lady. Dostrzegła nadbiegającego Tumidaja, zaatakowała go bez namysłu:

— Czego pan tu, jak Boga Kocham, szuka?

Tumidaj starał się zachowywać spokojnie i rozważnie.

Może nadchodzi chwila, kiedy losy Sylwii zostaną wyjaśnione?

— Siedzi — powiedział do Kompozytora Trzydziestego Drugiego — tam jeden facet ciągle śledzi — i wskazał na Kapicę.

— To ją śledzi! — zawołał Kompozytor, podbiegł do Gwiazdki Numer Jeden i chwycił za rękę. — A mojej piosenki to nie chciała śpiewać!

— Tyś oszalał? — woła Gwiazdka, starając się uwolnić, ale nie udaje jej się wyrwać, pewnie chciała pobiec za Kapicę, który przezornie opuścił bufet, lecz Kompozytor był czujny.

Tumidaj podjął szybką, dziennikarską decyzję, o której tyle mu mówiono podczas pobierania nauk w dwuletnim Studium Dziennikarskim, i przystąpił do szturm.

— Proszę natychmiast powiedzieć, co tu się dzieje — rozkazał. — I co to za numery z tym śledzeniem?

— Oszalał! — krzyczy Gwiazdka i już się nie wrywa Kompozytorowi. — Czym pan mówi?

Tumidaj bystro i podejrzliwie zauważył, że przeszła na „pan”, zwracając się do niego. To daje dużo do myślenia.

— Pani dobrze wie, o czym mówię — rzekł spokojnie. — Proszę natychmiast wszystko opowiedzieć, co pani wie o zaginięciu Sylwii!

— Upił się! Jak Boga kocham, upił się! — parsknęła głośnym śmiechem, Kompozytor niespodziewanie zawtórował. — O czym mam wiedzieć? — śmiała się Gwiazdka — czy pan naprawdę się upił kieliszkiem koniaku?

Kompozytor pękał ze śmiechu. — Jeszcze jeden chce śledzia — wołał — a potem wyskoczy przez okno!

Zjawiała się Żona Reżysera, czyli Gwiazda Numer Cztery, we własnej osobie. — Śledzi? — spojrzała ostro na Kompozytora obejmującego teraz czule Gwiazdkę Numer Jeden — co tu za hałasy? Zapominacie, że jest próba?

— Ktoś kogoś nieustannie śledzi — powiedział Tumidaj, a raczej wyrwało mu się tak ni w pięć, ni w dziewięć, bo miał co innego na myśli.

Żona Reżysera spojrzała na niego tak samo ostro, a może jeszcze ostrzej niż na Kompozytora.

— Kto kogo śledzi? — Śledź śledzi śledzia, to prawie tak jak w mojej piosence — zawołała Gwiazdka Numer Jeden, olśniona swym intelektem i zdolnością kojarzenia.

— Czy pan zawsze taki zamyślony? — spytał Tumidaja Gwiazdor Numer Dwadzieścia albo Dwadzieścia Cztery.

— Myślę o Sylwii — odpowiedział z dziecięcą szczerością Tumidaj. — Żyje czy nie żyje? Sam już nie wiem.

— Ja panu też na to nie odpowiem — rzekł Gwiazdor Numer Dwadzieścia albo Dwadzieścia Cztery. — Jestem wyłączony, myślę tylko o swoim występie, jestem zaledwie półświadom tego, co tu się dzieje.

— Nie interesuje pana los najpopularniejszej piosenkarki na dwa dni przed rozpoczęciem festiwalu? — zdziwił się Tumidaj.

— Owszem, nie — odparł tamten. — Melduję panu posłusznie, że to wszystko jest przewidziane w scenariuszu. Gdybym chciał się wysilać i rozpraszać, zamiast, jak to robię, skupić się na swoim i tylko swoim występie,

mógłbym niemal z dokładnością co do minuty przewidzieć, co nastąpi i co powiedzą, usprawiedliwiając zniknięcie i nagłe, cudowne pojawienie się Sylwii. Każdego roku, od tylu lat, od samego początku, od pierwszego festiwalu jest to samo. Zawsze są jakieś sensacje, morderstwa, samobójstwa, duszenia, wieszania, a potem okazuje się, że wszyscy są zdrowi i cali, i dopisuje im apetyt. Nudzi mnie to śmiertelnie.

Jeszcze jeden oryginał do kolekcji, pomyślał Tumidaj, a powiedział głośno:

— Chyba obecność na festiwalu nie jest obowiązkowa?

— W pewnym sensie tak — odrzekł Gwiazdor Numer Dwadzieścia albo Dwadzieścia Cztery. — Jesteśmy bardziej skrupowani i uzależnieni od tego festiwalu i bardziej do niego przywiązani niż dawniej chłop pańszczyźniany do ziemi. Jedyna ucieczka — to całkowite zerwanie ze śpiewem. Chcąc uchronić własne „ja”, trzeba rzucić śpiew nagle, tak jak rzuca się papierosy, i w szczytowym momencie powodzenia. Właśnie tak jak zrobiła to Sylwia.

— Chyba poważnie pan tego nie mówi? — spytał Tumidaj.

— O zawodzie wyjca estradowego nigdy się nie mówi poważnie — Gwiazdor Numer Dwadzieścia albo Dwadzieścia Cztery uśmiechnął się smutno. — A już nikt nie wierzy w to straszenie, że się zrywa z estradą, bo wszyscy w kółko to zapowiadają i dalej robią swoje. A Sylwia się odważyła i za to ją podziwiam. Chyba że popełniła samobójstwo, bo to też możliwe.

— Samobójstwo? — zawołał Tumidaj — ona?

— A co w tym dziwnego? — odparł Gwiazdor. — Trzymają w tajemnicy wiadomość o jej śmierci aż do zakończenia festiwalu. Wiele razy słyszałem, jak mówiła, że skończy z sobą.

— Mówiła to poważnie? — dziwił się Tumidaj.

— W tym sęk — Gwiazdor Numer Dwadzieścia albo Dwadzieścia Cztery zamyślił się. — Fakt, te młode piosen-

kareczki udają wielkie artystki i nieświadomie nadużywają tego słowa. Każde niepowodzenie lub chwilowa depresja już je upoważnia do ogłaszania samobójstwa. A co mają powiedzieć artyści w moim wieku, którzy już dwadzieścia lat tłuką się po różnych scenach i nie udało im się osiągnąć tego, czego pragnęli u progu swej kariery?

— Mówienie o samobójstwie jeszcze niczego nie dowodzi — powiedział Tumidaj. — Wydaje mi się, że jest to pewna forma dziewczęcej kokieterii, nic więcej.

— Myślenie pospolite — Gwiazdor Numer Dwadzieścia albo Dwadzieścia Cztery uśmiechnął się melancholijnie. — Wszyscy myśleli tak jak pan, póki to się nie stało. — Szybko wychylił kieliszek wódki i poruszył się, jakby chciał odejść.

— Przedtem pan mówił, że zrezygnowała z kariery, teraz znowu opowiada pan o samobójstwie Sylwii, nie wiem, w co mam wierzyć — poskarżył się Tumidaj.

Gwiazdor popatrzył na niego z ironicznym zmrużeniem oczu.

— To niech pan wierzy w bajeczki, które tu ktoś rozpusza, że jest w Non-Stopie, że tam śpiewa, bo ma nowego chłopaka, który uważa się za zbuntowanego artystę i zbuntował do tego stopnia Sylwię, że zrezygnowała z występu na festiwalu, bo młodej zbuntowanej nie wypada występować na tak komercyjnej, sztabowej imprezie, jaką jest festiwal.

To jest myśl. Tej możliwości Tumidaj jeszcze nie rozpatrywał. Wielu możliwości nie rozpatrywał, ale ta wydała mu się prawdopodobna, więc natychmiast przerzucił akcję do Non-Stopu.

Stacja Sopot-Wyścigi, ogromny namiot w pobliżu wejścia na tor wyścigowy, enklawa big-beatowców. Pośrodku namiotu parkiet z grubych desek, z boku orkiestra big-beatowa „Szatany”, z drugiej strony bufet, no i tłum długowłosych chłopców i dziewcząt pobieranych najdziwniej jak tylko można. Tańczą wszyscy zawzięcie w rytm moc-

nego uderzenia, błyski kolorowych reflektorów, opętańczy ryk tańczących przy każdej solówce kolejnego gitarzysty.

Jej-Gitarzysta z istic kocią zręcznością, lak nie pasującą do jego wzrostu i wagi, wypłynął z ciemności od strony torów, przystanął na chwilę przed Ogrodzeniem, a potem kilkoma susami dopadł wejścia, gdzie gromady młodzieży, spragnione głośnej muzyki i tańca, daremnie próbowały dostać się do środka, i nie zważając na protesty bileterów (ponieważ w Non-Stopie był Jut Madkomplet), wtargnął do środka, wskoczył na parkiet, a potem na podwyższenie dla orkiestry i ściągnął stamtąd Sylwię, która akurat śpiewała jakiś nastrojowy przebój. „Szatany” jednak nie przestały walić w gitary, tłum na parkiecie nie przestał wyć i podrygiwać, takie wydarzenie, jak ściągnięcie solistki z estrady, to dla nich betka, więc nie zwrócono specjalnej uwagi na Sylwię i tarמושącego ją Jej-Gitarzystę. Wyprowadził ją na ulicę i tutaj powiedział: Reżyser nie żyje. Musisz mi pomóc. Chryste! jęknęła Sylwia. Co ty wygadujesz? To nie będzie festiwalu? zmartwiła się nie tyle śmiercią Reżysera, co perspektywą odwołania z tego powodu Festiwalu Piosenki, w którym mimo wszystko miała zamiar wziąć udział. Cicho, jakby skradając się, podjechał radiowóz milicyjny. Tajniak i dwóch milicjantów w mundurach wysiedli z samochodu, Sylwia dostrzegła ich pierwsza. Milicja, szepnęła. Uciekaj! Jej-Gitarzysta ruszył w stronę ciemnego parku, ale zanim dopadł pierwszych drzew, milicjanci zauważyli go i przecięli mu drogę. Wywiązała się krótka, szybka walka. Jeden z milicjantów wyjął pałkę i próbował tym śmiesznym kawałkiem gumy obezwładnić olbrzyma. Uderzenia pałki tylko zdopingowały Jej-Gitarzystę do bardziej energicznych występów. Kilkoma machnięciami potężnych rąk rozrzucił milicjantów, zakrwawionych i nieprzytomnych, i skoczył w ciemność między drzewa.

Nie, ta scena chyba odpada, myśli Tumidaj. Żeby trzech milicjantów dało się pobić jakiemuś Jej-Gitarzyscie — to

niemożliwe. I nie wiadomo, do czego by to doprowadziło. Lepiej może, poczynając od momentu wejścia Jej-Gitarzysty do Non-Stopu, zacząć tak: ściągnął Sylwię z podwyższenia dla orkiestry. Powiedz tym swoim gnojkom „Szatanom”, żeby się wynosili, rzekł, my zajmujemy ich miejsca, a ty będziesz naszą solistką. Chryste! krzyknęła, co ty wygadujesz? Wybieraj: my albo oni? zawołał i nie czekając na odpowiedź, dał znać swoim chłopcom, którzy błyskawicznie wskoczyli na podium i zaczęła się straszna krwawa bójka między „Płaczącymi Gitarami” a „Szatanami”, zakończona połamaniem, stratowaniem, zniszczeniem wszystkich możliwych instrumentów i przyrządów (elektrycznych), nieodzownych do wydobywania ogłuszających dźwięków.

To też do niczego nie prowadzi, zastanawia się dalej Tumidaj, poza tym szkoda aparatury big-beatowej, to bardzo drogo kosztuje. A może by zacząć jeszcze inaczej?

Tysiąc możliwości ciśnie mu się do głowy, ale po szybkim przeanalizowaniu każdej — wszystkie odpadają. Tumidaj nie ma zadowolenia, przynajmniej w tej chwili, z pracy swoich szarych komórek. W rezultacie postanawia odłożyć wszystko do jutra, do zapowiadanej konferencji prasowej, na której być może dowie się czegoś konkretnego o losie Sylwii i będzie mógł dalej, już w miarę prawdopodobnie, dedukować.

Niestety, konferencja nie wypaliła, a to z winy pogody.

Niebo bezchmurne, słońce, upał, wszyscy oczywiście poszli na plażę, tylko Tumidaj i pewien bliski już emerytury dziennikarz (bodajże z redakcji „Doniczkarz Polski”), któremu słońce szkodzi, zasiedli w sali prasowej Grand Hotelu, a za stołem prezydyjnym, z ramienia wszystkich organizatorów, uczestników, towarzyszących gości krajowych i zagranicznych, przedstawicielka PAGART-u, Pani Sekretarka, ostro zażądałszy, aby zgromadzeni dziennikarze (w liczbie dwóch) zadawali jej pytania, ona zaś postara się na nie dokładnie i wyczerpująco odpowiedzieć. Za-

padło głucho milczenie, a potem przedstawiciel „Doniczkarza Polskiego”, zresztą dosyć bojaźliwie, spytał o coś Panią Sekretarkę, Pani Sekretarka na to zaklekotała jak karabin maszynowy (pewnie też śpieszyła się na plażę).

Tumidaj, przygotowując się do zadania zaskakujących pytań na temat zniknięcia Sylwii, obserwował uważnie Panią Sekretarkę, by wykryć jej słabe punkty. Nie było to jednak takie łatwe, gdyż stanowiła niemal idealną kopię Brigitte Bardot w uczesaniu z filmu „Viva Maria”, w kusej plażowej sukience, przy swoich czterdziestu latach, wyglądała (z daleka) na czternaście, o imieniu tyleż prawdziwym, co pretensjonalnym — Koka; siedziała za stołem przydialnym przykrytym zielonym sukmem, z nogą założoną na nogę, starając się inteligentnie a dowcipnie odpowiadać na podchwytliwe, choć bojaźliwe pytania przedstawiciela „Doniczkarza Polskiego”.

Najpierw opowiedziała w miarę dokładnie i barwnie, jak przebiegają próby w Operze Leśnej, jakie wyłaniają się trudności i jak kolektyw festiwalowy je zwalcza, ilu przyjechało gości krajowych i zagranicznych, ile ona musi znać języków, choć pobieżnie, aby się z nimi porozumieć, jakie trudności nastęrczają akredytowani dziennikarze i fotoreporterzy swymi nie przemyślanymi pytaniami i wścibstwem, na szczęście są odseparowani dosyć skutecznie od festiwalu, gdyż zostali ulokowani w internacie szkolnym, tam im się zrobiło barek z tanią wódką, więc prawie stamtąd nie wychodzą, poza nielicznymi wyjątkami, oczywiście. W tym miejscu spojrzała wymownie na Tumidaję, a potem przeniosła pytający wzrok na „doniczkarza” i spytała, czy jeszcze czegoś chce się dowiedzieć. „Doniczkarz” podziękował i odparł, że wie już wszystko i z pewnością dokładnie poinformuje swoich czytelników o ciężkiej i niewdzięcznej pracy organizatorów festiwalu, za co w nagrodę otrzymał promienny uśmiech podstarzałej Bardotki.

Stwierdziła, że uważa konferencję prasową za zamkniętą i pośpiesznie zbierała się do wyjścia, zabierając z sobą

trzy opakowania słonych paluszków i butelkę wina. Ale nie doce- niła Tumidaja.

Tylko przez kurtuazję nie przerywał szumu informacyjnego płynącego z jej ust, czekał cierpliwie, aż skończy mówić, a kiedy to zrobiła, spytał (wstając z krzesła i kłaniając się przepaszająco), co się dzieje z Sylwią. Czy zrezygnowała z występów festiwalowych, czy odpowiadają prawdzie krążące plotki o jej tajemniczej śmierci, a jeśli tak, to czy została zamordowana, czy popełniła samobój- stwo, czy też zgasła w inny sposób?

— Powiadają, że się ukrywa — wyręczył w odpowiedzi Panią Sekretarkę bojaźliwy „doniczkarz” — Ale gdzie? — sam z kolei rzucił pytanie w przestrzeń.

— Och — zawołała Pani Sekretarka — każdy ma swoje miej- sce, gdzie może się ukryć!

— Czy pani знаła osobiście Sylwię? — spytał Tumidaj.

— Czy to ważne? — wydeła lekceważąco usta.

— Proszę odpowiedzieć na pytanie — wypadło to ostrzej, niż zamierzał. Zorientował się, że w ten sposób nic nie wskóra, ale było już za późno. Pani Sekretarka milczała obrażona. — Słucham — podjął łagodniej.

— Jest dużo niejasności wokół jej osoby — odparła patrząc ostentacyjnie w okno. — Nie wiem, dlaczego pana to tak interesu- je i tak chyba nie zamieści pan tych plotek w prasie?

— Chciałbym się w końcu czegoś konkretnego dowiedzieć — wybuchnął Tumidaj. Wstała gwałtownie.

— Nie jestem do takiego tonu przyzwyczajona — rzekła na- burmuszona. — To jest konferencja prasowa, a nie milicyjne prze- słuchanie.

— Proszę siadać i nie zapominać, że rozmawia pani z przedsta- wicielami prasy, a prasa to potęga — niespodziewanie przyłączył się do ataku przedstawiciel „Doniczkarza”.

— Prasa potęga! — prychnęła lekceważąco. — Dostaje-

cię na pamiątkę teczek, długopisy, komplet widokówek i zdjęć co ładniejszych piosenek, a tak że jesteście częstowani kawą, ciastkami, a nawet winem i koniakiem po to właśnie, żeby w gazetach było napisana to, co chcemy.

Jasne? — Usiadła z powrotem na krześle za stołem prezydialnym, obciągnęła kusą sukienkę, która i tak wysoko odsłaniała jej niezbyt apetyczne uda starzejącej się kobiety. Pochwyciła przelotnie ironiczne spojrzenie Tumidaja, więc ogromnym zdjęciem Gwiazdy Numer Jeden, które z sobą przyniosła, zakryła gołe uda, zwarła mocniej kolana i odważnie spojrzała Tumidajowi w oczy, ale Tumidaj twardym spojrzeniem zmusił ją do spuszczenia wzroku.

— Nie chcę pani straszyć — powiedział — ale zatajenie przed prasą czegokolwiek, co mogłoby pomóc w wyświetleniu prawdy, jest niezgodne z panującymi u nas zwyczajami i może w rezultacie obrócić się przeciwko pani.

— Niech pan mnie nie straszy — powiedziała wyniośle. — Ja znam swoje obowiązki. Jeżeli czegoś zapomniałam, to tylko poczęstować panów winem. — Nalała wina do kieliszków i rozerwała opakowanie ze słonymi paluszkami. — Proszę się częstować — rzekła tak samo wyniośle.

„Doniczkarz” rzucił się natychmiast na wino, wypił do dna, nalał sobie ponownie, ale paluszków nie ruszał. Za twarde dla jego bezzębnych dziąseł.

Pani Sekretarka wskazała na niego i powiedziała:

— Ten pan też jest dziennikarzem, a zachowuje się całkiem przyzwoicie.

„Doniczkarz” i Pani wymienili ukłony, „doniczkarz” odsunął krzesło i poprosił Panią Sekretarkę do wspólnego stołu, a kiedy usiadła, poczęstował ją papierosem (służbowym, z paczki leżącej na stole, przeznaczonej dla prasy), który przyjęła z pewnym wahaniem, być może nie chciała wdawać się w zażyłą komitywę z bezzębnym „doniczkarzem”, gdyż od czasu do czasu zerkała na Tumidaja, i to cał-

kiem obiecująco — już mu wybaczyła obcesowe pytania.

— Napije się pani kawy? — spytał Tumidaj kurtuazyjnie, mając w zanadrzu gotowy nowy plan ataku.

— Dziękuję, chętnie — powiedziała.

Tumidaj nalał kawy do filiżanek z dzbanka stojącego na stole.

Piła drobnymi łykami, natomiast „doniczkarz” wypił od razu do dna, jak gdyby się obawiał, że mu za chwilę zabiorą.

— Pan też interesuje się Sylwią? — spytała go niespodziewanie Pani Sekretarka.

„Doniczkarz” zakrztusił się (pił teraz wino, trzeci kieliszek).

— Mnie to nie obchodzi — odparł. — Interesuje mnie tylko to, co jest na scenie, nic poza tym nie widzę.

— A ten pan jej szuka — wskazała na Tumidaję, rozciągając mocno uszmiłkowane usta w krzywym uśmiechu. — Szkoda czasu, przecież tyle ważnych rzeczy dzieje się na festiwalu. Właściwie dopiero się zaczęła — poprawiła się — ale już teraz można znaleźć sobie bardziej atrakcyjne zajęcia — dodała zachęcająco, patrząc Tumidajowi w oczy.

Nagle się zakotłowało. Tabun dziennikarzy i fotoreporterów, na czele z Recenzentem Wszemmocnym i Głównym Zapowiadaczem, wpędził na salę wystraszoną Gwiazdkę Numer Jeden.

Najpierw w szybkim tempie ogołocili stół ze wszystkiego, co dało się zjeść i wypić, a potem zarzucili gradem pytań speszoną Gwiazdkę. Po zniknięciu Sylwii ona była główną kandydatką do nagrody dziennikarzy akredytowanych przy Festiwalu, więc poczynano sobie z nią bezceremonialnie, zadawano jej niezliczoną liczbę głupawych pytań w rodzaju: co woli, kolor zielony czy żółty i tak dalej.

A tymczasem morderca bezkarnie zażywa sobie plaży,

rozmyślał Tumidaj, czekając, aż się trochę uspokoi i sam będzie mógł wkroczyć do akcji.

— Kim jest pani narzeczony? — pytał Recenzent Wszechmocny.

— Nie mam narzeczonego — odpowiedziała.

Recenzent, wyraźnie ucieszony, dalej ją inwigilował na tematy damsko-męski. Tumidaj omiół go pogardliwym spojrzeniem, co widząc, zwrócił się do Tumidaja powoli i protekcyjnie:

— Z jakiego pisma?

— „Gazeta Codzienna” — poinformował Tumidaj.

I znowu jazgotliwy chór pytań w stronę Gwiazdki Numer Jeden (w zastępstwie).

— Niech pani opisz jakąś mrozącą krew w żyłach scenę z swojego życia.

— Czy chodzi o wakacyjne przygody?

— Do diabła z wakacyjnymi przygodami!

Główny Zapowiadacz, patrząc na dziewczynę, spytał:

— Czy jadąc na festiwal liczyła się pani z możliwością sukcesu, czy też porażki?

— Ma dużą głowę, a taki głupi — szepcze ktoś. — Już dawno powinien przestać pokazywać się na estradzie, obniża tylko poziom, i tak niewysoki.

— Czy już ma pani napięte zagraniczne kontakty?

— Wszyscy mają napięte kontakty — mówi ogłupiała Gwiazdka Numer Jeden bez zastanowienia.

— Czy sprawy przybierają taki obrót, jaki by pani chciała? Czy pani przejmuje się festiwalem, swoim występem, przecież to już można liczyć na godziny, nawet na minuty — krzyczy ktoś z kąta.

— Na sekundy — woła jakiś fotoreporter.

Teraz rzucają się w jej kierunku z aparatami, robią zdjęcia, kłękają, kładą się, pchają się jeden przez drugiego, zgiełk, zamieszanie.

Przedstawiciel Radia, z paskudną, wykrzywioną twarzą, na którą nie można patrzeć (całe szczęście, że pracuje

w Radiu, że go nie widać, ale pewnie wepchnie się do Telewizji, myśli Tumidaj, ci z Radia wszyscy pchają się do Telewizji), mamrocze przez grube, nabrzmiałe usta, jakby przed chwilą zszedł z ringu po nokautującym ciosie. — Oto dzisiejsze możliwości młodzieży, wczoraj jeszcze nikomu nie znana, jutro na ustach wszystkich, dawniej tego nie było.

— Czy pani jest dziewicą? — piszczy jakaś dziennikarka, zajadając się słodyczkami.

— Takich pytań nie wolno zadawać — protestuje w imieniu Gwiazdki jej impresario.

— Jest niewinna, wierzę w to, zresztą to widać — woła Recenzent Wszechmocny — ale do rzeczy, proszę państwa, do rzeczy!

— Kogo pani najbardziej się obawia, czy tej Mulatki, jak ona się nazywa? czy tej fajnej Czeszki z długimi nogami? — to pytanie fotoreportera.

— Ja bym radził uważać na Angielkę, na tę z końską szczęką, ale jak śpiewa!

— Ruski jest lepszy!

— To opera!

— Ale ma głos, wszyscy wysiadają!

Gwiazdka Numer Jeden już się gubi w natłoku pytań, odpowiada bez sensu, zaprzecza, znowu się płacze, Pani Sekretarka wydyma pogardliwie usta w sposób, jaki zapewne podpatrzyła na filmach (w swej młodości) z Brigitte Bardot. — O co panom właściwie chodzi? — mówi. — Wygląda na to, że nie mają panowie opracowanej koncepcji pytań. Proszę uprzejmie o zachowanie kolejności, kto ma jakieś pytanie, proszę rękę do góry, to nam ułatwi prowadzenie konferencji.

Pierwszy zabrał głos ten z Radia. Tumidaj nie mógł na niego patrzeć, pomyślał, że z taką twarzą, mimo wszystko, nie powinien pokazywać się wśród ludzi. Aby poprawić swój nastrój, spojrział na Gwiazdkę, była naprawdę śliczna, wcale nie brzydsza od Sylwii, choć może w innym sty-

tu. Jej spłoszone oczy spojrzały z pewną nadzieją na Tumidaję, więc wstał i spytał rzeczowo:

— Czy pani się orientuje, co się dzieje z Sylwią?

— Niestety — odparła — nic konkretnego na ten temat nie wiem, ale bardzo żałuję, że nie wystąpi. To była moja przyjaciółka.

— Podobno nie żyje — zawołał ktoś.

— Właśnie — ciągnął Tumidaj — być może zbrodniarz planuje następne morderstwo.

— Myśli pan, że nasza Gwiazdka jest w niebezpieczeństwie? — zapytał Główny Zapowiadacz. — Oto najlepszy przykład, jak się rodzą plotki. Kto panu powiedział, że Sylwia została zamordowana? Co to za bzdury? Muszę kategorycznie zaprzeczyć i proszę panów kolegów, więcej, żądam, abyśmy w zarodku plewili takie wysrane z palca wiadomości. To w ogóle podejrzana robota! Komuś na tym zależy!

— Ale nie da się ukryć, że Sylwia zniknęła — upierał się Tumidaj.

— Co to nas, dziennikarzy, obchodzi? — zawołał Główny Zapowiadacz. — Nas powinien interesować przede wszystkim festiwal, to co się dzieje na scenie, a nie jakieś plotki. Do rozpoczęcia festiwalu mamy jeszcze trochę czasu, poczekajmy, zobaczymy, może wszystko się wyjaśni. — To powiedziawszy, wyszedł z sali.

— Poszedł na plażę — krzyknęła jakaś leciwa dziennikarka. — Wszyscy powinniśmy już dawno tam siedzieć.

— Szkoda pogody! — Wyszła również, a za nią nagle pozostali, tak jak przyszli, stadnie, niemal tratując się, być może Główny Zapowiadacz wychodząc dał im sygnał, że tu już nie ma czego więcej szukać. Zostali tylko Gwiazdka i Tumidaj.

— Przepraszam panią za to wszystko — powiedział — ale musi pani pomału do tego się przyzwyczaić, dziennikarze to hieny.

— Czyżby? — ułożyła buzię w ciup. — Przecież pan też jest dziennikarzem.

— Początkującym [redacted] dodał Tumidaj — to zupełnie inna sprawa, jeszcze nie obrosłem rutyną i sadłem na ciepłej posadce. Ale wracając do tematu głównego: ciekawe, co pani tak naprawdę myśli o zniknięciu Sylwii?

Pochyliła ze smutkiem głowę i ruszyła do wyjścia. Na ulicy przed hotelem Tumidaj stwierdził w duchu, że w blasku słońca cała jest koloru pszenicy. Jasne włosy spięte niedbale w gruby warkocz, mieniące się złotawo, musnęły delikatnie jego policzek, gdy pochylił się nad nią, aby ochronić ją przed gwałtownym atakiem zbieraczy autografów. Musieli cofnąć się do hotelu, wyszli z drugiej strony, na plażę. Tu publiczność nie miała dostępu, a czas Festiwalu bowiem Grand Hotel stawał się warowną twierdzą i tylko okaziciele specjalnych znaczków mieli prawo tutaj przebywać.

Tumidaj napawał się urodą Gwiazdki Numer Jeden (w zastępstwie). Ale jeśli Sylwia naprawdę została zamordowana, to kto wie, czy on i wszyscy inni ścigający zbrodniarza nie idą fałszywą drogą? Szukamy tradycyjnych motywów zbrodni, medytował, gdy tymczasem morderca być może jest nieuleczalnym maniakiem, mszczącym się na kobietach za jakieś urojone krzywdy zrodzone w wybujałej wyobraźni erotycznej. Oto, na przykład, idzie facet na niedzielny spacer z żoną i trojgiem dzieci, odchodzi na chwilę do kiosku z gazetami, po drodze, korzystając ze sprzyjających okoliczności, morduje pierwszą lepszą kobietę. Jaka istnieje wtedy szansa schwytania go? myślał ponuro, a przecież były takie wypadki, i to dosyć głośne. Morderca zjawia się zawsze w miejscu, gdzie jest najmniej spodziewany. Jeszcze nieświadom tego, co go sprwadza, ale jak przeznaczenie zmierzający nieuchronnie do celu. Kto nim jest w tym wypadku i kogo sobie przeznaczył na następną ofiarę? A jeżeli to ktoś z kręgu festiwalowców lub rzecznik interesów którejś z kandydatek do pierwszego miejsca,

to po śmierci Sylwii celem tym będzie następna Gwiazdka Numer Jeden.

— Chcę pani pomóc — ujął mocno dziewczynę pod rękę. — Proszę mi zaufać.

— Jeżeli to panu sprawia przyjemność, proszę bardzo — powiedziała z fałszywą słodyczą, robiąc buzię w ciup, i zaraz dokończyła lodowato: — A teraz zechce pan puścić moją rękę, będę miała sińce.

Tumidaj poczuł się zawstydzony, a ona, gdy tylko zwolnił uścisk, wy-mknęła mu się i pobiegła na plażę do siedzących tam w dużej gromadzie gwiazd i gwiazdeczek, gwiazdorów i gwiazdorków oraz osób towarzyszących.

Wszyscy skupili się wokół Gwiazdy Numer Cztery, Żony Reżysera. Kiedy Tumidaj podszedł do nich, już w spodenkach kąpielowych, z Żoną Reżysera rozmawiał tekściarz i kompozytor przebojów w jednej osobie, zwany Przebojowcem. Żona Reżysera ukradkiem przyglądała się Tumidajowi, Tumidaj od razu to spostrzegł, ciągle łypała w jego stronę przez ramię Przebojowca. Poczekał, aż skończą rozmowę, i zaproponował Przebojowcowi wspólną kąpiel.

— Chcę, żeby pan mi opowiedział trochę o Sylwii — rzekł do niego. — Wiem, że często śpiewała pana piosenki. Właściwie na tym zrobiła karierę.

Przebojowiec jednak nie był tym pomysłem zachwycony.

— Bawi się pan w małego detektywa? — spytał, zanurzając przeraźliwie białe stopy w morzu, bo już dotarli do brzegu i teraz spacerowali tam i z powrotem, nie wchodząc jednak do wody (oczywiście pomijając fakt, że Przebojowiec zamoczył swe kończyny).

— Była najlepsza — powiedział Tumidaj — chciałbym o niej coś ciekawego napisać.

— Tylko tyle — warknął Przebojowiec — najlepsza?

— Niektórzy kochali się w niej do szaleństwa.

Tumidaj przybrał znudzony wyraz twarzy. — Jeżeli

pan nie chce mówić na jej temat, to przepraszam. Pomyślałem sobie jednak, że Recenzent Wszechmocny kłamał.

— Recenzent? — zawołał. Co mówiła panu ta świnia?

Tumidaj już wiedział, że Przebojowiec i Recenzent są śmiertelnymi wrogami (Recenzent zawsze ostro krytykował przeboje Przebojowca, podobno kiedyś razem pisali teksty, ale się pokłócili o tantiemy, stąd ta ich nienawiść).

— Nic ważnego — powiedział Tumidaj. — Podobno odrzucił panu sześć nowych piosenek.

Przebojowiec zaśmiał się krótko, urywanie.

— Frajerze, dałeś się wziąć na to, co mówi ten grubas — stuknęła się dłonią w czoło — byłbym taki głupi, żeby jemu dawać moje piosenki do zatwierdzania?

— Jest prawie w każdej komisji repertuarowej — powiedział Tumidaj. — W wielu zasiada jako przewodniczący.

— Jak chcesz wiedzieć, to przez tę cholerną idiotkę jesteśmy z grubasem na noże.

Tumidaj nie wiedział, kto jest tą „idiotką”, ale na razie nie pytał, Przebojowiec na pewno sam powie, już się rozhuśtał.

— Żebyś wiedział, ta... — seria niewybrednych epitetów, potem pełne imię i nazwisko, chodziło o Gwiazdę Numer Jeden — taka owaka skłóciła nas na zawsze. — Zamyślił się, grzebał białą stopką w morzu, Tumidaj nie chciał mu w tych rozmyślaniach przeszkadzać. — Wszyscy mi zazdrościli sukcesu — wyszeptał. — Co tylko stworzyłem, od razu bomba! To ich strasznie denerwowało. Latali do ZAKS-u sprawdzać, ile milionów mam na koncie.

— Rzeczywiście — przytaknął Tumidaj — wypuścił pan spod swojej ręki bardzo piękną serię piosenek.

Przebojowiec wszedł do wody po kolana, obmył sobie twarz i wrócił.

— Byłem w niej zakochany jak mops — zaczął ochryplym głosem i urwał, a potem gwałtownie dodał: — To ja ? niej zrobiłem Gwiazdę Numer Jeden, na moich piosenkach tak się wysforowała do przodu, zaczęło jej to impo-

nować, tym bardziej że Recenzent prawie codziennie piał w swojej gazecie, jaka to ona genialna, i zaczęło się babie we łbie przewracać. Pokłóciliśmy się, zerwałem z nią, wtedy szybko podskoczył do niej Recenzent, jeszcze dobrze po mnie nie ostygła, już był przy niej. Korzystał z mojej sławy, niby był współautorem niektórych moich tekstów, postanowiłem, że mu ją z powrotem odbiorę i wtedy pokłóciliśmy się na dobre.

— Pozwoli pan — rzekł Tumidaj — że znowu zadam panu niedyskretne pytanie, zresztą w tej materii istnieją tylko pytania niedyskretne. Chodzi mi o Sylwię.

Przebojowiec machnął ręką, nie pozwolił mu dokończyć.

— W porządku! — zawołał. — Bez przerwy teraz o niej się mówi. I tylko o niej. Te stare baby — wskazał na leżakujące gwiazdy — nie mogą tego ścierpieć. Wołałyby już, żeby w ogóle nie zniknęła.

— No właśnie — powiedział Tumidaj, — co pan sądzi o jej zniknięciu?

— Zupełnie jak na filmie! — zawołał. — Europeizujemy się. W San Remo pewien autor popełnił samobójstwo, gdy jego piosenka nie weszła do finału, u nas zaczynają znikać w tajemniczych okolicznościach obiecujące panienki, to robi klakę, przynosi rozgłos, szkoda, że mnie nikt nie chce porwać.

— Sądzi pan, że ją porwano? — spytał Tumidaj.

— No jasne! — odparł Przebojowiec — i nawet domyślam się, kto to zrobił, tylko tego panu nie powiem. Jedno jest pewne: na festiwalu zaśpiewa. — Przebojowiec poszedł do wody, tym razem zanurzył się aż do pasa. Wrócił. — Niech pan to wszystko napisze w korespondencji przed festiwalem, bo za kilka dni, po festiwalu, będzie to już tylko musztarda po obiedzie.

— Nie bardzo wiem, co napisać — przyznał się szczerze Tumidaj — na razie to tylko plotki, domysły...

— Cooo?! — ryknął Przebojowiec — uważa pan, że ja plotkuję? Nie mam nic lepszego do roboty?

— Broń Boże — sumitował się Tumidaj — tak mi się tylko wyrwało.

— Dobra — Przebojowiec złągodniał nieco — jedźmy dalej. Na czym to stanęliśmy?

— Na zaginięciu Sylwii — podpowiedział Tumidaj.

— Aha. Ostatnio widywałem ją prawie codziennie, przygotowywała recital moich piosenek. Czasem zdarzało się jej nie wrócić na noc do domu, to ten Jej-Gitarzysta dostawał szału. Któregoś dnia wpadł do mojego mieszkania, zaczął się gwałtownie domagać, aby Sylwia zaniechała współpracy ze mną, co było, oczywiście, śmieszne, to ona robiła dopiero karierę, nie ja. Potem zaczął wygadywać na mnie różne rzeczy, brzydkie, ma się rozumieć, co znowu nie miało, jeśli chodzi o mnie, takiego dużego znaczenia, ale psuło opinię dziewczynie.

— Sylwia wiedziała o tym? — spytał Tumidaj.

— Wiedziała — odparł — ale była zupełnie bezradna.

I jeszcze ta jej matka przekupka, gderająca bez przerwy, to wszystko się spiętrzyło, i Sylwia uciekła z domu, potem zerwała z Jej-Gitarzystą, nie będę ukrywał, że zamieszkała u mnie, a potem zjawiał się ten buc...

— Buc?! — zawołał Tumidaj. — Jaki buc? Kto to jest?

Przebojowiec skrzywił się w ironicznym uśmiechu.

— Bez przerwy pan kogoś o coś wypytuje, a tak mało wie. Nie słyszał pan o tym bucu, który przyjechał z Ameryki z naszą sławną na cały świat Supergwiazdą?

— Nie — przyznał się Tumidaj.

— Więc kiepski z pana śledziasz — Przebojowiec silił się na dowcip — nawet do ORMÓ by pana nie przyjęli.

Nagle podszedł do nich Klezmer, ukłęknał na brzegu morza, był porządnie pijany, widać ten upał rozebrał go kompletnie.

— Chłopcy — zawołał — zanieście mnie na głęboką wodę, chcę się utopić!

— Ale nasz przyjaciel opowiada panu kawały! — Tu-

midaj usłyszał za sobą znajomy głos, odwrócił się, to była Gwiazda Numer Jeden. — O tej małej Sylwii i o jej tajemniczym zniknięciu. — Powiedziała do Przebojowca: — Daj spokój. Nie ma o czym mówić, robicie tylko niepotrzebne zamieszanie.

— To on! — Klezmer strzelił palcami w stronę Tumidaja. Miał potężną brodę, a w brodzie okruchy bułki czy chleba, Przebojowiec chciał mu je strącić, ukucnął przy Klezmerze, jedną ręką chwycił go za brodę, drugą przytrzymał przewracającego się. — Żadnych takich — mamrotał Klezmer.

Gwiazda Numer Jeden usiadła obok Klezmera i gładziła go po głowie.

— Biedne dziecko — mówiła pieszczotliwie (w samej rzeczy Klezmer, był jeszcze bardzo młodziutki). Teraz wichrzyła mu włosy.

— Odczep się! — Klezmer z trudem odchylił głowę.

Uparcie go gładziła. — Biedne dziecko!

Przebojowiec odtrącił jej rękę i znowu chciał wyjąć te okruchy z brody Klezmera. Klezmer czknął, zacisnął usta, policzki mu się wyduły, w porę jednak zdążyli odskoczyć, Klezmer, zataczając się, wskoczył do morza.

Tłum plażowiczów w skupieniu, z należnym uszanowaniem i z dystansu przyglądał się, jak spędzają wolny czas artyści.

— Zmęczył się chłopiec — powiedziała Gwiazda Numer Jeden, śmiejąc się, i próbowała teraz pogłodzić po głowie Przebojowca.

— Ty — powiedział groźnie — wiesz, że tego nie lubię, gładź sobie tych swoich Klezmerów.

— To mili chłopcy — Gwiazda Numer Jeden śmiała się — co masz przeciwko nim?

— Ona ma rację! — Recenzent przytoczył się do nich.

— Ty grubasie — zawołał Przebojowiec — idź lepiej się wykąp w morzu! Schudniesz.

Recenzent zrobił pół obrót, pół ugięcie w kolanach, z wy-

rażnym trudem przestawiał swoją tłustą posturę z nogi na nogę, i ten gest ręką — cały arsenał środków do wykonania tak prostej czynności, jaką było objęcie za ramię Gwiazdy Numer Jeden.

— Tylko bez żadnych pieszczot na plaży! — zawołał Przebojowiec — ty grubasie!

Recenzent skrzywił się, miało to imitować uśmiech. Teraz zebrała się wokół nich spora gromadka plażowiczów, odważyli się podejść dosyć blisko i w nabożnym skupieniu łowili każde słowo. Głos Gwiazdy Numer Jeden zdecydowanie wybijał się z ogólnego szumu, niósł się daleko (może dlatego, że była najwyższa i jej głowa sterczała wysoko ponad tłumem).

— Bardzo piękny ma głos ta Gwiazda Numer Jeden, nawet jak mówi — rzekł ktoś z tłumu, zdaje się jakiś małomiasteczkowy wczasowicz oglądający dotychczas gwiazdy tylko w telewizji.

Gwiazda Numer Trzy paradowała z jakimś starszym gościem, który słuchał jej paplaniny ugrzeczniomy, pochylony, musiał od niej zależeć albo mu na niej bardzo zależało, może chciał ją wpędzić do łóżka (oczywiście swojego). Tumidaj widział go za kulisami Opery Leśnej; zdaje się, że to jakiś dziesiąty pomagier z Telewizji. Przebojowiec zauważył, że Tumidaj przygląda się temu facetowi, podszedł do niego i wskazując na Tumidaję, rzekł: — On czeka na pana. — Facet był wyraźnie zaskoczony, spojrzął na Tumidaję jakoś bezradnie. — To jest ten młody dziennikarz, o którym już pewnie pan słyszał — powiedział Przebojowiec. — Niech pan zostawi to ciało (Gwiazdę Numer Trzy) i idzie do niego. Czeka na pana. — Facet niewiele myśląc podszedł do Tumidaję i dopiero teraz, gdy podszedł, zorientował się, iż popełnił nietakt wobec Gwiazdy Numer Trzy, wrócił do niej w ukłonach i jął się brać do przeproszania, i dygając, znowu odstąpił od niej i podszedł do Tumidaję.

Gwiazda Numer Trzy była zła, patrzyła na Tumidaję

z nie ukrywaną wrogością, mówiła coś do Przebojowca wymachując rękami.

— Weź sobie młodego chłopczyka — powiedział Przebojowiec — po co ci taki stary rzęch, zresztą on nie ma nic do gadania w telewizji. — Załatw to lepiej z Reżyserem. — Gwiazda Numer Trzy obraziła się, chciała odejść, lecz Przebojowiec przytrzymał ją za rękę i coś szeptał do ucha, słuchała z zainteresowaniem.

— Co pan na to? — Tumidaj zwrócił się do tego ugrzecznionego faceta. — On potrafi postępować z kobietami.

Facet pochylił się do Tumidaja w sposób nader konspiracyjny, jakby zdradzał najtajniejszą tajemnicę.

— Mógł tak postąpić, on jeden mógł tak postąpić w tej konstelacji — mówił ledwo słyszalnym szeptem. — My wszyscy musimy się z gwiazdami oscylującymi wokół Reżysera bardzo liczyć, bo gwiazdy ze stajni Reżysera są jego wyłączną własnością, Przebojowiec jest już na tyle sławny, że się niejako wysferzył, już mu nie zagrażają skargi i zażalenia gwiazd składane na ręce Reżysera, wszędzie go dopuszczają, więc mu nie zależy na dobrych stosunkach z panią Gwiazdą Numer Jeden czy Numer Trzy i ewentualnej ich protekcji, jak temu Kompozytorowi Dziesiątemu, który pisze kiepską muzykę do kiepskich tekstów — wskazał dyskretnie na Kompozytora Dziesiątego, też z bujną brodą jak Klezmer. — Zresztą Przebojowiec na takie odzywki może sobie pozwolić także i dlatego, że był kiedyś amantem Gwiazdy Numer Trzy. Niech pan to weźmie pod uwagę.

Podszedł do nich Kompozytor Dziesiąty, łysawy, ale przyczesany, nawet ulizany, te resztki włosów bardzo mokre, ociekające wodą, pewnie wyszedł z morza. Spojrzał mętnym wzrokiem na Gwiazdę Numer Trzy i na Przebojowca, stojących bardzo blisko siebie i czule trzymających się za ręce. Zdenerwował się i chciał uciec, wtedy Gwiazda Numer Trzy krzyknęła, a raczej powiedziała dosyć ostro i stanowczo:

— Dziesiąty, proszę tutaj!

— Ona chce cię rozgrzać po kąpeli — dodał Przebojowiec. Trzymając nadal Gwiazdę Numer Trzy za rękę, drugą ręką chwycił Dziesiątego i pociągnął w stronę Gwiazdy. — No to cyk! — powiedział — całujcie się, dajcie ludowi trochę uciechy.

Kompozytor Dziesiąty stał osłupiały, nie bardzo wiedział, jak się zachować, patrzył to na Gwiazdę Numer Trzy, to na Przebojowca.

— Dobry pomysł — zawyrokowała Gwiazda.

— No to siup! — Przebojowiec popchnął ich do siebie.

Zderzyli się głowami, brodacz prychnął nosem, opił się pewnie za dużo morskiej wody w czasie kąpeli.

— No, całowanie! — wołał Przebojowiec.

Kompozytor Dziesiąty próbował udawać dżentelmena, pochylił się, chciał pocałować Gwiazdę w rękę na przeprosiny za to zderzenie głowami.

— Najpierw w usta! — krzyknął Przebojowiec.

Kompozytor Dziesiąty poderwał się żwawo i zanim Gwiazda Numer Trzy zdążyła zorientować się w Sytuacji, już trzymał jej głowę przechyloną i całował zawzięcie, a kiedy wreszcie wyswobodziła się, udając obrażoną, pocałował ją grzecznie w rękę. Czy nił to wszystko z otepiąłem, bezmyślnym wyrazem twarzy.

Przebojowiec zaśmiał się głośno i poszedł do Żony Reżysera, leżakującej godnie w otoczeniu gwiazdek i gwiazdorków, kandydatów do awansu o szczebel wyżej w hierarchii śpiewaków estradowych.

— Zaparty jest ten brodacz — powiedział Tumidaj do tego ugrzecznionego i udał się za Przebojowcem. Śledził go dlatego, iż uważał, że Przebojowiec jeszcze nie wszystko powiedział, a na pewno wie dużo.

Przebojowiec podszedł do Żony Reżysera, usiadł na piasku przy jej leżaku, więc Tumidaj stanął w przyzwyczajonej odległości między anonimowymi plażowiczami i czekał na sposobność dalszej rozmowy z Przebojowcem sam na sam.

Patrzył zresztą uważnie na wszystkich, bo szeptali między sobą tajemniczo, podszedł bliżej, wyteżył słuch. Gwiazda Numer Cztery (Żona Reżysera) zorientowała się, że Tumidaj podsłuchuje.

— A pan tak ciągle samotnie — zwróciła się do niego — czy źle się pan bawi?

— Dziękuję — Tumidaj skłonił się — wyśmienicie. Nigdy tych uroczych dni spędzonych w tak miłym towarzystwie nie zapomnę.

Do rozmowy włączył się Gwiazdor Numer Jeden.

— No już, niech pan nie udaje, że tak panu dobrze, ma pan minę węszącego psa. — Zaśmiał się hałaśliwie, jedna z gwiazdek próbowała go odprowadzić na stronę, ale się wzbraniał. — Szuka pan jakiejś dziewczynki na podryw, co? — wołał. — Niech pan złapie pierwszą lepszą i wystąpi ostro, na zaskoczenie, na duś!

Gwiazda Numer Cztery, spełniająca honory pierwszej damy i gospodyni, nie wiedziała, co począć. Czy się obrazić i odejść, czy go uspokajać? Trzepotała rękami i potrzasała głową, wyglądała jak kura kąpiąca się w piasku.

— A może szuka pan czegoś innego? — wołał Gwiazdor Numer Jeden. — Proszę powiedzieć, pomożemy.

Gwiazda Numer Cztery, ale przede wszystkim jako Żona Reżysera, starała się go przekrzyczeć:

— Przestań w tej chwili!

— Zrób taki numer! — wołał Gwiazdor — żeby pamiętały te wszystkie dziewczuchy uganiające się za brzuchaczami z forsa!

Jedna z gwiazdek zerwała się nagle i pobiegła do morza, za nią tłusty facet, za tłustym facetem Gwiazdor Numer Jeden, za Gwiazdorem Numer Jeden Tumidaj, za Tumidajem reszta towarzystwa, niektórzy jednak przezornie zatrzymali się na brzegu.

Gwiazdka Anonimowa baraszkowała w wodzie z tłustym facetem, facet kokietował ją natarczywie.

— Renata! — zawołał Gwiazdor — zapomniałaś, jak zwykle!

— Pamiętam — odpowiedziała.

— Nie widzę tego.

Tłusty facet, który teraz nosił Renatę na rękach, zatrzymał się, patrzył na Gwiazdora z głupkowskim uśmiechem, Gwiazdor szarpnął Renatę za rękę, wpadła do wody, wyciągnął ją na powierzchnię, bo okropnie krzyczała, jakby się topiła (znajdowali się ciągle w wodzie sięgającej ledwie do pasa), odprowadził ją trochę dalej, ale Tumidaj jeszcze słyszał ich rozmowę. — Nie możesz chociaż na chwilę się skupić. — Ten facet przyczepił się, to syn podwarszawskiego badylarza, wszystkim bez przerwy funduje, chłopcy mówią, że bym go nie przepędzała, imponuje mu nasze towarzystwo, ale mnie się nie podoba. Chcę się go pozbyć, ale nie mogę. — Spostrzegła przysłuchującego się Tumidaja, zawstydziła się, chciała odejść, upadła do wody, Tumidaj pochylił się nad nią, próbował postawić ją z powrotem na nogi, poczuł silne uderzenie w kark, upadł, Renata krzyczała histerycznie, czuł, że jakieś ręce biorą go za ramiona, przytrzymują pod wodą, krztusił się, omal nie stracił przytomności, a kiedy go zostawiono w spokoju i kiedy wychynał na powierzchnię i już jako tako przyszedł do siebie, stwierdził, że w pobliżu nie ma nikogo Gwiazdor, Renata, tłuszcioch zniknęli, potem dopiero się zorientował, że płyną i są już daleko, prawie w pobliżu czerwonej boi.

— Panie kolego, co z panem? — to Dziennikarz, stary wyga festiwalowy, przyjeżdżający do Sopotu co roku od pierwszego Festiwalu.

Na co Tumidaj:

— A co z panem?

Trwała parominutowa mowa mniej więcej w tym stylu.

Potem dopłynęła do nich Gwiazdka Anonimowa (a jednak wróciła, pomyślał Tumidaj).

— Och, jaka jestem zmęczona! — zarzuciła niespodziewanie Tumidajowi ręce na szyję.

— No — Tumidaj starał się uwolnić z objęć ■■■ proszę bez demonstracji!

Pocałowała go.

— Tylko bez demonstracji — powtórzył, odsuwając ją od siebie. — Co się stało? — spytał, czuł ból w karku — kto mnie uderzył?

Dziennikarz śmiał się. — Po prostu jakiś pływak zamachnął się i rąbnął pana. Teraz w naszym kochanym Bałtyku jest już tak gęsto, że nie można swobodnie sobie popływać, chyba że nie w sezonie.

Gwiazdka Anonimowa znowu próbowała zarzucić Tumidajowi ręce na szyję, odsunął się, więc uwiesiła się u jego ramienia i patrzyła mu natarczywie w oczy.

— Dlaczego pani tak krzyczała? — spytał.

— Sama nie wiem. Przestraszyłam się.

— Czego?

— Nie wiem.

— Jakiś powód musiał być. Krzyczała pani, jakby się czegoś przestraszyła. Co to było?

— Bałam się o pana.

— O mnie?

— Tak. Myślałam, że pan nie umie pływać i się utopi.

— Co za bzdury! — zawołał Tumidaj — na takiej płytkiej wodzie?

— Nie warto przejmować się słowami młodych panienek — poradził doświadczony Dziennikarz. ■■■ One są wszystkie przewrażliwione atmosferą panującą na festiwalu. To napięcie, oczekiwanie daje znać o sobie czasem w dziwny sposób. Sam już bym chciał, aby ten festiwal wreszcie się rozpoczął.

W pobliżu baraszkowało w wodzie stado gwiazdek i gwiazdorków, jeden z gwiazdorków pociągnął Gwiazdkę Anonimową do swojego stadka.

Tumidaj masował kark, ciągle go bolał. Gwiazdor Numer Pięć przeszedł obok lunatycznym krokiem i bojaźliwie zanurzył się po szyję, za nim czaiło się kilka młodziutkich dziewcząt, które pewnie wyrwały się spod kontroli matek i teraz z zachwytem patrzyły na swego ulubieńca zażywającego morskiej kąpieli. Będą miały w szkole co opowiadać.

Zjawiła się Gwiazda Numer Jeden, pogładziła Tumidaję po głowie.

— Jak się czujemy, kochasiu? Ale upał! — I rzuciła się w otchłań morską, płynęła niezdarne, trzepocząc rękami, jakby za chwilę miała się utopić.

— Kto to właściwie jest ta Gwiazda Numer Jeden? — spytał Tumidaj zasłużonego Dziennikarza.

— Widzę, panie kolego, że nie ustaje pan w wysiłkach w poznawaniu bliźnich. Czyżby tylko zawodowa ciekawość?

— Oni wszyscy strasznie działają mi na nerwy — przyznał się Tumidaj.

— Dam panu dobrą radę, panie kolego — rzekł Dziennikarz — niech pan stara się z nią nie zadzierać.

— Taka ważna?

— Chyba nazwisko — tu wymienił nazwisko — mówi coś panu?

— Owszem.

— Więc rozumie pan, panie kolego?

— Nie.

— Więc jeszcze powiem panu, panie kolego, że to właśnie z poręki tego pana została Gwiazdą Numer Jeden i już od ładnych paru lat jest udziałną księżną na festiwalu.

A sroga jest i okropnie psuje ludziom krew. Tylko z prasą stara się żyć dobrze. Sylwia z nią zadarła, no i szybko się skończyła.

— Nigdy nie uwierzę w to, co pan mówi — oburzył się Tumidaj. — W końcu istnieją jakieś obiektywne kryteria, według których ocenia się talent, zdolności... Sylwii

nie można się pozbyć ot, tak, z dnia na dzień, jak kogoś przeciętnego.

— Słusznie — powiedział Dziennikarz — tylko że oni wszyscy akurat byli solidarni w tym jednym, okropnie zazdrościli jej sukcesu. Każdy błyskawiczny wielki sukces wzbudza u ludzi podejrzliwość co do metod, przy pomocy których został osiągnięty. A gdy w dodatku jest to młoda, śliczna dziewczyna, robiąca oszałamiającą, jak na nasze warunki, karierę, wszyscy uważają, że jej droga do sławy była usłana łózkami. A gdy to nie wystarcza do zdyskredytowania, wtedy sięga się po inne metody, bardziej radykalne i skuteczne. — Dziennikarz wysunął żółte, nad wyraz duże zęby i chichotał. — Ja panu tego nie potrzebuję mówić, niech pan zapyta kolegów dziennikarzy o głośniejszych nazwiskach niż moje, powiedzą panu to samo.

A nawet piosenkarze, bo niektórzy w początkach swej kariery doświadczyli tego na własnej skórze. — Ciągłe chichocząc, podszedł do rozbrykanego stadka gwiazdek i gwiazdorków, a Tumidaj postanowił popływać trochę, żeby się porządnie zmęczyć i o wszystkim zapomnieć, przynajmniej na razie. Nie dawały mu jednak spokoju wieści, w których Supergwiazda, Impresario Międzynarodowy i Sylwia, a także ogromnie bogaty przyjaciel Supergwiazdy występowali w rolach głównych.

Rekonstrukcję tych scen rozpoczął już w czasie pływania, a potem położył się na piasku z dala od festiwalowców i z przymkniętymi oczami odpłynął w przeszłość, a być może i terażniejszość, a nawet przyszłość, przecież wyobraźnia ludzka podobno nie zna granic.

Impresario Międzynarodowy, czterdziestoparoletni, lysiejący elegant ze skłonnością do tycia, w elastycznych spodenkach w szaro-granatowe prążki, z aktówką i pledem pod pachą wyłonił się z drzwi prowadzących z Grand Hotelu wprost na plażę, rozejrzał się uważnie, jakby kogoś szukał w gęstym tłumie plażowiczów, wreszcie odnalazł Supergwiazdę i jej przyjaciela Feliksa. Przyszło mu to

z pewnym trudem, gdyż Supergwiazda maskowała się, nie chcąc być narażona na zbyt natarczywe zachwyty zwolenników jej czterooktawowego głosu. Cały jej rynsztunek plażowy sugerował (lub raczej miał sugerować), że to ktoś inny. Ale wszędobylscy wielbielec łatwo ją rozszyfrowali, przychodzili pojedynczo lub grupowo i z pełną atencją napałali się widokiem Supergwiazdy, która zrobiła olśniewającą karierę na drugiej półkuli, popisując się swym głosem w popularnych rewiach dla współczesnych kowbojów. Wielbielec oceniając ją ze znanstwem prawdziwych koneserów, stwierdzali, iż mimo posuniętych lat jeszcze nie zrezygnowała z uciech życia. Zresztą była zadbana, w miarę odchudzona (choć nie szczupła), mogła się jeszcze podobać. Siedziała na leżaku w pozycji nader swobodnej, na głowie miała ogromny słomkowy kapelusz z kokardą, czytała książkę. Spojrzała na Impresaria Międzynarodowego doświadczonymi, tęsknymi oczyma, on zaś uśmiechnął się skwapliwie. Czy nie przeszkadzam? zapytał z kurtuazją. Jeszcze raz ogarnęła go swym tęsknym, wyczekującym spojrzeniem. Stał lekko uśmiechnięty, sprawiał wrażenie człowieka o wykwinnych manierach. Jeżeli pan uważa, że to miejsce jest odpowiednie? przyzwoliła z czarującym uśmiechem. Które miejsce jest dzisiaj odpowiednie, złotko? ozwał się filozoficznie jej przyjaciel, mały, łysy tłuścioch, tak jak i ona swobodnie siedzący na leżaku, z tym jednak że zamiast książki trzymał w ręku kanapkę z szynką i jadł łączywie. Bardzo dziękuje, Impresario rzucił pled na przygotowany dla niego leżak i usiadł. Och, nie ma za co! Supergwiazda dalej grała komedię, przyglądając mu się z przyjazną ciekawością. Gdyby to było na przykład we Włoszech, gdzie plaże są prywatne... Czy mam uważać się za intruza? Drogi panie, zagłamał tłuścioch, kończąc jeść kanapkę, w Polsce korzystamy z dobrodziejstw ustroju.

Plaże są dla wszystkich. To nie posiadłość nadmorska w Las Vegas. Zażądał się z własnego dowcipu, Impresario zawtórował mu cienko, chichotliwie. Państwo pozwolą,

uniósł się na leżaku, nazywam się Impresario Międzynarodowy. Och, jakie śliczne nazwisko! zawołała Supergwiazda.

Że też istnieją jeszcze takie ładne nazwiska! Felix, mruknął tłuszcioch, przez „x”, proszę o tym nie zapominać. (Tumidaj oczywiście wnieście do tekstu tę poprawkę). A to moja przyjaciółka Supergwiazda. Też niezgorsze imię, prawda? Ale ta dziewczuszka ma jeszcze oryginalniejsze: **I**do**l**ka! Przyszła, oczywiście, nie bez sarkazmu dorzucił Felix.

Impresario Międzynarodowy dalej bawiąc się w grę „nieznajomych”, a tym samym chcąc sprawić wrażenie człowieka, któremu się powiodło, wyjął z eleganckiej brązowej aktówki drogie papierosy i poczęstował nowo poznaną parę. Felix jest przedsiębiorcą budowlanym na dużą skalę, pochwaliła się Supergwiazda, zaciągając się papierosem i wypuszczając niebieskawy dym na nieznanego jeszcze przed pięciu minutami mężczyznę. Ale on nie lubi o tym mówić. Dlaczego? zdziwił się uprzejmie Impresario Międzynarodowy (a teraz kandydat na wczasowego adoratora).

Ja również robię interesy i wcale się tego nie wstydzę. Nie wszyscy mogą być artystami. Ech, z tymi kobietami! zawołał Felix. Prowadzę w dwudziestu trzech miastach firmy budowlane i to wszystko. Felix strasznie nie lubi mówić w czasie urlopu o sprawach zawodowych, rzekła Supergwiazda. A pan, panie, och, przepraszam, zapomniałam.

Impresario Międzynarodowy, zachichotał wybaczająco. Ja również w czasie urlopu staram się oderwać od spraw zawodowych, odparł, ale prawie nigdy mi się to nie udaje.

A teraz poważnie, moje dzieci, zmienił nagle ton, kiedy przyjdzie ta mała? Chciałbym w końcu z nią porozmawiać, jeżeli chcesz (to do Supergwiazdy) brać ją z sobą aż za ocean i nie boisz się konkurencji. Nie udawaj, że to ja chcę, powiedziała Supergwiazda, sułasz mi głowę od chwili, kiedy ją tylko usłyszałeś. Oczywiście, powiedział Felix do Supergwiazdy, jeśli nie chcesz, to ja na to nie pozwolę i on nic nie będzie miał do gadania.

Dalszą dyskusję przecięło pojawienie się Sylwii. Szła

w kostiumie kąpielowym, zręcznie wymijała leżących, szybko drobiąc piasek bosymi stopami.

Już po próbie, rzekła zbliżając się. Teraz próbują inni, więc mam trochę czasu. To jest właśnie pan Impresario Międzynarodowy, powiedziała Supergwiazda, a to jest Felix. Wymienili ukłony. Impresario przyglądał się Sylwii natarczywie przekrwionymi, nieruchomymi oczyma. Czego ty właściwie szukasz na tym festiwalu? spytała Supergwiazda. Zdecyduj się wyjechać ze mną, a zobaczysz, że wszyscy będą ci zazdrościć. Och, teraz nie mogę, powiedziała Sylwia. Zresztą nasz festiwal liczy się w świecie. Głos miała niski, niepokojący, Impresario Międzynarodowy z trudem przesunął nieruchome, czerwone oczy na Supergwiazdę. Jakież kłopoty? spytał zduszonym głosem. Och, nic takiego, Supergwiazda patrzyła na niego porozumiewawczo. Po prostu jej chłopak, och, to za duże słowo, chłopak!... Po prostu młody człowiek z zespołu akompaniującego zakochał się w niej bez pamięci i na nic jej nie pozwala.

Proszę tak nie mówić! Sylwia spojrzała najpierw na Supergwiazdę, potem na Impresaria. Co to obchodzi tego pana? Impresario wstał z leżaka. Może pani usiądzie? Proszę bardzo. Nie, dziękuję. Opierała się smukłym udem o leżak, na którym siedziała Supergwiazda. Impresario odsunął się nieco, obserwował ją ukradkiem. Nie kończące się nogi, stwierdził w duchu, patrząc na jej chłopcę figurę. Sylwia pochwyciła to jego spojrzenie, speszona usiadła na leżaku. A więc pani występuje na festiwalu? zaczął, czy z tym chłopcem? On podaje się za jej narzeczonego, wyjaśniła Supergwiazda, choć to nieprawda. Moje złotko, nastąpiły takie czasy, że po jednym dniu znajomości już się zaręczają, wyjaśnił Felix. Impresario obejmował Sylwię swymi czerwonymi, nieruchomymi oczyma. Czatował, żeby pochwycić jej spojrzenie. W tym wieku, rzekł, różne dziwne rzeczy przychodzą do głowy. Pan jest żonaty? spytała Sylwia. Nie, chichotał cicho, skąd to pytanie. Bo mówi pan jak stary, przegrany mężczyzna, który ma tuzin dzie-

ci na karku. Pani nie lubi żonatych? zapytał obcesowo, nie przestając chichotać. Czy lubię? zastanawiała się obojętnie.

Głupie pytanie. Niektóre młode dziewczyny lubią, brnął dalej. Ale nie ja, wstała, nie patrzyła na niego. To już pójdę, powiedziała do Supergwiazdy. Spotkamy się na obiedzie. Powiedz panu, czy się zgadzasz na ten wyjazd, rzekła Supergwiazda. Właśnie czekam na decyzję, dodał Impresario, ja panią kupuję w ciemno. Później, odparła, pobiegła w kierunku morza. Zatrzymała się na brzegu, stojąc po kostki w wodzie. Impresario usiadł na leżaku i prowadząc blachą rozmowę z Felixem, obserwował Sylwię, która sprawiała wrażenie, jakby na kogoś czekała.

Felix sięgnął do podręcznej łódki po kolejną puszkę soku pomarańczowego (a może ananasowego?). Ile ona ma lat? spytał Impresario. Och, nie wiem dokładnie, powiedziała Supergwiazda, ale jest jeszcze bardzo młodziutka. Chyba nie więcej niż dwadzieścia. Ogromny talent, to się czuje na odległość, rzekł Felix, w twoich rękach (Impresaria) stanie się wokalistką prima sort. Zrobisz dobry interes, jeżeli uda ci się wywieźć ją do Ameryki. Śliczna jest, rzekł Impresario, wychwytyjąc każdy ruch Sylwii spacerującej ciągle nad brzegiem morza, co to właściwie za historia z tym jej chłopakiem? Sama dokładnie nie wiem, Supergwiazda patrzyła na niego dobitnie. Napijcie się soku? spytał Felix. Chętnie. Supergwiazda wyciągnęła rękę po plastikową szklaneczkę napełnioną sokiem.

Piła drobnymi łykami. Impresario wypił od razu do dna.

Wstał z leżaka. Może pójdziemy się wykapać? Straszny upał. Och, ja nie pływam, powiedziała Supergwiazda, zagarniając pod kapelusz kosmyki jasnych, tlenionych włosów. A ja wolę jeść, powiedział Felix, wyjmując kanapkę z podręcznej łódki. Może uda mi się namówić tę małą, Impresario skłonił się kurtuazyjnie i z trudem wymijając gesty leżących plażowiczów, ruszył do Sylwii stojącej nad brzegiem morza. Powierzono mi opiekę nad panią, rzekł zbliżając się zniecierliwie do dziewczyny i próbując objąć ją

ramieniem. Sylwia wymknęła mu się zręcznie, jej harde, czujne spojrzenie odszukało Supergwiazdę rozłożoną niedbale na leżaku obok zjadającego kanapkę Felixa, potem szybko odwróciła się i wskoczyła do wody. Impresario pobiegł za nią. Sylwia była znakomitą pływaczką. Najpierw popłynęła w stronę boi wyznaczającej granicę dla pływaków, a kiedy stwierdziła, że Impresario został daleko w tyle, popłynęła równoległe do brzegu w kierunku Gdyni.

Impresario wyszedł z wody i idąc wzdłuż brzegu obserwował płynącą Sylwię. Po przepłynięciu kilkuset metrów dziewczyna również wyszła z wody, ruszyła dalej skrajem morza, uważnie lustrując plażowiczów. Ale pogoda tego dnia dopisała nad wyraz, plaża była szczelnie wypełniona plażowiczami, tak, że idąc brzemieniem o odnalezieniu kogoś, kogo się szukało, nie było mowy. Minęła Północne Łazienki i wyszła na dziką plażę, tutaj było już znacznie mniej ludzi i Impresario, który cały czas kluczył za nią, musiał zwiększyć dzielącą ich odległość, aby nie zostać zdemaskowany. Gdy się zbliżała niemal do Kamiennego Potoku, podbiegł do niej mały chłopiec i wskazując na wydmy, wykrzyczał: Proszę pani, proszę pani, tam jeden pan mówił, żeby pani zaraz do niego przyszła. Spojrzała w kierunku wyciągniętej ręki malca i dostrzegła głowę Jej-Gitarzysty ukazującą się za pochyłością piaszczystej wysepki. Impresario przykucnął na plaży i patrzył na nią, oceniając ze znanstwem jej zgrabną figurę, gdy szła do Jej-Gitarzysty. Żałował, że nie może słyszeć ich rozmowy. Co tak długo? zawołał Jej-Gitarzysta. Myślałem, że już w ogóle nie przyjdiesz. Ale przyszłam, powiedziała Sylwia, całując go w nieogolony policzek. Usiadła obok niego. Musiałam zgubić jednego faceta, który włókł się za mną. Co? Śledził cię? spytał w tępych przetrachu. Trzeba stąd natychmiast zwiewać. Chwycił ją za rękę i uklęknął.

Nie, nie wstawaj! zawołała. Może cię ktoś zobaczyć. Musimy uciekać, powtórzył zdecydowany. Nie ma czasu do stracenia. Nie, w żadnym wypadku nie mogę, muszę zostać na

festiwalu. Nie chcesz mi pomóc? zapytał ze skargą w głosie. Chcesz mnie rzucić? Teraz? (Co zrobił, przed kim Jej Gitarzysta ucieka, co mu grozi, czyżby zamordował kogoś, może Reżysera? Będę musiał dokładnie to sprecyzować, myśli Tumidaj, na razie Jej-Gitarzysta boi się i chce opuścić Sopot, to chwilowo powinno wystarczyć, dalsze szczegóły niebawem nastąpią). Sylwia była bliska płaczu. Proszę cię, Gitarzysto, wyjedź natychmiast. Później powiesz im prawdę. Na pewno uwierzą. Oczy miała szkliste od łez, jej drobna, krucha dłoń wolno wysunęła się z jego ręki.

Proszę cię, Gitarzysto! Chcesz mnie wpakować w jeszcze większe kłopoty? zawołał. Proszę cię, powtórzyła. Tak będzie najlepiej. Poznałam jednego dziennikarza, który obiecał pomóc. Chwycił ją za ramiona i silnie potrząsnął. Sylwia, spójrz mi w oczy, coś knujesz. Chcesz naprawdę, żebym wyjechał bez ciebie? Jej oczy znówu zaszczyły łzami. Sama nie wiem. Och, Gitarzysto, trzeba coś postanowić. Dłużej nie możesz się ukrywać. Objął ją ramieniem i przytulił do siebie. Wyjadę tylko z tobą, inaczej nie mogę. Nie przeżyłbym rozłąki. Och, Gitarzysto, ja też cię kocham bardzo i chcę być zawsze z tobą. (Polska „Love story”, pomyślał Tumidaj, to jest to, czego ludzie pragną, trzeba tę scenę jeszcze dalej pociągnąć, wysycić kliwnością, to zawsze zjednuje czytelników i krytyków, nawet tych najwybredniejszych). Siedzieli w zagłębieniu wydmy, zakochani i pogrążeni w bezbrzeżnej rozpacz. W pobliżu nie było nikogo, słońce stało wysoko na niebie, nieruchome i rozżarzone do białości, od morza dolatywał szum fal i stłumione głosy kąpiących się ludzi; Sylwia uniosła zapłakane oczy i popatrzyła na ładną, dziecięcą jeszcze twarz Jej-Gitarzysty, teraz udreżoną, z kilkudniowym zarostem. Pocałowała go w spierzchnięte usta. Kocham cię, szepnęła. Całował ją żarliwie. Ja też cię kocham! Bardzo, bardzo! Odsunęła go lekko i odszukała jego czyste, niebieskie oczy. A teraz wyjedź, powiedziała z powagą. Im prędzej, tym lepiej. Co ty, Sylwia? wykrzyknął, próbując znówu ją pocałować. Od-

sunęła go od siebie. Wstała. Jestem twoją dziewczyną, kocham cię, powiedziała tak samo z powagą. Ale jak zaraz nie wyjedziesz, nigdy więcej nie chcę cię widzieć. I nie dzwoń do mnie więcej. Zwiesił głowę, wyszeptał: Nie mogę cię tutaj zostawić samej. Rozumiesz? Oni tylko czekają na to. Muszę cię pilnować. Ale Sylwia już odchodziła. Jej rude włosy lśniły złoto w słońcu. Szła śpiesznie, a potem nagle, jakby się czegoś przestraszyła, zaczęła biec skrajem morza. Jej-Gitarzysta patrzył w ślad za nią otepiąły i bezradny, z coraz bardziej ogarniającą go rozpaczliwą furją.

Impresario Międzynarodowy rodem z Targówka, ale bywały w świecie, kryjąc się umiejętnie za rozstawionymi na plaży koszami, podążał za Sylwią, a kiedy skręciła w stronę szatni, przeciął jej drogę. No i co? spytał kpiąco, bardzo się boi? Kto? spojrzała na niego z przestachem, próbowała go wyminąć, ale jego czerwone, nieruchome oczy zatrzymały ją. Ktoś, kto ma cholernego pecha i boi się swobodnie chodzić po plaży. Wyjedziesz ze mną, dodał niespodziewanie, zrobię cię wielką gwiazdą, będziesz miała wszystko, co tylko zapragniesz, a tacy kolesie jak ten Jej-Gitarzysta będą walizki za tobą nosić w najelegantszych hotelach świata. Nie wiem, o czym pan mówi, rzekła z wysiłkiem, starając się nadać swemu głosowi naturalne brzmienie. Wyminęła go, ruszyła do szatni. Cwana jesteś, pomyślał ze złością, patrząc na nią, jak wchodzi schodami na piętro nowych, wspaniałych szatni, które z zapuszczonych Północnych Łazienek natychmiast zrobiły kurort o znaczeniu międzynarodowym (Impresario dostrzegł to swym bystrym, wyostrzonym na nowości okiem), z kluczem w rękę skręca w pusty korytarz, otwiera drzwi do jednej z kabin i znika w jej wnętrzu — zobaczymy, na co to ci się zda? Poszedł za nią, ujął ostrożnie za klamkę kabiny, drzwi były jednak zamknięte. Otwórz, wyszeptał zdyszczanym głosem. Mam ci coś ważnego do powiedzenia.

Chwilę nasłuchiwał, Sylwia nie odzywała się. Coś bardzo ważnego o twoim wyjeździe za granicę. Usłyszał, jak za-

trzask zamka szybko się odmyka i Sylwia staje przed nim w otwartych szeroko drzwiach, wymachując zuchwale torebką. Wejźmy do środka, próbował ją zagarnąć i wepchnąć z powrotem do kabiny, wyminęła go jednak zręcznie i zatrzasnęła drzwi. No, słucham? powiedziała. Wejźmy do kabiny, wyszeptał, starając się przytrzymać wzrokiem jej umykające, czujne spojrzenie. To bardzo ważne.

Naprawdę. Wolę usłyszeć tutaj. No? Odczekała chwilę i ruszyła szybko betonowym pomostem wzdłuż kabin. Oddała klucz w dyżurce i ostro ruszyła plażą. Impresario Międzynarodowy, stojąc nieporuszony, obejmował ją swymi czerwonymi, nieruchomymi oczami gada, dopóki nie znikła w tłumie plażowiczów.

Wróciła do Supergwiazdy i Felixa. Rozgorączkowana, pogrążona w ponurych, nie uporządkowanych myślach. Co zrobiłaś z Impresariem? zapytała Supergwiazda, przyglądając się jej badawczo. Sylwia z furią wymachiwała torebką, miała na sobie skąpe szorty i zieloną, dobraną pod kolor włosów, bluzkę. Supergwiazdo, proszę cię, nie wplątuj mnie w takie znajomości. Ten twój Impresario Międzynarodowy wygląda na straszego typa. To nie byliście razem? Supergwiazda siedziała na leżaku, leniwie przeczesywała grzebieniem tlenione włosy (a może perukę?). Nie!

Sylwia prawie krzyknęła. I nie mam zamiaru nigdzie wyjeżdżać! No już dobrze, powiedziała Supergwiazda poirytowanym głosem. W końcu nic się takiego nie stało i nie masz o co się obrażać. Widziałas się z tym twoim Gitarzystą? niespodziewanie spytał Felix. Sylwia, zaskoczona, jeszcze gwałtowniej wywijiała torebką, Felix patrzył na nią spod oka. Widziałas się z tym chłopcem? powtórzył pytanie. Felixie, co ty wygadujesz? zgorszyła się Supergwiazda. Przyszła idolka spotyka się z tym... Przecież to dla niej mało atrakcyjna znajomość. Felix nawet nie raczył spojrzeć na Supergwiazdę, podszedł do Sylwii, objął ją ramieniem. Więcej się z nim nie spotykaj, powiedział z troską. Póki się wszystko nie wyjaśni. Czego ma nie robić,

Felixie? Supergwiazda przejawiała narastającą irytację. Sylwio, czy ty naprawdę puściłaś się z tym Gitarzystą? Zlekceważyli oboje to pytanie. Felix czule obejmując Sylwię i patrząc jej głęboko w oczy mówił cicho: Zastanów się nad tym wyjazdem. W Ameryce należę do ludzi, którzy się liczą, mogę ci wszystko załatwić. Chyba już słyszałaś

O mnie? Przed wyjazdem chcę w moim starym kraju zostawić parę milionów dolarów, tylko jeszcze nie wiem, na co je przeznaczyć. A tam, w moim nowym kraju, będziesz miała do dyspozycji cały mój majątek. No, prawie cały, poprawił się natychmiast, w każdym razie niczego ci nie będzie brakowało. Tylko nie możesz się widywać z tym twoim Gitarzystą, bo to by pomieszało nasze plany. No pewnie, rzekła Supergwiazda, a jeżeli on jest naprawdę mordercą, to co wtedy? Mogłoby nie dojść do mojego supershow na zakończenie festiwalu, a przecież publiczność chyba tylko po to tu przyjechała. Właśnie, mówił Felix, jak najdalej od tego Gitarzysty, czort wie, co on zamierza zrobić? Sylwia, bliska płaczu, wyrwała się z objęć Felixa. Nienawidzę mężczyzn! Wszystkich! krzyknęła i aby nie wybuchnąć płaczem, pobiegła do wyjścia. Sylwio, tylko nie spóźnij się na obiad! Supergwiazda, unosząc się na leżaku, zawołała za jej stopami szybko drobiaźcami piasek, a kiedy dziewczyna zniknęła w tłumie plażowiczów, opadła z westchnieniem na leżak i dokończyła: Ona bardzo to przeżywa. Martwię się o nią. Zupełnie nie wiem, jak jej powiedzieć, że jesteśmy jej rodzicami. Trudno, za grzechy młodości trzeba cierpieć, zakończył sentencjonalnie Felix

I sięgnął z małej przenośnej lodówki po nową kanapkę.

1 (Opowiadał wszystkim, że w Ameryce nauczył się pałaszować w takich ilościach sandwicze. Oto jeszcze jeden zgubny wpływ burżuazyjnego kraju, pomyślał Tumidaj, trzeba będzie to odpowiednio uwypuklić). Taka piękna pogoda w tym roku w rodzinnym stylu życia, rzekła rozmarzona Supergwiazda. Może wszystko szczęśliwie się wyjaśni. Zresztą nie mogę się smucić przed moim wielkim supershow.

Powinieneś o to zadbać, Felixie. Zadbam, duszko, uciął krótko Felix. W zasadzie my nie mamy z tym nic wspólnego, ciągnęła Supergwiazda. Jej-Gitarzysta niech sobie sam radzi w kłopotcie. Naszym zadaniem jest nie dopuścić do występu Sylwii na festiwalu, bo gdy zdobędzie pierwszą nagrodę, a jestem pewna, że zdobyłaby, nie zechce z nami wyjechać, a mnie na obczyźnie cni się bez własnej kochanej córeczki. Chyba że... Nie dokończyła. Oczy jej wyluskały z tłumu zbliżającego się Impresaria Międzynarodowego, więc ułożyła się malowniczo na leżaku i przybrała zachęcający uśmiech. W końcu Impresario był o te parę lat młodszy od Felixa i znał się na urokach czterdziestoletnich, stęsknionych prawdziwego uczucia kobiet.

Tumidaj postanowił, że w tej nowej, skomplikowanej sytuacji musi natychmiast interweniować, aby ostrzec Sylwię przed ewentualnym uprowadzeniem jej za granicę.

Siedziała przy stoliku na tarasie plażowej kawiarni z nogami wspartymi na drugim krześle i czytała, a raczej przerzucała machinalnie stos gazet rozpisujących się na temat jej tajemniczego zniknięcia; wszystkie artykuły były pisane na jedno kopyto (czyżby ten sam autor produkował się we wszystkich gazetach?), nie dość interesujące, aby choć na chwilę przyciągnąć jej uwagę. Unosząc głowę, zobaczyła Tumidaja wpatrującego się w nią z nabożnym uwielbieniem. Popatrzyli na siebie, dziewczyna opuściła nogi z krzesła i z zapamiętaniem oddała się lekturze. Mimo to Tumidaj podszedł do niej. Chciałbym z panią porozmawiać, rzekł. Widząc jej nieufne spojrzenie dodał zniżając głos: Chodzi o pani przyszłość. Milczała, jeszcze niżej pochyliła głowę nad rozłożonymi gazetami, tak że Tumidaj, stojąc nad nią, widział jedynie rudą grzywę jej włosów i szczupłe ramiona w zielonej bluzce. Nie interesuje to pani? zapytał po chwili. Kto powiedział, że mnie to nie interesuje? Uniosła głowę, spojrzała na niego twardo, jej ogromne zielone oczy stały się teraz podobne do oczu rozwścieczonego kota (Tumidaj w chwilach gwałtownych unie-

sień miał takie niezbyt ciekawe literacko skojarzenia). Ja też się martwię moją przyszłością i co z tego? To świetnie! zawołał Tumidaj, chociaż w tym jesteśmy zgodni!

Usiadł bez przyzwolenia na krzesło, na którym przedtem Sylwia opierała swe smukłe nogi. Trzeba było koniecznie wymóc na Jej-Gitarzyście, aby natychmiast opuścił Sopot, powiedział konspiracyjnie. To byłoby w tej chwili najlepsze wyjście. Dowód, że jest niewinny... jeżeli morderca planuje następne morderstwo. Biedny ten Gitarzysta, wyraziła w dość ironiczny sposób ubolewanie i spokojnie przewracała gazety. A pan razem z nim. Niepotrzebnie tak mocno pan się zaangażował w całą tę aferę. Teraz trudno panu znaleźć wyjście ze skomplikowanej sytuacji.

Chcę zapobiec morderstwu, powiedział Tumidaj z mocą, obserwując nagle pobladałą Sylwię. Musi pani mi w tym pomóc. Uważa pan, że to ja mam być zamordowana? spytała, to wobec tego, jeżeli ja jeszcze żyję, Gitarzysta niepotrzebnie się ukrywa. Podniosła na Tumidaję zatroskane oczy i spytała: A jeżeli to jego zamordują? Tak. To znaczy nie, mówił szybko Tumidaj, podekscytowany nowymi możliwościami skomplikowania zagadki. Raczej założmy, że to pani będzie zamordowana albo już nie żyje. Ja myślę, że pani żyje i przyszedł morderca jeszcze nie bardzo wie, że to pani będzie jego ofiarą, to znaczy możemy temu zapobiec, płatał się coraz bardziej. W każdym razie nie radzę wyjeżdżać za ocean, dokończył z wyraźną ulgą. O tym chciałbym z panią szczegółowo porozmawiać, rozpatrzyć wspólnie możliwości, jakie daje występ na festiwalu, oczywiście zakładając, że zdobędzie pani pierwsze miejsce, a co daje młodej, początkującej piosenkarce wyjazd w nieznanne, na niepewne, i w dodatku bez tego najważniejszego sukcesu, którym można byłoby się szczycić, no i rezygnując z wielkiej, szlachetnej miłości... Czy pani jeszcze się zobaczy z Jej-Gitarzystą? Nie, szepnęła, opuszczając głowę. Przecież to pani chłopiec, Tumidaj starał się zapanować nad rosnącym wzburzeniem. Nie można go tak zоста-

wić. Byłoby dobrze, gdyby pani się z nim jeszcze zobaczyła. Mam go wciągnąć w zasadzkę? spojrzała na Tumidaję przez napływające do oczu łzy. Nigdy tego nie zrobię! Nigdy! Rozpląkała się cicho. Tumidaj ujął czule w swe ręce jej delikatną, roztrzęśioną teraz dłoń. Pomogę wam wyostać się z tej matni, rzekł z mocą i z całym autorytetem przyszłego gwiazdora dziennikarstwa.

Po dokładnym przeanalizowaniu nie podobały mu się ostatnie sceny. Czy rzeczywiście wizerunek stworzonej przez niego Supergwiazdy odpowiada powszechnym wyobrażeniom? A Felix, milioner amerykański polskiego pochodzenia, a Impresario Międzynarodowy, czy odpowiadają wyobrażeniowym standardom o tego typu ludziach? A za tym co dalej z Sylwią i Jej-Gitarzystą? Dokąd to ustawiczne wikłanie ich losów zaprowadzi? Czy aby nie na manowce? Tumidaj postanawia odpocząć, dać chwilę wytchnienia swej zmęczonej wyobraźni i zająć się autentyczną rzeczywistością festiwalową, tym bardziej że przyjechała grupa Młodych Dowcipnych Felietonistów ze Stołecznych Pism, nie kryją, że zamierzają cały ten Festiwal rozstawić po kątach, ich śmiertelną bronią jest podobno cięty dowcip, podobno nie uznają żadnych świętości, i nie oszczędzają nikogo i niczego. Tumidajowi zdarzyło się czytać ich wypracowania na trzy kartki, ale (będąc szczerzy szczególnych uroków pisanego słowa tam nie zauważył. A starzy, bezzębni, okrzyknęli ich bezkompromisowymi przyśmiewcami — i mają spokój, wszyscy są zadowoleni. Młodzi Dowcipni chodzą w glorii sukcesu, atakują to, co im wskazują starzy, teraz prawdopodobnie dostali sygnał, a wyśmiać Festiwal, więc zjechali całą grupą w sile kilkunastu chłopów i zaraz po wyjściu z pociągu rozglądają się od czego by zacząć, żeby kolega Felietonista nie uprzedził. Zostawmy jednak Dowcipnych Felietonistów ich własnemu losowi i wróćmy do zapowiadanego wcześniej (na plaży obiadu. W końcu trzeba się na coś zdecydować — Sylwia żyje czy nie? Jeśli nie, to kto jest mordercą? A jeśli żyje


to gdzie się ukrywa i dlaczego albo kto ją ukrywa i dlaczego? I co z tym Jej-Gitarzystą? To najważniejszy problem do rozwiązania. Bo jeżeli Sylwia nie żyje, byłoby najprościej wskazać na Jej-Gitarzystę jako na mordercę z miłości, ale jeśli żyje, sprawa się komplikuje... W każdym razie Tumidaj postanawia wymyślić scenę obiadową i zobaczyć, jak dalej potoczą się losy jego bohaterów.

No więc spotkali się na obiedzie w restauracji Grand Hotelu. Najpierw usiadł przy zarezerwowanym specjalnie dla nich stoliku samotny i ciągle coś przeżuwiający Felix, potem zjawiła się Supergwiazda w towarzystwie Impresaria Międzynarodowego, oboje roześmiani i nawzajem się kokietujący, potem przyszli Tumidaj (a jednak siebie wstawia, chce być blisko Sylwii) i Sylwia, na końcu zaś drzwiach stała Gwiazda Numer Jeden i nie widzącym wzrokiem omiotła salę. Felix, tłusciutki i okrągły, podskoczył do niej jak piłka wprawiona w ruch silnym kopnięciem, Gwiazda Numer Jeden poruszając się majestatycznie, choć nieco lunatycznym krokiem, za małym grubaskiem tańczącym przed nią w lansadach, zajęła ostatnie wolne krzesło przy stoliku. Jedli w milczeniu chłodnik litewski (specjalność kuchni). To już nie była ta sama dama (chodzi o Gwiazdę Numer Jeden), którą Tumidaj widział onegdaj w barze Opery Leśnej. Teraz miała sinoszarą twarz starej kobiety, nacechowaną głębokim cierpieniem; jej przebiegłe, o silnym wejrzeniu oczy były jakby cofnięte głąb czaszki i zgasłe. Musiała przeżyć wstrząs, widząc przy stoliku Sylwię, pomyślał Tumidaj nie bez radości.

Pani coś dolega? spytał Impresario Międzynarodowy troską w głosie. A więc znalazła się ta nieszczęsna dziewczyna, wyszeptała Gwiazda Numer Jeden patrząc nienawistnie na Sylwię. Do stolika w ukłonach zbliżył się kelner. Dla szanownej Pani coś podać? spytał kurtuazyjnie.

Dziękuję. Wstała nagle i chwiejnym krokiem ruszyła do drzwi. Czerwone oczy Impresaria Międzynarodowego odprowadziły ją aż do hallu.

Na tym scenę obiadową Tumidaj kończy, nie ma potrzeby pchać się dalej w zawiloci kulinarne (kto wie tak naprawdę, co jedzą supergwiazdy i milionerzy amerykańscy?). Rzecz ważna, że Sylwia żyje i czuje się dobrze. To powinno wystarczyć. Teraz trzeba wprowadzić jakoś do akcji Jej-Gitarzystę.

Zaczajony w krzakach obok kortów tenisowych, zobaczył Sylwią, jak szybko zmierza pustą uliczką w popołudniowym słońcu w kierunku willi. Wychylając głowę z krzaków syknął porozumiewawczo, jej zdziwienie, gdy podeszła do niego, było tak wielkie, jej irytacja tak widoczna, że Jej-Gitarzystą, zapominając o elementarnej ostrożności, wstał z klęczek i uniósł się na całą swą wysokość, stercząc pośród krzaków jak wybujały słonecznik. Oszałeję! poskarżył się. Myślałem, że już cię nigdy nie zobaczę. Naprawdę? - powiedziała oziębło. A ja sądziłam, że już od paru godzin jedziesz pociągami w nieznane. Jak chcesz, zawróciła, w końcu to twoja sprawa. Sylwia, poczekaj! Zatrzymała się w pół kroku i odwracając głowę zapytała z lodowatą uprzejmością:  co chodzi? Nie możesz mnie tak zostawić.

Ruszyła bez słowa, wprawnie roztrącając sterczące gałązki krzaków. Jej-Gitarzystą, tratując wszystko, co stało na jego drodze, skoczył za nią. Nie wychodź na ulicę, poradziła mu. Jeżeli, oczywiście, chcesz się dalej ukrywać.

W ogóle nie powinnam z tobą rozmawiać. Kazali mi cię unikać i chyba mają rację. Wierzysz im? jęknął. Chwylił ją za rękę i zmusił do zatrzymania się. Wierzysz, że ja to zrobiłem? Patrzył jej z natężeniem w oczy. Nie wiem.

W każdym razie podejrzewają ciębie. Wyszeptał zdruzgotany: Sylwia, jak możesz? Sylwia!

Stali na skraju krzaków okalających teren kortów tenisowych. Na kortach dwóch kilkunastoletnich chłopców leniwie przerzucało piłkę ponad siatką, trzeci siedział na wysokim krzeselku sędziego, przyglądał się grze ze znudzoną miną. Sylwia popatrzyła w tamtą stronę. Nie możemy dalej tu sterczeć. Jeszcze ktoś nas zobaczy. Możemy

przejsć do ogrodu twojej willi, powiedział z nadzieją w głosie. Znam drogę przez krzaki. Zobaczysz, nikt nas nie zauważy. Nie, Gitarzysto! Muszę już iść. Urwałam się z obiadu. Pewnie czekają na mnie. Tam jest Supergwiazda i Impresario Międzynarodowy, dodała z wahaniem. Proponują mi wyjazd do Ameryki i występy w największych rewiach. Zupełnie nie wiem, co robić. Czy wystąpić na festiwalu, czy nie? Widziała mnie Gwiazda Numer Jeden.

No właśnie, co z nią? Bardzo się zmartwiła tym, że jednak żyjesz? Okropnie. Wcale nie mogła jeść obiadu.

I w ogóle postarzała się nagle. Ona też by chciała, żeby mnie nie było na festiwalu. Nie! Nigdy! zawołał. Musisz wystąpić. Już ja wszystkiego dopilnuję, żeby ci się nic nie stało. Dlatego nie mogę wyjechać z Sopotu. Rozumiesz teraz? Sylwia chwyciła się ostatniej szansy przekonania go.

A może zapytać Reżysera, co masz zrobić? W żadnym wypadku, zaprotestował. Nie chcę gnąć w więzieniu. Milczeli przez chwilę. No to już idę, powiedziała Sylwia. Jak nie możesz teraz zostać jeszcze trochę, to przyjdź później, Jej-Gitarzysta pochylił się nad Sylwią konspiracyjnie. Będę tu czekał. Tylko nic nikomu nie mów, moim chłopcom też nie, bo gotowi przylecieć tu i wszystko popsuć. Proszę cię, przyjdź! Sylwia! Nie boisz się, że mogę przyprowadzić kogoś niepożądanego? rzekła, unikając jego zdziwionego spojrzenia. No to cześć! Przyjdź! rzucił za nią. Nic nie obiecuję. Wybiegła z krzaków na ulicę, podążyła do hotelu.

Jej-Gitarzysta zaś, czołgając się wśród krzaków, podsunął się prawie do samej ulicy i patrzył na nią, jak odchodzi, a potem, kiedy zniknęła mu z oczu, wrócił na swoje legowisko w krzakach i ułożył się tak, aby widzieć między gałązkami skrawek ulicy, nie chcąc przegapić nadejścia Sylwii.

Zmierzchało już, a ona wciąż nie nadchodziła. Chyba pójde do tej cholernej Grandki albo do Opery Leśnej i zrobię porządek z kim trzeba, pomyślał mściwie. Mogłem wcale jej nie puszczać albo przyjść z chłopakami, złapać

ją i zmusić do występu z „Płaczącymi Gitarami”. Bawi się ze mną w ciuciubabkę, kiedy ja tu leżę i czekam. Wszystkie są jednakowe. Nagle zachciało jej się wyjazdu do Ameryki, do rewii. Ja jej dam żywej duszy, to jednak przy wejściu na koryt, gdzie wieczorem miał się odbyć konkurs kulturystów, ustawiała się już spora kolejka do kasy i z ulicy, przy której znajduje się Grand Hotel, maszerował w tę stronę zwarty tłum.

Nagle wśród tego tłumu zobaczył Supergwiazdę skręcającą w uliczkę i zmierzającą wprost na niego. Cofnął się przestraszony, w każdej chwili gotów rzucić się do ucieczki, na szczęście w porę dojrzał u jej boku małego, tłuściutkiego Felixa, a potem zobaczył Gwiazdę Numer Cztery z Reżyserem, a tuż za nimi Sylwię w towarzystwie Impresaria Międzynarodowego.

Widział, jak dziewczyna rozgląda się ukradkiem, zobaczył wyraźnie jej wystraszone oczy, gdy spojrzała na krzaki, gdzie się ukrywał, a potem zaraz odwróciła głowę, wyjęła z torebki chusteczkę i podniosła do oczu dziwnym, szerokim ruchem ręki, jakby chciała dać mu jakiś znak. Znowu ten Impresario się przyplątał, zmiął przekleństwo w ustach. Czego od niej chce? Już ja go urządzę, jeśli nie da jej spokoju. Sprężył się do skoku, lecz w ostatniej chwili zobaczył, że Reżyser odwraca się, a kiedy Sylwia i Impresario podchodzą do niego, mówi coś, Impresario wybucha głośnym śmiechem i cała czwórka, rozmawiając, idzie dalej razem, więc przeczekał, aż znikną za zakrętem ulicy i nie panując już nad sobą, wyskoczył na oślep z krzaków, ale gdy kilkoma susami dopadł zakrętu, potknął się, wtedy zauważył leżącą na chodniku kartkę, podniósł ją, przeczytał szybko, a potem kryjąc się na powrót w krzakach, odczytywał w nieskończoność parę słów nagryzmolonych na skrawku gazety ołówkiem do powiek. „Nie mogłam przyjść. Jestem pilnowana. Bądź wieczorem na plaży w naszym miejscu. Przyniosę ci coś do jedzenia”.

Sytuacja wikła się, intryga pęka w szwach, Tumidaj nie wie, co dalej robić, bo czego się tknie, wydawałoby się najprostszej fabułki, natychmiast akcja rozrasta się, wychodzi — poza obmyślony szablon i po chwili łąpie się na tym, że już nie panuje nad materiałem. Na szczęście teraz uratowały go wici wzywające wszystkich dziennikarzy na nadzwyczajne spotkanie z Gwiazdorem Europejskim, znanym szeroko także poza Europą, który zgodnie z wcześniejszymi zapowiedziami nie zrobił zawodu i przyjechał na Festiwal.

Siedział rozparty za stołem w sali konferencyjnej, Przedstawiciel PAGART-u (już nie Pani Sekretarka) pedantycznie referował jego sukcesy na niezliczonych festiwalach.

— No cóż — zakończył swe wywody — przyjęliśmy hipotezę, iż gwiazdorzy tej klasy co nasz miły i przesympatyczny gość — tu głęboki ukłon w stronę rozpartego Gwiazdora Europejskiego — nie rodzą się na kamieniu, dlatego go zaprosiliśmy, aby uświetnić nasz...

— A my co robimy, aby wyhodować sobie tej klasy gwiazdora? — zawołał z sali Roztrzęsiony Dziennikarz, pisujący zawsze o Festiwalu słuszne kawałki.

— Robimy wszystko, aby wyhodować — odpowiedział Przedstawiciel Organizatorów, a Tłumacz przetłumaczył Gwiazdorowi pytanie i natychmiastową odpowiedź. Gwiazdor uśmiechnął się z pobłażaniem. — Nasze starania od lat w tym roku zostaną na pewno uwieńczone sukcesem — zakończył optymistycznie. — Mam nadzieję, że Sylwia w porę się znajdzie i pokaże obcym konkurentom, na co nas stać.

— Uważam, że trzeba jeszcze raz od początku dokładnie przeanalizować nasze założenia w szkoleniu i doborze kadr piosenkarskich — upierał się przy swoim Roztrzęsiony Dziennikarz. — Wszystko jest ważne, nawet najdrobniejsze szczegóły — dodał.

— Oczywiście, proszę bardzo — zgodził się z tym poglą-

dem Przedstawiciel Organizatorów. — Służę wszelkimi wyjaśnieniami. — I podał Roztrzęsionemu Dziennikarzowi stos urzędowych papierów, ten rzucił się na nie zachłannie i coraz bardziej się zagłębiał w ich treść, tak że przynajmniej z jego strony był spokój. Inni dziennikarze natomiast beczynnie siedzieli przy stole zastawionym kawą i winem i beczelnie obserwowali Gwiazdora Europejskiego.

— Co też ten geniusz nam zaśpiewa? — rozważał głośno przedstawiciel pisma młodzieżowego, które ufundowało specjalną nagrodę dla piosenkarza (lub piosenkarki), jeśli ani razu nie zapomni na dłużej tekstu śpiewanej przez siebie piosenki. — Ciekawe, czy ten renomowany Gwiazdor popełni jakieś uchybienie? — i nagle, olśniony myślą, wstał i zapytał, czy mu się kiedyś coś takiego zdarzyło.

Tłumacz przetłumaczył, a Gwiazdor siedząc nadal rozparty za stołem prezydialnym odparł, że facet, który nie potrafi nauczyć się kilku linijek druku, nie powinien wychodzić na scenę, tak mniej więcej przekazał Tłumacz i na sali zapanowało ogromne poruszenie wywołane trafnością uwag Gwiazdora, a nawet do pewnego stopnia uwielbienie, czemu natychmiast sprzeciwił się Roztrzęsiony Dziennikarz studiujący plik urzędowych dokumentów Festiwalu (oczywiście gdy się sprzeciwił, przerwał na chwilę studiowanie).

Weszła Panienska do Wszystkiego w wełnianych szortach opinających krągłe uda; wszyscy z ukontentowaniem spojrzeli na nią, a ona podeszła do Prowadzącego Spotkanie i wręczyła mu tajemniczą kopertę, po czym wyszła, odprowadzana tęsknymi spojrzeniami.

Prowadzący Spotkanie otworzył kopertę i wyjął z niej kilka kartek. — Jak było do przewidzenia — powiedział, przesuwając w palcach małe kawałki papieru — tu są właśnie pytania przedstawicieli społeczeństwa pod adresem przybyłego Pana (tak powiedział) Gwiazdora Europejskiego. Niestety, nieciekawe. Zbyt dużo w nich niejasności.

— Zdjęcia — błąknął Roztrzęsiony Dziennikarz znad dokumentów. — Proszę pokazać lub nawet podarować zdjęcia szanownego Gwiazdora.

■ Oczywiście podarować — poparł go w tym słusznym żądaniu brodac z twarzy ptaka (tak też podpisujący swe gazetowe notki z Festiwalu, nigdy nie przekraczające pięciu wierszy szpalty).

Przedstawiciel Organizatorów przy pomocy Prowadzącego Spotkanie i Tłumacza rozdał kolorowe zdjęcia eksponujące Gwiazdora we wszystkich możliwych pozach, Panowie Dziennikarze zachwycaли się jakością papieru, wykonaniem, kolorem...

— U nas do takiej odpowiedzialnej roboty fotograficznej dopuszczani są nowicjusze — perorował szef fotoreporterów. — I to zagraniczni. Trzeba podjąć uchwałę, że tylko my mamy prawo robić zdjęcia naszym gościom. Też chcemy zarobić trochę dolców.

■ Kiedyś miałem taki wypadek... — zaczął inny fotoreporter, lecz musiał przerwać, bo oto na biurku zaterkotał telefon.

Wszyscy spojrzeli na brzęczące pudełko: Prowadzący Spotkanie z wybawieniem, Przedstawiciel Organizatorów z irytacją, natomiast Gwiazdor Europejski zachowywał się obojętnie, obracając w zębach gumę do żucia. W rezultacie słuchawkę podniósł Tłumacz.

— Jakaś pani chce rozmawiać z Gwiazdorem — powiedział.

— Daj mu słuchawkę — zdecydował Prowadzący Spotkanie.

Gwiazdor, ociągając się, wstał zza stołu prezydyjalnego i podszedł do telefonu.

— Czy to Gwiazdor Międzynarodowy? — Tak, słucham. — Uwielbiam pana, chciałabym się panu oddać, i to możliwie jak najprędzej, nawet zaraz, czy mam przyjść? — Gwiazdor Europejski pochylił się nad biurkiem, przycisnął mocniej słuchawkę do ucha, aby lepiej

słyszeć. — Halo! — krzyknął — halo! — Proszę skończyć konferencję, zaraz do pana przyjdę. — W słuchawce rozległ się głuchy stuk, znak, że kobieta skończyła rozmowę.

— To była jedna z wielbicielek — rzekł wyjaśniająco Tłumacz do zamartwych w napięciu pełnym oczekiwania na wielkie wydalenie dziennikarzy.

— Oto co znaczy popularność — rzekł sentencjonalnie Prowadzący Spotkanie i zamierzał jeszcze coś ważnego powiedzieć, ale znowu zadzwonił telefon, tym razem podniósł słuchawkę osobiście. — Tu międzymiastowa, czy rozmowa skończona? — Skończona — odrzekł godnie. — Położył słuchawkę, lecz natychmiast podniósł ją Przedstawiciel Organizatorów, gdyż przypomniał sobie, że musi gdzieś zatelefonować w sprawie niecierpiącej zwłoki.

■ Zaczynają się telefony, to zły znak — powiedział Roztrzęsiony Dziennikarz, świadom sytuacji. — Wszystkie przez te nieodpowiedzialne wielbicielki, za dużo sobie pozwalają, co zagranica o nas pomyśli. Jak byłem w Paryżu — rozmarzył się niespodziewanie — pies z kulawą nogą do mnie nie zadzwonił, a tu nie dają mi spokoju nawet na ważnej konferencji prasowej, w obecności tylu znakomitych przedstawicieli Prasy, Radia i Telewizji, również zagranicznych.

— Trzeba będzie sprawdzić, skąd ona знаła numer telefonu ■ powiedział Prowadzący Spotkanie. — Jak się dowiemy, skąd znała, dowiemy się reszty.

— A czy wiadomo, co to za jedna? ■ spytał przytomnie szef fotoreporterów — ja znam wszystkie, mógłbym pomóc w razie czego.

— Niezbyt odkrywczy wniosek, jak na starego podrywacza — powiedział Roztrzęsiony Dziennikarz, a ten z ptasią głową i o ptasim pseudonimie potwierdził skwapliwie, zaczęła się ożywiona dyskusja, kto zna więcej dziewczyn i kto więcej przepuścił przez łóżko w ostatnim roku, czy fotoreporter, czy Dziennikarz-Ptak?

— Trzeba zorganizować dokładną obserwację i zabez-

pieczyć swobodne poruszanie się naszemu miłemu gościowi, Gwiazdorowi Europejskiemu — przeciął dyskusję Prowadzący Spotkanie. — Zajmiecie się tym, żadna dziewczyna przed festiwalem nie ma prawa wejść mu do łóżka, chcemy, żeby dobrze wypadł, sprowadziliśmy go jako wzór dla naszych piosenkarzy, nie może zawieść oczekiwania.

Ostrzegam, że zadanie jest bardzo trudne, albowiem nasz miły gość strasznie rwie się do pięknych dziewczyn, a jak sami wiecie, mamy ich w nadmiarze i trzeba będzie w przyszłości pomyśleć o korzystnym eksporcie.

Tymczasem Jej-Gitarzysta czekał na plaży. Wytężał wzrok, aby nie przegapić pojawienia się Sylwii. Wieczór był ciemny, księżyc zniknął za ciężkimi, deszczowymi chmurami; wszystko wokół rozmazywało się w lepkiej, nawisłej ciemności. Uwaga na Jej-Gitarzystę! szepnął kierownik pokonanych w Non-Stopie „Szatanów”, może mieć nóż. Słowo „nóż” przeszło z ust do ust wszystkich członków zespołu i na plaży znowu nastąpiła niczym nie zmącona cisza, zakłócana tylko jednostajnym szumem fal bijących o brzeg.

Po pewnym czasie na tle ciemniejącego morza zamajaczyła niewyraźnie sylwetka Jej-Gitarzysty, który zniecierpliwiony oczekiwaniem, ruszył na spacer. Idzie, szepnął kierownik grupy big-beatowej, teraz wycisk. Kilku big-beatowców rzuciło się na Jej-Gitarzystę, ale jak poprzednio, tak i obecnie nie docenili jego siły i zwinności. Wyszarpnął się z chwytających go rąk i wałęsając dookoła pięściami, runął prosto na kierownika zespołu, powalił go

zanim pozostali big-beatowcy przegrupowali się, aby ponownie zaatakować, Jej-Gitarzysta już zniknął w nadmorskim parku.

Na kortach tenisowych natomiast odbywała się jedna z tak zwanych Imprez Towarzyszących Festiwalowi, tym razem były to zawody kulturystyczne o mistrzostwo Polski. Z całego kraju zjechali młodzi chłopcy, których jedynym zajęciem było rozwijanie mięśni bez widocznego celu,

chyba tylko po to, aby raz do roku na rzeźnię oświetlonych kortach Sopotu zaprezentować muskulaturę zebranej publiczności w nadziei zostania mistrzem żelaznego bicepsa. W ślad za nimi ciągnie oczywiście tłum wielbicieli, składający się przede wszystkim ze starszych pań, ale trafiają się również tacy, jak na przykład Tumidaj, którzy nie dla czczego popisu uprawiają ćwiczenia fizyczne i teraz patrzą na wyczyny kulturystów z podziwem, ale i przede wszystkim ze znajomością rzeczy.

Tumidaj ciągle gimnastykuje swą wyobraźnię. Pojawił się teraz tutaj nie tylko jako widz. Kiedy pozwolił Jej-Gitarzyście wymknąć się z obławy big-beatowców, postanowił umieścić go na tym festiwalu swoistej męskiej próżności, tu będzie przez pewien czas ogniskować się akcja.

Tło jest doskonałe, stwierdził w duchu. Jej-Gitarzyście oprócz umiejętności gry na elektrycznej gitarze przydał kulturystykę. Co prawda nie bierze udziału w zawodach (bo się kryje), ale gdzieś tu jest. Gdzie? Okaże się później.

Tumidaj z łatwością wytrawnego dziennikarza przedostał się za drucianą siatkę oddzielającą trybuny od kortów, dotarł w pobliże szatni, gdzie stali kulturysty, którzy już występowali, i teraz niecierpliwie spoglądając w stronę sędziów, czekali na oceny popisów swych konkurentów; tylko jeden z nich był pewien sukcesu. Zebrał najwięcej oklasków, otoczony mrowiem umizgujących się panienek i milczących, zawistnych kolegów, dysząc jeszcze ze zmęczenia po niedawnym pokazie, uśmiechał się nieustannie do adoratorów płci obojga. Ciało miał wysmarowane oliwą, napinane przed chwilą mięśnie drżały mu jeszcze pod błyszczącą skórą, kiedy rozluźniając się, podskakiwał lekko i strzepywał rękami, jakby miał je umazane w błocie, świadom swej muskulatury i podziwu, jaki wywołuje. Tumidaj znał go. Kiedyś razem podnosili ciężary w klubie „Herkules”, podszedł więc do niego, złożył mu gratulacje, a potem zniżając głos, spytał: Twój przyjaciel, Jej-Gitarzysta, nie startuje? Był zgłoszony do konkursu,

ale gdzieś wsiąk jak śliwka w kompot, odparł kulturysta.

Zupełnie nie mam pojęcia, co się z nim dzieje. Wystudiowanym ruchem ręki poprawił swoje długie, uformowane w gustowne loki włosy. Widziałem tutaj jego dziewczynę, może ona coś wie? Jacek rozglądał się wokół, wykonując jakieś skomplikowane pas taneczne. Halo, Sylwia! zawołał w stronę grupy wielbicielek czyhających przy wejściu do szatni. Wołałeś mnie, Jacek? spytała Sylwia, podchodząc do nich. Ten pan to dziennikarz z prasy, powiedział kulturysta, wpatrując się bez zmrużenia powiek w dziewczynę. Chce wiedzieć, co się dzieje z Jej-Gitarzystą. Sylwia obrzuciła Tumidaję szybkim, spłoszonym spojrzeniem.

Przykro mi, ale nie mogę udzielić panu żadnych informacji, poza tym co już pan zapewne wie. Rozumiem, odrzekł Tumidaj. Zresztą nie jestem tutaj służbowo. Kulturysta popatrzył na niego bez wyrazu, a potem zwrócił się do Sylwii: Chcesz porozmawiać z chłopakami z klubu? Może później, przesłała mu krótkie, porozumiewawcze spojrzenie. No to cześć! Odszedł prężąc się i napinając mięśnie, wiedząc, że jest pod nieustannym ostrzałem spojrzeń. Nie chciałbym, aby przeze mnie rezygnowała pani z rozmowy z kolegami, powiedział Tumidaj. Jeżeli ma pani ochotę tam pójść, to proszę się nie krępować. Nie mam ochoty nigdzie pójść, odpowiedziała szorstko. Chcę najpierw porozmawiać z panem. Czy pan nie przestanie zajmować się moją sprawą? spytała gniewnie. Ach, oczywiście! wykrzyknęła, szuka pan sensacji. Tumidaj pochylił się w lekkim ukłonie. Doprawdy nie chciałbym teraz zajmować czasu, rzekł, jeżeli chce pani widzieć się z kolegami... Nie, powiedziała z uporem. Nie mam ochoty z nikim się widzieć.

Muszę usłyszeć wreszcie, co pan chce ze mną zrobić, będę żyła czy nie? I o co pan podejrzewa Jej-Gitarzystę?

Dlaczego on się ukrywa? Tylko dlatego, że pobił „Szatanów”? Rozumiem, nie jest pan przyzwyczajony do takich naiwnych pytań, ale czy nie uważa pan, że to może zupełnie znudzić czytelnika? A więc co zrobić? spytał Tumidaj,

niech mi pani poradzi, na kogo rzucić podejrzenie za pani śmierć? Na pana, odparła natychmiast. Tego jeszcze nie było, morderca szuka mordercy, którym jest on sam. To pan mnie udusił swoimi podejrzeniami i aby z powrotem powołać do życia, musi pan obalić te swoje bzdurne podejrzenia. Tylko jak to zrobić? rzekł Tumidaj, tego już zupełnie nie wiem. Żeby pisać cokolwiek, trzeba mieć najpierw dokładnie obmyśloną koncepcję utworu, skarciła go. Tumidaj z nie skrywaną życzliwością patrzył na dziewczynę. Panią również bawią igraszki wyobraźni, rzekł, to dobrze. Taka literatura do potęgi, wyuzdanie intelektualne mało kogo obchodzi, a już najmniej prostych czytelników, powinien pan zdawać sobie z tego sprawę zabierając się do pisania. Cała ta intryga jest wyssana z palca, mówiła, powieść musi być mocno osadzona w konkretnych, sprawdzalnych realiach, musi służyć jakiemuś celowi, jak wszelkie działanie ludzkie, inaczej przestaje kogokolwiek obchodzić. A w moim wypadku? spytała oskarżycielsko, jaki cel przyświeca autorowi? Właśnie, rzekł Tumidaj zmartwiony, sam się nad tym zastanawiam. I wrócił do konkretnej rzeczywistości, czyli za kulisy Opery Leśnej.

Gwiazda Numer Cztery stała sama, skorzystał z tego, podszedł do niej, powiedział:

— Pamiętam panią z wielu wspaniałych występów, mocne przeżycia.

— Czyli zestarzałam się? — spytała natychmiast.

— Wręcz przeciwnie.

— Nie wie pan, gdzie się podział mój mąż? — Gwiazda Numer Cztery nic sobie nie robiła z komplementów.

— Ustala kolejność występów → powiedział. — Domyślam się, że pani wystąpi w najkorzystniejszym momencie.

— Oczywiście — odpowiedziała — po to jestem Żoną Reżysera, aby korzystać z pewnych przywilejów. Jesteś bystry, młody człowieku.

Tumidaj skłonił się.

— Gwiazda Numer Jeden chce wystąpić jako ostatnia — powiedział — to najkorzystniejsze, a gdzie uplasowano Sylwię? Pani powinna dbać o jej interesy, razem grałyście w filmie, choć tam byłyście rywalkami, nie sądzę jednak, aby w życiu, to znaczy... — Tumidaj zaczął się płatać pod baczny spojrzeniem Gwiazdy Numer Cztery — sztuka dokładnie nie odbija życia.

— Byłam kierowniczką hotelu dla dziewcząt — przerwała mu — w którym mieszkała Sylwia, do niej często przychodził Reżyser, czyli mój mąż, tam nie był moim mężem oczywiście i dlatego z kolei mnie wpadł w oko. Pragnęłam go uwieść, ale tylko na filmie — zaśmiała się — on nigdy nie był w moim typie. Ale do tej roli nadawał się doskonale.

Tumidaj chwalił Reżysera bez umiaru.

— Obsadzając siebie w tej roli miał wycucie prawdziwego artysty.

— Miał wycucie... Sylwii — powiedziała Gwiazda Numer Cztery, uśmiechając się krzywo. — To ona zażądała, żeby mój mąż grał w tym filmie. Mąż wściekał się, bo miał już upatrzonego piosenkarza, który i tak musiał podkładać później głos, bo jak panu zapewne wiadomo, mój mąż nie śpiewa, w każdym razie nie tak dobrze, aby popisywać się tym w filmie. Tym piosenkarzem był Gwiazdor Numer Jeden.

— Niemożliwe! — zawołał Tumidaj. — Przed chwilą pani mąż opowiadał mi, że bardzo chętnie zagrał tę rolę.

— A to oszust! — Gwiazdą Numer Cztery aż zatrzęsło z oburzenia. — Gdyby nie ta smarkuła Sylwia, do tej pory nasze małżeńskie stadło służyłoby za przykład zgodnego pożycia małżonków, mimo upływu lat i wzajemnego zniechęcenia płciowego. To przez nią wszystko się zaczęło, ta ohydna zdrada! Zaraz mu to wygarne!

— Proszę teraz nie przeszkadzać mężowi — Tumidaj przytrzymał ją za rękę. — Jest bardzo zajęty, nikt nie chce występować pierwszy, kłócą się o kolejność, według

nie powinno odbyć się w takiej sytuacji losowanie zgodnie z wszelkimi przepisami i zachowaniem tajemnicy, aby uniemożliwić szachajstwo.

Gwiazda Numer Cztery starała się opanować, lecz z wielkim trudem jej to przychodziło.

— Potrafiła (ta wstrętna smarkuła Sylwia) bardzo szybko omdlać mego męża do tego stopnia, że postawił ultimatum Gwiazdorowi Numer Jeden: albo ustąpi mu miejsca, albo już nigdy więcej nie weźmie go do żadnego swojego filmu. Gwiazdor ustąpił, choć to on był w tym czasie jej kochankiem. Bacznie ich obserwował, wręcz nie odstępował Sylwii na krok, ale gdzie tam! Nie udało się. Więc po nakręceniu filmu zażądałam rozwodu, nie chciał, zrobiłam Sylwii kilka scen zazdrości, też nie pomogło, dalej się z nią spotykał. To mój mąż zrobił z Sylwii to, czym jest teraz.

— To znaczy trupa — wyrwało się Tumidajowi i zaraz gorzko pożałował, gdyż Gwiazda Numer Cztery znowu próbowała odejść, więc musiał ją przytrzymać za rękę. — Jeżeli tak się kochali, to dlaczego pani nie chciała dać mężowi rozwodu? — spytał.

— Bo wiedziałam, że prędzej czy później miłość męża do tej dziewczyny wyschnie i tak się stało — odparła. — Teraz ona go przesładowała, nie on ją. Mąż zajął się innymi młodymi dziewczynami chcącymi zrobić karierę.

— Ale przecież aż do zaginięcia Sylwia uchodziła za jego kochankę — powiedział Tumidaj.

— Wszyscy tak uważali, nawet ona, ale mój mąż już nie. Wolę, żeby miał sto dziewczyn, codziennie inną, niż jedną stałą. To bardziej niebezpieczne.

— Co pani sądzi o tym dziwnym zaginięciu Sylwii? — spytał Tumidaj.

— Chce pan usłyszeć moje zdanie?

— Bardzo.

— A więc powiem panu — Gwiazda Numer Cztery zniżyła głos — według mnie zrobił to... — urwała, bo zauwa-

żyła, że w pobliżu stoi młoda, ładna Gwiazdka, ta od tego młodego, ładnego Gwiazdorka, i wpatruje się nienawistnie w Gwiazdę Numer Cztery. — A więc powiem panu — zaczęła znowu Żona Reżysera — według mnie zrobił to...

— Nieprawda! — krzyknęła młoda Gwiazdka. — On tego nie zrobił!

— Kto tego nie zrobił? — spytał szybko Tumidaj. — O kim pani mówi?

Milczała, wpatrywała się nadal nienawistnie w Gwiazdę Numer Cztery.

— Ta mała chyba się upiła — zdecydowała Żona Reżysera — albo to z emocji przed występem.

— Wcale nie! Wcale nie jestem pijana ani stremowana! — krzyknęła Gwiazdka.

Żona Reżysera coś jeszcze mówiła, Tumidaj widział, jak porusza ustami, ale już nic nie słyszał, orkiestra bowiem zaczęła grać nad wyraz głośno, piosenkarz wyśpiewywał, a raczej wykrzykiwał jakiś przebój, Nie tak że o usłyszeniu czegokolwiek, poza tym wyciem, mowy nie było.

Gwiazda Numer Cztery pobiegła na widownię zobaczyć, kto też tak się drze, Tumidaj zaś poprosił Gwiazdkę (za pomocą gestów), aby poszła z nim gdzieś dalej, gdzie będzie można porozmawiać. Zgodziła się chętnie.

— Ty mi się podobasz — powiedziała — jak masz na imię?

— Kacper — rzekł Tumidaj, rumieniąc się.

— Imię masz fatalne, ale podobasz mi się — mówiła.

— Ty też mi się podobasz — odparł Tumidaj — i podobasz mi się na estradzie, ładnie wyglądasz i ładnie śpiewasz.

— Podejrzewam w tym komplementcie jakiś podstęp — śmiała się.

— Jesteś inteligentna, więc nie będę ukrywał, chcę wiedzieć, kogo miałaś na myśli krzyżąc, że to nieprawda.

— To i ja nie będę nic ukrywać — śmiała się — ta głu-

pia Żona Reżysera myśli, że ona zdobędzie wielką nagrodę festiwalu, boi się jedynie Sylwii, więc wszystko robi, aby Sylwia na czas nie wróciła, ale Sylwia zdąży.

— Jesteś pewna, że zdąży, może Żona Reżysera wie lepiej? Może ona rzeczywiście nie żyje, jak niektórzy plotkują?

— Lipa! Powiem ci w zaufaniu, ale pod warunkiem, że pary z ust nie puścisz.

— Zgoda — rzekł Tumidaj.

— Sylwia miała poronienie. Sztuczne, czyli mówiąc po prostu, skrobankę. Tak jej wypadło, nie mogła z tym dłużej czekać, ale na festiwalu wystąpi, to ja ci mówię. Reżyser wie o tym, nawet gdy nie wydobrzeje na pierwszy dzień festiwalu, to na pewno w dniu pytotowym będzie już w pełnej formie. Staszek już się o to postara.

— Staszek? — spytał Tumidaj — kto to jest?

— Lekarz opiekujący się niektórymi z nas, daje pastylki na uspokojenie, no i w ogóle czuwa, Sylwia była jego oczkiem w głowie, dlatego Żona Reżysera tak na nią pluje, bo to lekomanka i ciągle go zadrezczała, aby przepisywał jej jakieś lekarstwa, ale teraz, jak Staszek zajmuje się Sylwią, boi się, że tak ją wspaniale przygotowuje do festiwalu, że Sylwia będzie nie do pokonania, a jak już mówiłam, Gwiazda Numer Cztery liczy, że zwycięży.

— Znasz tego Staszka? — spytał Tumidaj.

— Bardzo dobrze i bardzo go lubię, tylko że on nie ma na imię Staszek. Specjalnie podałam fałszywe imię, żebyś go nie molestował, bo wszyscy już zauważyli, że tylko chodzisz i śledzisz, niektórzy nawet mówią, że jesteś z milicji.

Tumidaj puścił tę uwagę mimo uszu, nie miał czasu rozpraszać się na drobiazgi, drażył główny temat.

— I jesteś pewna, że Sylwia żyje? — spytał. — Może właśnie przy tym poronieniu stało się coś niedobrego i stąd te plotki o jej śmierci?

— Nie ma mowy o żadnej śmierci — powiedziała.

— Widziałaś ją ostatnio? — zapytał Tumidaj — kiedy?

— No tak jak wszyscy — powiedziała — zresztą nie mam czasu się rozglądać, przygotowuję swój repertuar, nic innego mnie nie obchodzi.

— Skąd wiesz, że Gwiazda Numer Cztery zwycięży? — spytał Tumidaj.

— To ona chodzi i rozpowiada — zawołała Gwiazdka — ja bym jej w ogóle nie dopuściła do festiwalu. To kompletne beztalencie.

— Ale prasę ma dobrą, niektórzy nawet wymieniają ją wśród faworytów.

— Dlatego, że jest Żoną Reżysera — powiedziała Gwiazdka — co za sztuka być faworytką, gdy się jest Żoną Reżysera? Jest pewna wygranej, boi się tylko Sylwii i wszystko zrobi, żeby ona na czas nie wróciła.

— Jakoś nie wierzę w to poronienie — rzekł Tumidaj — to zbyt trywialne.

— Trywialne! — zawołała. — Co ci przyszło do głowy?

— Taka jest prawda, nie da się ukryć. A teraz chciałabym zamienić z tobą parę słów poważnie.

— Wydawało mi się, że cały czas nic innego nie robimy, tylko rozmawiamy poważnie.

— Chcę ci zaproponować interes — powiedziała — ile bierzesz za dobrą recenzję? Podobno Recenzent Wszechmocny bierze pięć tysięcy, ale ty jesteś młody, początkujący.

— Tak jak ty — powiedział Tumidaj.

— No właśnie — przytaknęła — powinniśmy się popierać. No ile? — spytała.

Tumidaj śmiał się, jeszcze tego rodzaju propozycji nigdy nie otrzymał. Swoją drogą, myślał intensywnie, ładna dżungla! Pięć patyków za parę zdawkowych słów! Cholera, trzeba mieć tupet i być wyzutym ze wszystkiego.

A gdzie etyka dziennikarska?

— Napiszę o tobie za darmo — powiedział — tylko dobrze zaśpiewaj, a o resztę się już nie martw.

— Wolę się upewnić — rzekła — wszyscy tak robią, trzeba mieć swoich recenzentów, aby wypłynąć na szersze wody.

— Wypłyniesz i bez tego — powiedział Tumidaj — tylko dobrze zaśpiewaj. — I zmienił temat. — Co robisz tak w ogóle? — spytał.

— Nic — odpowiedziała. — Maturę zdałam w zeszłym roku, próbowałam dostać się do szkoły aktorskiej, ale nie wyszło, no to śpiewam z różnymi grupami, trochę sama, no wiesz, jak to jest, podobnie Sylwia zaczynała.

— Będziesz jeszcze raz próbować?

— Czego?

— Zdawać do szkoły aktorskiej.

— Chyba tak. Tylko muszę porobić sobie odpowiednie znajomości, w zeszłym roku poszłam zupełnie na waleta, dlatego się nie dostałam.

— Sądzę, że teraz się dostaniesz — powiedział Tumidaj z przekonaniem.

— No wiesz — obraziła się — myślisz, że ja z każdym leczę do łóżka, jak Sylwia! Wolę zapłacić gotówką.

Wrócili do bufetu. Ten śpiewak przestał się już drzeć.

Po chwili zjawił się w barze, był cały rozdygotany. Co to będzie na oficjalnym koncercie? pomyślał Tumidaj.

Gwiazdor Operetkowy podszedł do nich, ciągle dygotał.

— Niech pan spojrzy na tę dziewczynę — powiedział — ona wcale nie ma tremy, wchodzi na scenę jak do własnego mieszkania, a mnie nogi odmawiają posłuszeństwa, choć już dziesięć lat występuję na estradzie. Ale niech się pan dobrze jej przypatrzy, czy ona nie jest ładną podobną do Sylwii?

— Chyba tak — powiedział Tumidaj i pomyślał, że rzeczywiście wszystkie gwiazdki są podobne, a może raczej upodobniły się do Sylwii. Każda podświadomie chce być nią. Gdyby zebrać je wszystkie razem, wyglądałoby to bardzo śmiesznie.

— Oczy! — wołał Operetkowiec — o Jezu, te same

oczy! — (Pewnie smalił do niej cholewki i teraz wyzyskiwał okazję, żeby się jej podlizać). Tumidajowi, mimo dziesięciominutowej rozmowy, nie udało się sprowokować go do wynurzeń na temat zaginięcia Sylwii. Gdy tylko o tym napomykał, Operetkowiec natychmiast nabierał wody w usta, co jeszcze bardziej intrygowało Tumidaję. W końcu zapytał go wprost:

— Co pan myśli o tajemniczym zniknięciu Sylwii?

— Jeszcze jeden, który chce znać tajemnicę! — zawołał Operetkowiec — już mam tego dosyć! — I wygłosił krótkie pouczenie: — Dziennikarze, wydaje mi się, przyjechali po to na festiwal, żeby interesować się piosenkami i piosenkarzami, a nie uganiać się bezustannie za nie sprawdzonymi i wprowadzającymi zamieszanie plotkami.

Tumidaj spokojnie wytrzymał to przemówienie i wrócił do swego żelaznego tematu:

■ Słyszałem, że Sylwii podobała się pańska piosenka — (w ten prosty sposób zażywał Operetkowca z tak zwanej mańki) — szkoda, że nie słyszy, jak teraz ją pan wykonuje.

— Tak, ma pan rację, szkoda — Operetkowiec łatwo złapał się na przynętę. — Pół roku ćwiczę. Jest wszystko w tym słowie. Ktoś może uczyć się jeden dzień, ktoś tydzień, a ja opracowuję każdą piosenkę co najmniej pół roku.

■ To długo — powiedziała Gwiazdka za Gotówkę.

Operetkowiec spojrział na nią przelotnie, powtórzył znowu:

— Jeszcze ze dwa miesiące, a byłbym pewien, że dobrze zaśpiewam.

— Co powiedziałaś? — zdziwiła się Gwiazdka za Gotówkę — jeszcze dwa miesiące?

— Co najmniej — dodał Operetkowiec.

— Stary! — zawołała — życia ci nie starczy na zaśpiewanie tylu piosenek, ile Sylwia zaśpiewała w ciągu roku.

— Nie chcę być wzgardzon^h a odpedzon! — wydekla^mował Operetkowiec.

On pewnie szkolił się na księdza — powiedziała Gwiazdka za Gotówkę już nieco znudzona. — Idę sobie od was — Spojrzała wyczekująco na Tumidaję, nie zatrzymywał jej, więc poszła.

— Pół roku przygotowuję tę piosenkę — powiedział Operetkowiec — niech pan zapamięta i przekaze swoim czytelnikom trud prawdziwych artystów.

— T nadal nie jest pan z rezultatów swej pracy zadowolony — podrzucił mu Tumidaj.

— Oczywiście że nie! — wykrzyknął. — Prawdziwy artysta nigdy nie jest zadowolony.

— Dlaczego?

— Bo ja wiem? — Operetkowiec zaśmiał się niespodziewanie i jak dziecko klasnął w dłonie. — A jednak przegrała! — zawołał. — Nie wytrzymała tego ciśnienia, a ja wytrzymam, mimo że mnie zjada trema.

— Ma pan na myśli Sylwię? — spytał Tumidaj.

— Uciekła — mówił teraz szybko — przestraszyła się, nie wytrzymała napięcia, bała się kompromitacji, uciekła, tak, uciekła, wyjechała potajemnie, kto wie, to może rozsądne wyjście, ale ja już nie mogę się wycofać, za dużo pracy w to włożyłem, nie mogę, nie mogę!

Gwiazdka za Gotówkę wróciła. — Długo jeszcze będzie go pan wysłuchiwał? — powiedziała do Tumidaję. — Ostrzegam, on tak może godzinami.

Operetkowiec objął ją w talii, przyciągnął do siebie, pocałował z głośnym cmoknięciem.

— Dobrze, że ty nie masz tremy — zawołał. — Ale nie mów hop! Zobaczmy, co będzie w dniu koncertu.

Wymknęła mu się z objęć, ale nie odchodziła. Na wszelki wypadek jednak stała w bezpiecznej odległości. Zjawił się Reżyser, za nim natychmiast przyszedł Recenzent Wszechmocny. Reżyser dojrzał Tumidaję, podszedł do ^mego, więc i Recenzent podszedł, ujął Reżysera pod rękę.



Stali czule objęci, jak kochankowie, i przyglądali się bez żenady Tumidajowi.

— No jak posuwa się śledztwo? — spytał Reżyser.

— Śledztwo? — Tumidaj nieudolnie maskował zaskoczenie.

— No, niech pan tak się nie peszy — powiedział Reżyser. — Wszyscy wiedzą, że pan tak sobie chodzi i śledzi.

— W końcu jest dziennikarzem — wtrącił Recenzent. — Młodego dziennikarza strasznie wszystko interesuje. Ja też byłem taki. — Klepnął Tumidaję w plecy — interesuje pana wszystko, prawda, panie Tumidaj?

— Oczywiście — odpowiedział — chciałbym zebrać o festiwalu jak najwięcej materiału.

— Więc niech pan pyta — Reżyser rozłożył ręce. — Jesteśmy do pana dyspozycji.

Tumidaj czuł się fatalnie, ale nadrabiał miną, postanowił zaskoczyć Reżysera.

— Czy wiadomo, dlaczego Sylwia zrezygnowała z udziału w festiwalu? — spytał i rzeczywiście tym pytaniem zaskoczył Reżysera.

Podniósł nieco teatralnie głowę do góry, zastanawiał się.

— Co też tu panu odpowiedzieć?

Recenzent go wyręczył:

— Kto mówi, że zrezygnowała, gdzie to ogłoszono oficjalnie, gdzie to napisano, ja przynajmniej o niczym takim nie słyszałem.

Okropnie denerwował Tumidaję ten Recenzent. Chętnie by go pociągnął za ten czerwony, kulfontasty nos.

Recenzent znowu klepnął go w plecy swoją wielką, tłustą łapą i zaśmiał się rechetliwie.

— Młody człowieku, żeby zrozumieć postępowanie tak wielkiej piosenkarki, trzeba uzbroić się w ogromną psychologiczną wiedzę. Ale chyba nie o to chodzi. Pana interesuje, zdaje się, wyłącznie dzień dzisiejszy, jak to się brzydko mówi po dziennikarsku. W karierze wielkich ar-

tystek takie niespodziewane i gwałtowne zniknięcia nie należały do rzadkości.

— Mnie nie interesuje przeszłość, a terażniejszość — powiedział Tumidaj ze sztubackim zacięciem i zaraz speszył się jeszcze bardziej. Obaj patrzyli na niego dosyć lekceważąco. — Pytam dlatego o pannę Sylwię — rzekł — iż przypuszczam, że co najmniej połowa publiczności wykupiła bilety do Opery Leśnej tylko po to, żeby ją zobaczyć i posłuchać na żywo.

— No, nie używajmy tak apodyktycznych stwierdzeń — Reżyser znowu podniósł głowę do góry. — Zawsze jest trudno o bilety, na każdy festiwal.

— W tym roku jest szczególnie trudno — wtrącił Recenzent — ale nie ryzykowałbym twierdzenia, że to właśnie z powodu Sylwii.

Reżyser uśmiechnął się do Tumidaja: — Czy pan chce jeszcze o coś spytać?

— Nie, na razie dziękuję.

Uklonili się jak kukielki i trzymając się pod ręce, odeszli.

Tumidajowi nie pozostało nic innego, jak tylko pozostać przy swojej koncepcji zaginięcia Sylwii. Zostawił całe towarzystwo na kortach tenisowych, musi z nimi coś zrobić, więc niech będzie tak: kulturysta Jacek rozpychając bezceremonialnie tłumek wielbicieli, obszedł naokoło korty tenisowe, błędząc wzrokiem po twarzach, odnalazł wreszcie Supergwiazdę i Felixa wśród publiczności zajmującej pierwsze rzędy trybun, dostrzegł tam również przyjaciółkę Supergwiazdy z lat dziecińczych, która przypadkiem spotkawszy Supergwiazdę w Sopocie już nie odstępowała jej ani na krok, a także dwóch nieznanym mężczyznom zajętych rozmową z Supergwiazdą. Jednym z nich był Impresario Międzynarodowy, kulturysta nie znał go, drugim zaś pewien marynarz (na miejscu Tumidaja, gdyż Tumidaj wycofuje się z akcji, aby móc swobodniej dyrygować swoimi figurkami), adorator Supergwiazdy, który dostąpił tego zaszczytu, że wolno mu przebywać w jej towa-

rzystwie. Kulturysta podszedł, uklonił się i po wysłuchaniu tylko części komplementów, płynących nie kończąca się rzeką z ust Supergwiazdy, pochylił się do Felixa i szepnął tajemniczo: Musi pan coś zrobić. Co? zapytał Felix.

Jest tu pewien dziennikarz, którego znam z klubu. Redaktor Tumidaj, zna go pan? Nie. **O** co chodzi? (Felix oczywiście, jak każdy milioner amerykański, nie kojarzy najprostszych rzeczy, choć słyszał już zapewne nazwisko Tumidaj). Przyczepił się do Sylwii i wypytuje o Jej-Gitarzystę. Nie mógłby pan uwolnić ją od niego? Pochmurny, uważny wzrok Felixa sprawił, że kulturysta zaczął tracić charakterystyczną dla sportowców pewność siebie. Chodzi o to, że Sylwia może niepotrzebnie coś wypaplać, jest jeszcze kompletnie zielona. Czy Sylwia wie coś o Jej-Gitarzyście, co mogłoby mu zaszkodzić? zapytał z przejęciem Felix. Nie wiem, szepnął Jacek, łowiąc jednym uchem nie kończące się nad nim zachwyty Supergwiazdy, w braku innych słuchaczy wygłaszane teraz do Impresaria i marynarza; przyjaciółka z lat dziecińczy tkwiła martwo na swym miejscu. Rozumie pan, Sylwia to jeszcze dzieciak, Jej-Gitarzysta mógł się jej z czegoś zwierzyć i ona może wszystko popsuć. Sądzi się, że spotykają się potajemnie?

1 Pod dociekliwym spojrzeniem małego tłuścioszka kulturysta zmieszał się do reszty, więc aby to zatuszować, wykrzyknął, zapominając o należytym konspiracyjnym: Niech skonać! Wam, ojcóm, zdaje się, że wszystko wiecie albo potraficie się dowiedzieć, co? Odszedł rozeźlony i po chwili już znalazł się przy stojących w pobliżu szatni, ale z dala od grupki kibiców czyhających na zawodników, Sylwii

2 Kapitanie (owym marynarzu, adoratorze Supergwiazdy, który korzystając z jej chwilowej nieuwagi, oddalił się, szybko, bez busoli zresztą i kompasu, odnalazł Sylwię i teraz ją emablował z galanterią typową dla kapitana żeglugi wielkiej, obytego z wszelkimi dziwnościami, jakie można spotkać w najdalszych portach świata). Felietonista Dociekliwy, dowódca Stołecznych Felietonistów, podążył za

nim. **O**, jest i pan Felietonista! zaszczębiotała Sylwia, gdy Felietonista zbliżył się do nich. Panowie chyba się nie znają? Kapitan, który opłynął już wszystkie oceany i morza świata bez uszczerbku dla zdrowia, a to Felietonista Dociekliwy, ta sława warszawska, przedstawiła ich sobie. Kapitan i Felietonista wymienili uścisk dłoni. Nigdy bym nie przypuszczała, że znajdę się w tak doborowym towarzystwie, szczębiotała Sylwia, marynarz i pan pisujący dowcipne kawałki prawie co tydzień, brakuje tylko do kompletu śpiewaka operowego albo jakiegoś ułana. Kulturysta przerwał jej zniecierpliwiony: Niedługo mam drugi występ. Chcesz popatrzeć? Mogę zaprowadzić cię na ławkę dla zawodników. Stamtąd lepiej widać. Nie zwróciła na jego słowa najmniejszej uwagi, Kapitan wyjął papierosa, poczęstował Felietonistę (Sylwia, jak przystało na wschodzącą gwiazdę, nie paliła), kulturysta odmówił ruchem głowy. Naprawdę, panno Sylwio, proszę iść popatrzeć, rzekł Kapitan. Jacek jest świetny. Na pewno zdobędzie pierwsze miejsce, chętnie widziałbym go na swoim statku jako marynarza. Znienacka zjawił się przy nich Impresario Międzynarodowy. Uśmiechnięty jowialnie i w ukłonach. **O**, pan Impresario! Sylwia **nie** mogła patrzeć na tę jego nieznośną, wiecznie uśmiechniętą twarz. Przedstawiła go Felietoniście, a potem szybko dodała: pan Impresario jest odkrywcą naszej wspaniałej Supergwiazdy, a my się znamy z Sopotu, z plaży, prawda? Prawda, potwierdził Impresario, wlepiając w nią swe nieruchome, czerwone oczy.

Wszyscy tu jesteśmy znajomymi z plaży. Idziesz popatrzeć? nalegał kulturysta, w podskokach rozluźniając mięśnie. No, idziesz? Chyba muszę w końcu, zaśmiała się wymuszenie, unikając spojrzeń Impresaria. Chociaż jestem bardzo ciekawa, o czym panowie będą rozmawiać. Wszyscy mówią tutaj o tym samym, rzekł Impresario, ujmując ją szybkim, zaskakującym ruchem pod rękę. **O** pięknie ciała ludzkiego, więc chodźmy popatrzeć na to z bliska. Pociągnął ją w kierunku otwartej furtki w siatce prowadzącej do ławki za-

wodników. Kulturysta drobnym truchtem pobiegł za nimi. Sylwia odwróciła się i popatrzyła bezradnie na tamtych dwóch: Kapitana Żeglugi Wielkiej i Felietonistę, stojących z papierosami w rękach. Co to za facet? spytał dociekliwie Felietonista Docieklivy. Słyszał pan, znajomy z plaży, odparł tajemniczo Kapitan.

Jej-Gitarzysta przebrany w granatowy dres, z grubym białym ręcznikiem owiniętym wokół szyi, w ciemnych okularach i czerwonej czapeczce z długim daszkiem, ukryty na zapleczu szatni wśród uszkodzonych i porzuconych przyrządów sportowych, oczekując na powrót swego przyjaciela Jacka, śledził występy kulturystów i nagle w szparze między stosem podartych siatek tenisowych i beczką z wapnem do wyznaczania linii na kortach zobaczył Sylwię idącą pod rękę z tym samym nieznanym, którego widział już przedtem, gdy z krzaków obserwował ulicę Ceynowy.

Pociemniało mu w oczach, odruchowo chwycił się beczki z wapnem, obejmując ją i ściskając z całej siły; próbował się w ten sposób opanować. Po pewnym czasie jego przyjaciel Jacek, w takim samym dresie jak on, z takim samym ręcznikiem na szyi i w takiej samej czapeczce, pochylony konspiracyjnie, bezszelestnie w miękkich tenisówkach zbliżył się do niego. Gitarzysta, szepnął, tylko nie rób głupstw. Nie martw się, odpowiedział Jej-Gitarzysta, bacznie obserwując Sylwię siedzącą z nieznanym na ławce dla zawodników. Jacek dla uspokojenia żuł gumę. Chciałem jej powiedzieć, że jesteś tutaj, ale stale ktoś pętał się koło nas, usprawiedliwił się. Cholera! syknął Jej-Gitarzysta. Co ona sobie myśli z tym facetem? Tylko nie rób głupstw, upomniał go Jacek. Spróbuj jakoś ją zawiadomić. Tylko nie wyłaż stąd, dobrze? Ile mam czekać, jak Boga kocham! Jej-Gitarzysta przestał obejmować beczkę, ale nadal przez szparę uważnie śledził Sylwię. A jak mnie nakryją? Jeszcze trochę posiedź, szepnął Jacek. Zaraz mam drugi występ, w finale. Postaram się wcześniej ją zawiadomić. Tylko ostrożnie, żeby nikt się nie skapował, syknął

Jej-Gitarzysta w ślad za odchodzącym kulturystą. Uważaj na wszystkich!

To jest właśnie dewiza Tumidaja: uważać na wszystkich i na wszystko. Mimo to do tej pory wie tylko tyle, że Sylwia zniknęła, nic więcej. Płynę nadal bezkierunkowo we mgłę i chyba trzeba będzie jakiegoś cudu, aby to wszystko się wreszcie wyjaśniło, rozmyśla z niezbyt wesołą miną.

Skrawek gazety z nagryzmołonym pośpiesznie wezwaniem na potajemne spotkanie i potem to, co się stało na plaży, wywołało w skołatany umyśle Jej-Gitarzysty ogromne poczucie krzywdy i głuche pragnienie zemsty.

Zdradziła mnie, powtarzał w kółko, siedząc w kucki ukryty wśród rupieciarni na tyłach szatni. Trzymał w swych potężnych dłoniach fatalną kartkę i choć ciemność panowała tutaj zupełna (prawie), nieustannie odczytywał jej treść, a właściwie przypominał sobie zdradzieckie słowa, które znał doskonale na pamięć, rozbudzając w ten sposób gasnące w miarę oczekiwania iskiereki zemsty. Jeżeli nie przyjdzie, odnajdę ją tam... A potem niech mnie aresztują. Znowu usłyszał muzykę, oklaski, znak, że przerwa już się skończyła. Zniecierpliwiony wychylił się ze swojej kryjówki, ale gdy w smudze światła między skrzyniami dostrzegł skradającą się postać, cofnął się spłoszony. Dopiero po chwili rozpoznał Sylwię. Podbiegła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję. Zostaw! cofnął się, unikając pocałunku. Siedzę tu i siedzę. Myślałem, że zwariuję. Odsunęła się od niego równie gwałtownie, jak się zbliżyła. Jacek dopiero co mi powiedział, że tu jesteś, usprawiedliwiła się.

Nie wiem, o co ci chodzi. Chwycił ją za ramiona, obrócił twarzą do tej strugi światła między skrzyniami i patrzył na nią badawczo, nieufnie. Dlaczego przysłałaś mi tę kartkę? zapytał, rozniecając w sobie pragnienie zemsty, osłabie na jej widok. Chciałaś mnie zakałować, co? Uwolniła ramiona, oczy miała teraz zranionej sarny. Jak mogłeś coś takiego powiedzieć? A ta kartka? Podał jej pomięty skrawek gazety, który cały czas ścisnął w dłoni. Przez ten choler-

ny papierek twoje „Szatany” o mało nie zrobiły ze mnie marmolady. Pochylając się do światła przebiegła szybko wzrokiem podaną jej kartkę, a potem spojrzała na niego.

Gitarzysto, rzekła z powagą, ja tego nie pisałam. Musisz mi uwierzyć. Tak? zapytał z ogromną ulgą. W głębi duszy był przekonany, że ona tego nie zrobiła. No to kto?

Ktoś, kto wiedział, że się tam spotykaliśmy, powiedziała naburmuszona. Ale jak mogłeś przypuszczać choć przez chwilę, że to ja? Prosiłam cię, żebyś wyjechał, ale to nie znaczy, że chciałam cię wciągnąć w zasadzkę. Jak mogłeś?

Odwrociła się od niego i znalazła się w samym środku tej smugi światła idącej między szkryniami od oświetlonych kortów. Zobaczył jej pochyloną, dziewczęcą postać z opuszczonymi bezradnie ramionami i żal mu się jej zrobiło.

Świnia jestem, pomyślał. Stara mi się pomóc, a ja jeszcze ją podejrzewam. Zbliżył się do niej i nie bacząc na to, że znajdują się w samym środku światła, objął ją lekko. Och, nie! szepnęła. Bo nas zobaczą. Schowajmy się. Wycofali się ze światła i usiedli w ciemnym kącie na stosie podartych siatek tenisowych. Jak mogłeś mnie podejrzewać, mówiła z wyrzutem. Wiesz, że cię kocham i wierzę, że jesteś niewinny. Inaczej przecież nie zrezygnowałabym z festiwalu, żeby cię chronić. (W tym miejscu Tumidajowi zaczyna się akcja trochę mieszać — w końcu sam już nie wie, czy Sylwia zrezygnowała z Festiwalu dla Jej-Gitarzysty, aby, jak mówi, chronić go przed niebezpieczeństwem, czy też zmuszono ją, aby zrezygnowała; być może istnieje jeszcze inne rozwiązanie — obrazy i sytuacje się nakładają, odbywa się coś w rodzaju „przenikania” telewizyjnego czy filmowego; w każdym razie Jej-Gitarzysty w tej chwili się ukrywa, a Sylwia ma jakieś porachunki z festiwalowcami, co jej skutecznie uniemożliwia próby w Operze Leśnej). Przebac mi, powiedział zgnębiony.

Wszystko w porządku, pogodzili się. Tu następuje przerwa, Tumidaj intensywnie myśli, co dalej. Może być mniej więcej tak (trzeba jako zamarkować sytuację, potem do-

pracuje się (szczegóły): siedzą w milczeniu, trzymają się za ręce. Po chwili Jej-Gitarzysta pyta cicho: A jak mama, bardzo się martwi? Staramy się na ten temat nie rozmawiać, odpowiada Sylwia, pochylając ze smutkiem głowę. Ani twoja mama, ani moi rodzice nie uważają cię za przestępcę. (Sylwia już wie, że Supergwiazda i Felix są jej rodzicami). Tak samo jak ja. Mówi teraz szybko, jakby w obawie, że jej przerwie. Ale byłoby lepiej, gdybyś wyjechał.

Oni szukają ciebie, a tamten czy tamci, bo nie wiadomo czy jeden, czy jest ich więcej, działają na twój rachunek.

Dobra, mogę wyjechać! zachnął się, ale jeśli mi udowodnią, że to ja zrobiłem, co wtedy? Gdzie się ukryje? Wolę być już na miejscu. Nie mam zamiaru dyndać na stryczku.

I co znaczy ta cholerna kartka? Jeśli nie ty, to kto ją podrzucił? Ciągłe mi nie wierzysz! Sylwia wstaje nadąsana, a ja robię wszystko, żeby cię z tego wyciągnąć, więcej niż powinnam. Co mam jeszcze zrobić, by cię przekonać?

Może potrzeba ci trochę pieniędzy? Dziękuję. Na razie Jacek poratował mnie z forszą, ale gdybyś chciała... urwał i przytulił jej wąską, drżącą dłoń do swego nie ogolonego policzka. Gdybym chciała? zapytuje spłoszona, wpatrując się z natężeniem w niewyraźny zarys jego twarzy. Moglibyśmy razem gdzieś wyjechać, mówi Jej-Gitarzysta. Znam jedną taką wieś rybacką, gdzie moglibyśmy się ukryć. To niemożliwe, mówi Sylwia w zamyśleniu. Wyobrażasz sobie, co by się działo, gdybym nagle naprawdę zniknęła? Cały Sopot przewróciłiby do góry nogami. Tak czy owak muszę wystąpić na festiwalu. Wszyscy liczą na to i nie mogą ich zawieść. To by całkowicie przekreśliło moją dalszą karierę.

Ale ja cię kocham! Jej-Gitarzysta namiętnie całuje ją w dłoń. Och, jak ja cię kocham! Przyjdę w nocy do ogrodu. Bądź gotowa. Wszystko dokładnie obmyśliłem. Zobaczysz, że się uda. Sciska ją mocno za rękę, ale jej dłoń nie reaguje, nie oddaje uścisku, który potwierdzałby jej zgodę. Będę czekał przy tej starej altance, wiesz? Nie! Nie!

Nie przychodź! protestuje Sylwia, siadając z powrotem.

Naprawdę nie mogę z tobą wyjechać. To bardzo niebezpieczne dla nas obojga... Wydaje mi się, że wszyscy wokół mnie śledzą. I teraz jeszcze ten Zadkower! Co za Zadkower? zapytuje podejrzliwie Jej-Gitarzystę. Czy to ten z potajemnego domu publicznego? Tak. To Ulizany Wacusi, mówi Sylwia cicho. Przyczepił się do mnie od samego początku i w żaden sposób nie mogę się go pozbyć.

Opowiada o mnie różne paskudne rzeczy, to taki erotoman-gawędziarz. Wygląda na straszną gnidę, mówi z nienawiścią Jej-Gitarzystę, już raz chciałem mu skuć mordę ale nie pozwoliłaś. Teraz niech tylko wpadnie w moje ręce! Reżyser mówi, żebym miała się przed nim na bacności, stwierdza Sylwia. Ulizany Wacusi ma kontakty, podstawią głupie dziewczyny pewnym facetom i dlatego może sobie na wszystko pozwalać. Postanowiłam, że nie będę z nim w ogóle rozmawiać, ale on stale łązi za inną i śledzi mnie. Pewnie gdzieś donosi o każdym moim kroku. Z tego żyje. Zabiję tę gnidę! woła oburzony Jej-Gitarzysta. Co na to Reżyser, przecież chyba wie, że ta wszak nie daje ci przygotować się spokojnie do festiwalu. Reżyser też wydaje mi się podejrzany, mówi Sylwia konspiracyjnie. Powoli zaczynam się bać własnego cienia. To wszystko przez tego Zadkowera! woła Jej-Gitarzystę. Ale mnie się chyba nie boisz? Sylwia milczy, więc Jej-Gitarzysta dorzuca szybko: Przyjdę zaraz po północy, jak ten pokaz tu się skończy i będę mógł stąd wyjść. Przygotuj się i weź jakieś wygodne buty, znam drogę przez las, pójdziemy na skróty. O świcie będziemy już na miejscu. Tam przeczekamy, aż się tutaj uporają z tym Zadkowerem. Ciszej! Idzie ktoś! szepnęła wystraszona. Wstała i ostrożnie wyjrzała zza skrzynki w strugę światła. O Boże, to on! Muszę wracać.

Pamiętaj, przyjdę na mur, rzuca Jej-Gitarzystę w ślad za nią. Czekaj na mnie! krzyknął jeszcze zdławionym głosem i cofnął się w głąb rupieciarni.

Sylwia szybko przemierza tę strugę światła między skrzyniami, ale gdy wychodzi na otwartą przestrzeń w po-

bliżu szatni, nagle jak spod ziemi wyrasta przed nią Zadkower. Stoi odwrócony bokiem z papierosem w ustach, prawie łysy, resztki włosów ulizane za pomocą brylantyny na jajowatej czaszce, w tej swojej tweedowej, kraciastej marynarce, zdecydowanie za grubej na tak ciepły wieczór, w ogóle niestosownej do pory roku; Sylwią ogarnia rozpaczliwa wściekłość, ten facet wyraźnie ją śledzi i jeżeli teraz był tu przez cały czas i słyszał ich rozmowę, znowu będzie jej szkodził. Dobry wieczór, panno Sylwio.

Wygląda na to, jakby ktoś nas tutaj umówił, przywitał ją wesoło Zadkower vel Ulizany Wacek-Wac^us vel Donosiciel Ugrzeczni^ony. Dawno się nie widzieliśmy, prawda?

Wychodzą z cienia rzucanego przez zabudowania szatni i idą wolno zwirową alejką w stronę trybun. Sylwia przygląda się ukradkiem Ulizanemu Wackowi, ale nic nie może wyczytać z jego wiecznie uśmiechniętej twarzy. Pana też, jak widzę, nie bardzo interesują te popisy, mówi.

Usiądźmy gdzieś i porozmawiajmy, zanim to się skończy, dodaje z rozpaczliwą zalotnością. Chętnie, położył na nią uważne spojrzenie, jego oczy były nieruchome, czerwone i bez wyrazu, jak oczy hieny. Wiedział, że desperacko podjęła tę próbę zalotów, tę jedyną szansę wydobycia od niego, czy rzeczywiście może jej przeszkodzić w występie na festiwalu. Siądźmy tutaj, Sylwia wskazuje ławkę stojącą pod rozłożystą wierzbą. Odpowiada panu? Jeszcze nas posądzą, że jesteśmy zakochani, mówi Zadkower, bezceremonialnie obejmując dziewczynę ramieniem. A może jesteśmy? Sylwia śmieje się kokieteryjnie, wyzwala się jednak z objęcia, ruszają do ławki pod drzewem. Przyplątuje się do nich jakiś zabłąkany pies, atakuje pięty Zadkowera, obszczekując go zawzięcie. Gdy siadają, Zadkower wlepia w psa swój nieruchomy wzrok hieny, rozwścieczony kundel nagle milknie, podwija w panicznym strachu ogon i z cichym skowyttem ucieka w krzaki. Co mu się stało? zapytuje Sylwia. Napotyka czerwone, nieruchome oczy Ulizanego Wacka, szybko odwraca spojrzenie, pocieszając

się myślą, iż w pobliżu jest dużo ludzi i nic jej nie grozi. Czego ten pies tak się przestraszył? powtarza pytanie nie patrząc na Zadkowera. Pani nigdy niczego się nie przestraszyła? jego głos brzmi płasko, obrzydliwie, jak głos eunucha. Sylwia milczy, więc Zadkower przesuwając na ławce rękę, dotykając wierzchem dłoni jej odsłoniętego uda (Sylwia jest w szortach). Dziewczyna odskakuje gwałtownie na drugi koniec ławki. No to kiedy uciekacie? zapytuje Ulizany Wacek, śliniąc się w uśmiechu. Uciekamy?

Sylwia zamiera w napięciu. No właśnie, Zadkower nie przestaje się ślinić. Chyba to jedyne wyjście. Sylwia chce koniecznie coś powiedzieć, zmienić temat, zbagatelizować sens tej rozmowy, ale dziwna niemoc ogarnia jej ciało.

To strach! Wie, że to strach przed Zadkowerem. Siedzi bez ruchu, czując jak drętwieją jej czubki palców, a w ustach pojawia się mdła, słodkawa wata. Ulizany Wacek vel Donosiciel Ugrzeczniomy świadomie przedłuża tę pełną napięcia ciszę, śledzi z przesadnym zainteresowaniem promień światła mieniący się w jej rudych włosach. Jedyne wyjście dla pani, ma się rozumieć, mówi w końcu.

Nie bardzo wiem, co pan ma na myśli, ale na wszelki wypadek zmieńmy temat, wreszcie udało się jej odzyskać głos, choć ta słodkawo-mdła wata ciągle zatyka jej gardło.

Donosiciel Ugrzeczniomy wyjmując papierosa, Sylwia odmawia ruchem głowy, więc sam zapala, wypuszczając przed siebie misterne kółeczka dymu. Myślałem, że panią, osóbkę bardzo sprytną, stać na lepszy wykręt, powiada wstając i siada tak, że jej twarz jest teraz w świetle idącym z kortów, a jego w cieniu. Wpatruje się w nią ośliniony i roześmiany w tym swoim niemy uśmiechu. Widzę teraz dobrze twoje oczy, zniża niemal do szeptu ten swój płaski, eunuchowaty głos. Będę mógł cię łatwiej zdobyć. Co pan sobie myśli? obrusza się Sylwia. Wypraszam sobie! Uspokój się! przerywa jej piskliwie. Wcale nie lecę na twoje ciało.

Więc proszę nie używać takich słów! Sylwia siedzi sztywno wyprostowana, w każdej chwili gotowa rzucić się do

panicznej ucieczki. Uspokój się! powtarza Donosiciel Ugrzeczni-
ny. Sama wiesz, że rozmowa jeszcze nie skończona.
Dlaczego stworzenia tak piękne i niepokojące jak ty są zupełnie
pozbawione mózgu? Ja ciągle nie wiem, o co panu chodzi, Sylwia
skarży się załośnie, pragnąc, by Jej-Gitarzysta lub ktokolwiek
zjawił się przy niej i przerwał tę obrzydliwą rozmowę. I tak byś
nie zrozumiała, gdybym nawet usiłował ci wyjaśnić, mówi Zad-
kower z powstrzymaną wściekłością. Musisz nad sobą jeszcze
sporo popracować i radzę uczynić to szybko, póki jeszcze nie jest
za późno. Chyba jednak jesteś stuknięty, powiada odważnie Syl-
wia, dziwiąc się samej sobie. Oczywiście! Zadkower zrywa się
raptownie z ławki, do zobaczenia na festiwalu, jeżeli tam wystą-
pisz! Wstaje również. Wróć! rozkazuje mu. Nie broni się, kiedy
wolno podchodzi do niej i bierze ją w objęcia. Chcę wiedzieć, co
masz przeciwko mnie i dlaczego ciągle na mnie donosisz? Brutal-
nie chwyta ją z tyłu za włosy, próbując pocałować. Sylwia opiera
się i wykręca głowę, czuje jednak muśnięcia jego oślinionych
warg na policzkach. Nie! broni się rozpaczliwie. Najpierw po-
wiedz, co im nagadałeś, że mi zabraniają występu na festiwalu?
Teraz Zadkower chwyta ją drugą ręką za szyję i zaciska powoli
dłoń, aż Sylwia przestaje się wrywać. Widzi, jak jej oczy rozsze-
rzają się, widzi sinawe plamy wokół palców zwierających się na
jej szyi, chichocze cicho i z lubością przygląda się jej martwiejącej
twarzy.

A więc Sylwia nie wystąpi na Festiwalu. Mordercą jest zbcze-
niec o pseudonimie czy nazwisku Zadkower vel Ulizany Wacek
vel Donosiciel Ugrzeczniomy. Tumidaj pośpiesznie konstruuje
sylwetkę psychofizyczną mordercy, potem zastanawia się, czy
rzeczywiście Zadkower mógł przeszkodzić Sylwii w występie na
Festiwalu? A jeśli tak, to dlaczego? Co wiedział o niej, czym ją
szantażował, jak daleko sięgały jego znajomości wypracowane
długoletnimi donosami, tam gdzie trzeba i na kogo w danej chwili
trzeba?

Brak mu koniecznych danych, aby dokładnie nakreślić odstręcającą sylwetkę śliniącego się Donosiciela, który w swej nienawiści do wszystkiego, co piękne, posuwa się aż do morderstwa. Tumidaj ma nadzieję uzyskać potrzebne mu informacje z niewyczerpanego źródła wszelkich wiadomości, jakim są kulisy Opery Leśnej. Ale bezskutecznie usiłował natrafić choćby na nikły ślad Ulizanego Wacka-Wacusia. Wszystkie wątki, które, wydawałoby się, prowadzą do Zadkowera, gdy bliżej nimi zaczynał się interesować, rwały się jak pajęczyna. Okazuje się, iż Zadkower jest tajemniczy jak Bormann, lubi działać w cieniu i nie pozostawia po sobie śladów (tak jak Bormann nie lubił się fotografować, tak Zadkower nie lubi działać w pełnym świetle, woli kryć się w różnych tajemnych zakamarkach światła artystycznego, niż błyszczeć na scenie, widać takie ma upodobania i to mu sprawia przyjemność).

Usłyszał chóralny śmiech, podszedł bliżej, Gwiazda Numer Dwa parodiowała czyjaś piosenkę, stała na środku baru tak, jak stoi nauczycielka w klasie pośród uczniów.

— A wydźwięk jest? — pytała.

— Jest! — odrzykiwali festiwalowcy. Byli wielce ubawieni.

— A co jeszcze jest? — spytała.

— Wszystko jest! — odpowiedziała Gwiazda Numer Jeden, pokładając się ze śmiechu.

— To zaśpiewajmy — krzyknął Gwiazdor Numer Jeden. — Niech zaśpiewa Gwiazda Numer Jeden, jej głos pieści me ucho.

Pozostali przyłączyli się do propozycji Gwiazdora Numer Jeden i chociaż Gwiazda Numer Jeden wzbraniała się długo, w końcu zaśpiewała. Miała ładny, zaskakujący głos.

— Tego w piosence nie ma! — zaprotestował jakiś facet.

Gwiazda jednak dalej śpiewała.

Tumidaj zapytał owego protestującego faceta, czy to jest piosenka Zadkowera, ale facet nie wiadomo czemu obra-

ził się. Tumidaj szybko wyciągnął wniosek, że jest to „Człowiek Zadkowera”.

— Widzę, że pan nie rozumiał idei tej pieśni — mówi Człowiek Zadkowera. — Fabuła tutaj nie ma znaczenia. Chodzi o ukazanie spraw głębszych, dotyczących losu jednostki we współczesnym zmaturalizowanym świecie.

Teraz Gwiazdor Numer Trzy parodiował piosenkę Zadkowera. Wszedł na środek salki, owinął się kolorowym ręcznikiem (pożyczonym od bufetowej), w ten sposób imitując bogaty wystrój powiatowego notabla, Gwiazda Numer Dwa podbiegła do niego, miała minę wścieklej sekutnicy.

— Czy obywatel nie widzi, że ludzie plotkują, widząc go często, zbyt często w godzinach służbowych w mieszkaniu nauczycielki? Opamiętajcie się, obywatelu, przecież jesteście zonaci i dzieciaci!

— Co komu do domu jak chałupa nie jego — Gwiazdor odpowiedział wyniośle i z wiejska.

Znowu wszyscy zaśmiali się chóralnie, tylko Człowiek Zadkowera protestował, że profanują prawdziwy artyzm.

Rzeczywiście, ta parodia była celna.

Cały konflikt w jedynej piosence, którą dotychczas spłodził Zadkower i sobie tylko znanymi metodami zmusił kilka gwiazd i gwiazdorów, aby tę piosenkę śpiewali na Festiwalu, polegał, a raczej obracał się wokół pozamałżeńskich stosunków burmistrza miasteczka z młodą, ładną nauczycielką. Tumidajowi wydawało się, że jest jakiś ukryty cel w tej parodii. Dotychczas nikt nie odważył się wyśmiać piosenki Zadkowera w jego obecności, ale gdy tylko zniknął na chwilę, żartom nie było końca. Szydzili z Zadkowera, ile tylko się dało, ale widać bali się go jednocześnie, bo gdy się pojawił, od razu milkli lub zaczynali mówić o czym innym, nawet w obecności Człowieka Zadkowera tracili dowcip. Rzecz jasna, Zadkower i jego Człowiek czymś ich szachowali!

Reżyser stał obok Tumidaja, trzymał talerzyk z ciastkami. jadł łączywie, usta miał utyłane kremem.

— Co oni chcieli przez to powiedzieć? — spytał go Tumidaj. — Czyżby ta parodia piosenki Zadkowera miała jakiś związek z zaginięciem Sylwii? I dlaczego tak się boicie tego typu?

Reżyserowi oczy skoczyły w bok, po twarzy przebiegł skurcz.

Z zaginięciem Sylwii? — wyszeptał.

— Tak mi się wydaje — Tumidaj pełen napięcia czekał na dalsze słowa Reżysera. — Nie bez powodu tak go się boicie. Inaczej szukalibyście Sylwii na wszystkie sposoby.

Czym on was szachuje? Kto to właściwie jest? Dlaczego mu ulegacie?

Reżyser odniósł talerzyk z nie dojeżdżonym ciastkiem do bufetu, postawił na ladę (to rzecz pewna: chciał zyskać na czasie), uśmiechnął się drwiąco i wolno wyszedł z baru, przechodząc obok Tumidaja powiedział cicho, tak aby tylko on słyszał: — Pan ma zbyt wybujałą fantazję, młody człowieku.

Tumidaj spodziewał się czegoś więcej, nawet przez moment sądził, iż Reżyser odsłoni mu tajemnicę siły Zadkowera. Potrafił jednak opanować się. A może to tylko efekowna gierka starego filmowca?

Badylarz ze złotym zębem emablował Gwiazdkę Numer Jeden (w zastępstwie). Był w siódmym niebie, szeptał jej coś do ucha, śmiała się, on też błyskał złotym zębem. Gwiazdorek Piąty powiedział do Gwiazdorka Szóstego: — Ten Badylarz podrywa nam najlepsze dziewczyny. Co ty na to? — Nie uda mu się tym razem — zaperzył się Gwiazdorek Numer Sześć. Kiedy Badylarz wziął Gwiazdkę Numer Jeden pod rękę, prowadząc ją gdzieś na osobność, podskoczył, zagroził im drogę. — Teraz na mnie kolej — powiedział. Badylarz skrzywił się. — Narzeczona moja — Gwiazdorek Numer Sześć przybrał bojową postawę — proszę bardzo — i już Gwiazdeczka i Gwiazdorek czule się

obejmują, Badylarz patrzy zajadle. Gwiazdorek widzi jego wzrok i na złość Badylarzowi całuje Gwiazdkę, przytulają się do siebie. Badylarz nie wytrzymuje, opuszcza bufet.

Przy ladzie z kanapkami Przebojowiec rozmawia z Człowiekiem Zadkowera. Tumidaj przysunął się bliżej, usłyszał tylko: — Jeżeli to naprawdę twoja piosenka, to powinieneś wreszcie zdemaskować Zadkowera. Dlaczego on ma wykorzystywać twój talent dla swych niecnych celów? Wiem, potrzebuje szyldu, że niby też jest twórcą i pod tym płaszczykiem nas inwigiluje, ale czas już z tym skończyć. Powinieneś się usamodzielnić. — Obaj dostrzegają nagle Tumidaję i milkną zmieszani. Odchodzą śpiesznie. Tumidaj dalej nic z tego nie rozumie, ale postanawia nie przerywać śledztwa.

Teraz pierwszym i najpilniejszym zadaniem jest powołać z powrotem do życia Sylwię, bo przecież musi się zemścić na obrzydliwym, szantażującym ją i nie dopuszczającym do Festiwalu Zadkowerze. Wreszcie Ulizany Wacek-Wacus zrozumie, co to jest zemsta kobiety. Więc jeszcze raz cofnijmy akcję, niby taśmę filmową.

Zobaczył, jak jej oczy się rozszerzają, widział sinawe plamy wokół palców zwierających się na jej szyi, chichocąc cicho z lubością przyglądał się jej przerażonej twarzy.

Kątem oka dostrzegła zbliżającą się sylwetkę, wykrzyknęła resztką sił: Felix idzie! Puść! Zanim Felix podszedł do nich, Zadkower, już opanowany i uprzejmy, usiadł na ławce obok ciągle przerażonej Sylwii. Widzę, że też już was zmoгло, powiedział Felix siadając na ławce. Idę do bufetu coś przekąsić. Porządnie się wynudziłem, ale Supergwiazda emocjonuje się tymi popisami bardziej niż walkami byków w Hiszpanii. Na szczęście to już chyba koniec. Pójdę zobaczyć, kto wygrał, Zadkower wstaje z ławki, przepraszam państwa. Proszę mnie nie zostawiać, mówi głośno Sylwia, też chcę zobaczyć zwycięzcę. Przysunęła się do Ulizanego Wacka i wpatrując się odważnie w jego przekrwione oczy, wionęła wściekłym szeptem: Nie uciekniesz mi! Muszę wie-

dzieci, co zamierzasz. Muszę, rozumiesz? Zadkower uprzejmie odklonił się Felixowi wstającemu z westchnieniem z ławki i ociężale maszerującemu do bufetu, a potem omiótł triumfująco Sylwię swym czerwonym, króliczym wzrokiem. Przyjdę dziś w nocy do altanki w ogrodzie, powiedział. Słyszałeś to? Sylwia wpatrywała się w niego z nienawiścią i strachem. Szła przy nim w stronę trybun, uczepona jego rękawa, pobladła i w napięciu oczekująca na jego słowa. No powiedz, słyszałeś to? Zadkower nie odpowiedział. Przyspieszył kroku i po chwili znaleźli się już na trybunach wśród wrzeszczącego tłumu, wiwatującego na cześć zwycięzcy konkursu kulturystów, którym został Jacek, przyjaciel Jej-Gitarzysty. Sylwia w roztargnieniu popatrzyła na jego sylwetkę wysmarowaną oliwą — przeżył się na środku kortów, a potem z irytacją przeniosła wzrok na Supergwiazdę, która krzyczała podekscytowana i unosząc ręce do góry klaskała zawzięcie. Zadkower umiejętnie wyzyskał rozgardiasz panujący teraz na trybunach. Zostawił Sylwię, przecisnął się do jej matki, również uniósł ręce do góry i bił brawo. Dziewczyna nie mogła patrzeć na tę jego niezdarność, wiecznie uśmiechniętą twarz. Podbiegła do Hrabiny, matki Jej-Gitarzysty, zajętej rozmową z Kapitanem Żeglugi Wielkiej. Muszę z panią koniecznie zaraz porozmawiać, rzekła zniżając głos. Kapitan nie słyszał jej słów, ale blada, zmieniona twarz dziewczyny, lęk wyzierający z jej oczu, sprawiły, że zapytał z niepokojem: Czy coś się stało? Nie, nic takiego, odparła szybko, bezwiednie pocierając obolałą szyję i pragnąc pomocy czyjejkolwiek. Przed chwilą widziałam się z pani synem. Ciszej!

syknęła Hrabina. Na Boga, ciszej! Chwyliła Sylwię za ramiona i potrząsnęła mocno. Mów, co się z nim dzieje.

Gdzie jest moje ukochane dziecko? Przyjdzie dziś w nocy do ogrodu, odpowiada Sylwia, nie panując już nad sobą.

Wybucha gwałtownym płaczem, składa głowę na piersiach pani Hrabiny. Ale on nie może tego zrobić! woła.

Nie może tam przyjść. Kapitan Żeglugi Wielkiej, widząc

zapłakaną dziewczynę i zapominając o tym, że szpiegdy Zadkowera mogą podsłuchiwać, dotarł do Sylwii po skomplikowanym manewrowaniu między ściśniętym tłumem o dwa kroki bliżej i zadał to samo pytanie, które przed chwilą sformułował lapidarnie: Czy coś się stało? Nie, odpowiedziała Hrabina z grobową miną. Cieszymy się z sukcesu Jacka. To przyjaciel mojego syna.

Tumidaj z grubsza zarysowuje nowy wariant akcji: Supergwiazda nie jest Supergwiazdą, Felix nie jest milionerem Felixem, oboje zaś nie są rodzicami Sylwii, choć za takich się podają, przyjechali do Sopotu z czyjś polecenia, aby korzystając z zamieszania przedfestiwalowego, porwać świetnie zapowiadającą się piosenkarkę, Zadkower, jako nędzna kreatura, za grube pieniądze pomaga im w zrealizowaniu tego zbrodniczego planu, póki co spełnia funkcję dozorczy pilnującego Sylwii; cała perfidna trójka próbuje cynicznie wyzyskać szlachetne uczucie do dziewczyny łatwowieznego i nieposzlakowanego Kapitana Żeglugi Wielkiej, chcąc przy jego pomocy nielegalnie przetransportować nadzieję polskiej piosenki przez ocean, do Ameryki, gdzie prawdopodobnie czeka na nią z utęsknieniem jakiś tajemniczy zleceniodawca, prawdziwy milioner, właściciel przemysłu rozrywkowego na skalę amerykańską, który kiedyś gdzieś przez moment widział naszą wschodzącą gwiazdkę piosenki i tak mu się spodobała, iż liczył, że przy jej pomocy podwoi swoją milionerską fortunę, a że wszelkie namowy i podniety w postaci zielonkawych banknotów dolarowych nie przyniosły skutku — Sylwia nie chciała opuścić rodzinnych stron i wypłynąć na szerokie wody kariery światowej — uparty milioner chwycił się ostatecznego środka, którym ma być porwanie!

Jej-Gitarzysta, ukrywający się w rupieciarni na tyłach kortów, zanim po skończonych zawodach tłum wyległ na ulicę, szybko przemknął przez niewielką kępę krzaków i okrężną drogą, bocznymi, ciemnymi uliczkami, ruszył w kierunku willi zajmowanej przez Supergwiazdę i Felixa,

gdzie jest więziona Sylwia. Przedostał się do ogrodu i tak jak się umówił z Sylwią, a raczej tak jak mówił, skrył się w starej altance. Nawet nie czekał długo. Usłyszał najpierw głosy, a potem, gdy zapaliło się światło na werandzie, zobaczył kilka osób wchodzących do willi, wśród nich z łatwością rozpoznał Sylwią i Supergwiazdę. Bezszelestnie wymknął się z altanki, chcąc chyłkiem zbliżyć się do oświetlonych już teraz okien i zobaczyć, kim są pozostałe osoby, ale wydało mu się, iż pod jednym z drzew w pobliżu werandy ciemność była jakby bardziej gęsta, jakby ktoś tam stał. Wyteżył wzrok — cień pod drzewem tkwił nieporuszony. Uznał w końcu, że jest to po prostu grube drzewo, mimo to wolał nie ryzykować. Tak samo bezszelestnie wrócił do altanki, ułożył się w jej najciemniejszym kącie i postanowił cierpliwie czekać. Czasu miał dużo, dochodziła dopiero jedenasta, więc po raz nie wiadomo który zaczął dokładnie ustalać najbezpieczniejszą marszrutę ucieczki, ale nie za daleko, by Sylwia mogła po jednym dniu ukrywania się przed Zadkowerem i jego zleceniodawcami wrócić do Sopotu i triumfalnie wystąpić w dniu otwarcia Festiwalu Piosenki. A potem z wzbierającym uczuciem tęsknoty myślał o swej narzeczonej, o tym wszystkim, co ich łączyło, i rozczulał się coraz bardziej. W pewnej chwili usłyszał ciche skrzypienie drzwi na werandzie i serce w nim zamarło. Idzie, pomyślał z ulgą, ledwo panując nad sobą, by nie wyskoczyć z altanki i nie zawołać radośnie: „Kocha mnie! Naprawdę mnie kocha!” Podczołgał się na sam skraj altanki i rozchylił łodygi krzaków zasłaniających mu pole widzenia. Ale zamiast Sylwii zobaczył na werandzie Kapitana Żeglugi Wielkiej, który chwilę rozglądał się, potem zapalił papierosa i najwyraźniej na coś czekał. Jej-Gitarzysty z tępym niedowierzaniem wpatrywał się w Kapitana, który powoli zszedł z werandy i okrążając willę, wyszedł na ulicę. Gitarzysta nie mógł już usiedzieć na miejscu, obszedł chyłkiem altankę, sam dziwiąc się, po co to robi, próbował sprawdzić, która godzina, ale w ciem-

nościach nie mógł dojrzeć wskazówek zegarka, więc dla uspokojenia postanowił podkraść się do willi i zobaczyć, co tam się dzieje, czy Sylwia jest już gotowa do ucieczki.

Wtem za sobą usłyszał szelest liści i trzaskanie łamanych gałązek — ktoś ostrożnie zbliżał się do altanki, odwrócił się gwałtownie i niewiele myśląc, zanim tamten się odezwał, tygrysim skokiem powalił go na ziemię. To ja, szepnął Kapitan spod przygniatającego go cielska, a kiedy Jej-Gitarzysta zwolnił uścisk i kiedy usiedli, dodał: przyszedłem cię ostrzec. Uciekaj stąd, póki nie jest za późno. Niby dlaczego? zaczął Jej-Gitarzysta, ale Kapitan przerwał mu: Chodźmy stąd w bezpieczne miejsce, wszystko ci wyjaśnię. Kiedy odczołgali się na kolanach pod niewielki płótek zamykający ogród od tyłu altanki, Jej-Gitarzysta syknął ze złością: Czego, do cholery, znowu pan chce ode mnie?

Zwiewaj stąd, jeżeli nie chcesz zaszkodzić Sylwii, powiedział spokojnie Kapitan. Dom jest obstawiony przez ludzi Zadkowera i Sylwia nie przyjdzie do altanki. Bujasz! warknął Jej-Gitarzysta, chwytając Kapitana za kłapy paradnej marynarki. Zabiję cię, jeżeli nie przestaniesz wtrącać się w nie swoje sprawy. Odczep się wreszcie od Sylwii, słyszysz? Skup się i zacznij trochę myśleć, powiedział Kapitan zniecierpliwiony. Chyba rozumiesz, że nie pozwolę, aby Sylwiię porwano. Siedzę każdy krok Zadkowera i jego bandy, a także Supergwiazdę i Felixa, oni zaprowadzą mnie do sztabu wielkiej szajki porywaczy i przemytników wschodzących gwiazd piosenki. Jak nie chcesz popsuć mojego planu, to zmiataj stąd czym prędzej, zakończył Kapitan, no, cześć! Wiesz, kto jest szefem? wybuchnął Jej-Gitarzysta, znowu chwycił Kapitana za kłapy paradnej marynarki i potrząsnął nim mocno. Gadaj, kto nim jest, a rozwalę mu zaraz łeb! Spokojnie, rzekł Kapitan. Na razie Sylwii nic nie grozi. To jej coś grozi?! zawył Jej-Gitarzysta. Jak chcesz nadal ją widzieć zdrową i całą i żeby wystąpiła na festiwalu, to zmiataj stąd natychmiast. Radzę ci to po przyjacielsku. I trzymaj się jak najdalej od willi. Wskażę

ci bezpieczną drogę odwrotu. Kapitan wstał z klęczek i chyłkiem ruszył wzdłuż płotu w głąb ogrodu. Jej-Gitarzysta patrzył, jak postać Kapitana wtapia się w ciemność między drzewami, a potem sam poszedł w jego ślady z dojmującym uczuciem rozgoryczenia. Ona przyjdzie, a mnie tam nie będzie. Co sobie o mnie pomyśli? A może Kapitan chce, żebym w jej oczach okazał się zwykłym tchórzem, żeby mną gardziła, rozmyślał intensywnie. Nagle wszystko stało się dla niego jasne. Tak, po prostu został wyprowadzony w pole, oszukany. A kiedy obejrzał się i dostrzegł na werandzie niewyraźnie majaczące dwa cienie, w których rozpoznał, a raczej domyślił się swej narzeczonej i Supergwiazdy, odwrócił się raptownie i już nie kryjąc się wcale, skoczył z powrotem do altanki. Lecz ani Sylwia, ani Supergwiazda nie ruszyły się z werandy.

Wpatrywał się w nie ze swej kryjówki w napięciu, z narastającym niepokojem, a kiedy stały ciągle bez ruchu, wymknął się z altanki i podszedł parę kroków w kierunku willi, dostrzegł jakąś postać zbliżającą się do werandy.

Wydawało mu się, że to jest Kapitan, który perfidnie usiłował przeszkodzić mu w spotkaniu z ukochaną dziewczyną, co więcej — uratować ją przed wywiezieniem w świat i zmuszaniem do robienia olśniewającej kariery na estradach najprzedniejszych kasyn i klubów rewiowych, gdzie niechybnie musiałaby występować we własnym show, więc skoczył dziarsko w tamtą stronę, pragnąc natychmiast wziąć pomstę. Paroma susami dopadł ów rozmazany kształt i zamachowym ciosem zwałił go z nóg. Wtedy na werandzie rozbłysło nagle światło i zobaczył faceta z wycelowanym w siebie rewolwerem. Ręce do góry! krzyknął Zadkower, bo to właśnie był Zadkower. Jej-Gitarzysta pochylił się, chcąc dać nurka w ciemność ogrodu, ale Felix zagroził mu drogę (bo już się podniósł, gdyż ów rozmazany kształt, który padł pod ciosem Jej-Gitarzysty, to właśnie Felix), więc Jej-Gitarzysta znokautował go po raz drugi, tym razem ciosem sierpowym (prawym, gdyż sływał z pra-

wego sierpowego) i uciekł. Sylwia patrzyła triumfująco na wstającego wolno z ziemi Felixa. Ale mnie urządził ten Jej-Gitarzysta! powiedział Felix i wypluł wybity ząb.

Pozostał jeszcze tylko jeden dzień do rozpoczęcia Festiwalu, a Sylwii wciąż nie było. Wszyscy wzajemnie się przesłuchiwali z tego powodu. Reżyser przesłuchiwał swego Asystenta, Asystent kamerzystów, kamerzyści dziennikarzy, dziennikarze fotoreporterów, fotoreporterzy gwiazdy i gwiazdki, te z kolei atakowały swych kolegów po fachu; atmosfera stawała się coraz bardziej napięta, nawet osoby postronne, to znaczy przyszli widzowie i słuchacze, zdradzali dość duże zdenerwowanie. Tumidaj łatwo to spostrzegł, spacerując sopockim deptakiem lub dokonując zakupów widokówek znad morza (w dosyć dużej liczbie) i wysyłając do znajomych w całym kraju, aby zadokumentować swą obecność na światowej sławy Festiwalu.

Pytania bez odpowiedzi krzyżowały się w powietrzu.

Z Tumidaja też próbowano różnymi sposobami wydobyć prawdę (ale któż zna prawdę?) o zaginięciu rewelacyjnej Sylwii. Nawet Zapowiadacz Główny wziął go na stronę i próbował coś z niego wydusić. Ale Tumidaj niewiele wiedział, albowiem dociekliwy dziennikarz od chwili wprowadzenia Zadkowera do akcji jak gdyby się trochę załamał.

A ta ostatnia scena wpędziła go nawet w głuchą apatię, tak że nie tylko fidezynne pytania Głównego Zapowiadacza pozostawały bez odpowiedzi, ale również niecierpliwe pokrzykiwania i groźby Reżysera, gdyż ktoś rozpuścił plotkę, że wszystkiemu (czyli zaginięciu Sylwii) winien jest Tumidaj. — Jak się naprawdę pan nazywa? — pytał Główny Zapowiadacz. — Muszę wiedzieć. Ja wszystko muszę wiedzieć, żeby zaświadczyć w razie czego. Proszę mówić, już zapisuję. — Tylko żeby pan nie pomylił mnie z jakimś Gwiazdorem — rzekł Tumidaj — bo ciągle pan mylił nazwiska. Gdyby Hamilton miał władzę, już dawno wykurzyłby pana z tej cieplej posadki. — Słucham? — Tumidaj. — Proszę podać pełne imię

i nazwisko. — Kacper Tumidaj. — Zawód. — Dziennikarz. — Lat? — Tajemnica służbowa. — Znaliście Sylwię, piosenkarkę, nadzieję festiwalu? — Znałem. Ale tylko z widzenia. — Kogo więc dobrze znacie? — Pana. — Mnie? — Oczywiście. — Dlaczego ją porwaliście? — Ja jej nie porwałem. — Nie kręcić! — wykrzyknął Reżyser. — Dwie osoby widziały pana w towarzystwie Sylwii. Zadkower i Supergwiazda. Lepiej byłoby dla pana, gdyby pan od razu się przyznał. Dostyc tego kręcenia. — Jeszcze Felix widział go z Sylwią — podrzucił usłużnie Główny Zapowiadacz. — Pomyłka — mówi spokojnie Tumidaj. — Owszem, widziano mnie, ale już po porwaniu Sylwii. To ja wam ją odnalazłem i pokazałem, w czyich łapach się znajduje. Przedtem nigdy jej nie widziałem. — Tym gorzej dla ciebie! — woła Reżyser. — No, dostyc tego kręcenia! — Ja nie kręcę, mówię prawdę. Jestem niewinny. — Jak to udowodnicie? — pyta Zapowiadacz Główny. — W tym czasie, kiedy porwano Sylwię, a może nawet zamordowano, byłem gdzie indziej. — Gdzie? — Na plaży. — Co tam robiliście? — Kapałem się. — Kapałem! — prycha niedowierzająco Reżyser. — Kto może to potwierdzić? — Sylwia, moja narzeczona. Co wieczór kapałiśmy się razem. — Ale w ten właśnie wieczór widziano ją z kimś innym. — Z kim? — pyta porywczo Tumidaj. — Czyżby mnie zdradzała? Kto to był? — Jej-Gitarzysta — odpowiada Główny Zapowiadacz (uśmiecha się przy tym zjadliwie). — Bo się pokłóciliśmy — mówi Tumidaj. — Z kim? — dopytuje się Reżyser. — Z Sylwią. — O co? — Tak sobie. — Bo nie chciała iść z wami do Non-Stopu — mówi Główny Zapowiadacz — znany wykręt, ale uprzedzam, że nic wam to nie da. — Dlaczego? — Bo jesteście pijani. — I wtedy poszedłeś do mojej żony, tak? — Zaraz, chwileczkę — protestuje Tumidaj — kto tu jest czyją żoną? — To w tej chwili nie ma znaczenia — mówi groźnie Główny Zapowiadacz. — Co chcieliście od niej? — Nic. — Chciał, żeby poszła z nim do Non-Stopu — woła Reżyser — stara

śpiewka wszystkich morderców! — Chciałem, ale ona już nie żyła — tłumaczy się Tumidaj. — Dlaczego więc uciekłeś? — Ze strachu. Bałem się aresztowania. — Aha! — wykrzykuje podejrzliwie Główny Zapowiadacz. — Jesteś niewinny, ale bałeś się aresztowania. To mi pachnie „Procesem” Kafki. Nie podkładaj literatury pod życie — ostrzega (już przeszedł z „wy” na „ty”, myśli Tumidaj, zupełnie się rozszalał, to chyba znaczy coś więcej niż przejście na „wy”). — Nikt ci w te bajeczki nie uwierzy. — Tumidaj zwiesza głowę i milczy, wie, że jest aresztowany i nie ma już dla niego ratunku. Teraz włącza się do śledztwa Dziekan akredytowanych przy Festiwalu dziennikarzy. Łysy, z bródką w szpic, groźny wygląd, ale jest łagodny w postępowaniu dochodzeniowo-śledczym, przynajmniej stara się sprawiać takie wrażenie. Łagodnym głosem zaczyna od początku w nadziei, iż Tumidaj pomyli się w zeznaniach i będzie można skreślić go z listy akredytowanych dziennikarzy, upoważnionych tym samym do pobrania z magazynu sortu dziennikarskiego w postaci plastikowej teczki, notesu, długopisu i kilku widokówek przedstawiających w naturalnych kolorach zabytki Trójmiasta (łącznie ze stoczniami), Dziekan bowiem wie o tym, że Tumidajowi zależy bardzo na tych pocztówkach, gdyż wysyła ich niesamowite ilości we wszystkie strony kraju. Postuluje (Dziekan), aby tę sprawę zbadały specjalne organa, gdyż to jest nader podejrzana działalność, i choć jest już tylko jeden krok do udowodnienia Tumidajowi porwania Sylwii, Dziekan radzi, aby skupić się tylko i wyłącznie na tych pocztówkach, albowiem w porwanie Sylwii przez Tumidaję Dziekan tak naprawdę nie wierzy. I chociaż nader energicznie prowadził śledztwo, robił to przede wszystkim ze względu na Reżysera i Głównego Zapowiadacza, jak już go zaprosili do współdziałania w przesłuchaniu podejrzanego, chciał się przed nimi wykazać inicjatywą. — Jak się nazywacie? — zapytał. — Tumidaj — odpowiedział. I tak w kółko, aż się zrobiło południe następnego dnia i choć

cała czwórka usypiała już ze zmęczenia, przesłuchiwanie jednak nie przerywano. Daremnie zapłakana Sylwia od samego rana oczekiwała na Reżysera pod drzwiami jego apartamentu (bo to działa się w apartamencie Reżysera).

Chciała mu powiedzieć o tej tajemniczej kartce, którą otrzymał Jej-Gitarzysta i w zamian za tę wiadomość spodziewała się uzyskać zwolnienie Tumidaja. — Kiedy będę mogła wreszcie zobaczyć się z Reżyserem? ■ wtargnęła do przedpokoj, gdzie urzędował Asystent, i dopytywała się natarczywie. — Mam coś ważnego do powiedzenia. Naprawdę coś ważnego. — Asystent zachowywał zimną krew.

Podsiniaczone oko już wróciło do normy, ale szpara po wybitym zębie, do której się jeszcze nie przyzwyczał, zmuszała go do mówienia półgębkiem (poza tym ucharakteryzował się sprawnie, tak że Sylwia nie poznała, że to jest Zadkower, jej ciemiężca). — No to słucham, panienko, jeżeli to takie ważne? — Ja chcę powiedzieć osobiście tamtemu panu, który przesłuchuje Tumidaja. ■ No to trzeba będzie poczekać. — Ale to bardzo ważne. Naprawdę. ■ Oczywiście, panienko. — Zadkower, ucharakteryzowany na Asystenta Reżysera, wymacał językiem puste miejsce, do wczoraj jeszcze wypełnione przez ząb trzonowy. (Ten opis mógłby raczej sugerować, że tu chodzi o Felixa, ale nic bałamutniejszego, gdyż w willi Zadkower był przebrany za Felixa, a Felix na Zadkowera, żeby zmylić czujność Kapitana i wprowadzić w błąd Sylwię). — Dla nas jest wszystko bardzo ważne — mówił teraz — nawet najdrobniejsza błażostka. No więc słucham, o co panience chodzi? — Tumidaj jest niewinny! Niewinny, rozumie pan! — Sylwia wybuchła głośnym płaczem, wali pięścią w biurko, przy którym spokojnie siedzi Zadkower (nadal oczywiście jako Asystent Reżysera). ■ Proszę zaprowadzić mnie zaraz do Reżysera. Muszę się z nim zobaczyć! Muszę! — No, no, tylko bez hysterii — uspokaja ją Zadkower. — Proszę powiedzieć, o co chodzi, a wszystko dokładnie przekażę panu Reżyserowi. ■ On jest niewinny! Niewinny! ■ Sylwia za-

nosi się płaczem, siada na krześle podsuniętym jej przez fałszywego Asystenta i ukrywa twarz w dłoniach. — Och!
dlaczego nikt mi nie wierzy? — Pod wpływem łez niewinnego dziewczęcia Zadkower załamuje się, wzywa telefonicznie Głównego Zapowiadacza, który wyłania się z bocznych drzwi ukrytych w ścianie, podchodzi na palcach do płaczącej Sylwii i pieszczotliwie gładzi ją po głowie. — Z kobietami trzeba delikatnie — karci Asystenta i daje mu znak, aby zostawił ich samych (a zatem Główny Zapowiadacz też należy do spisku). — A teraz proszę się uspokoić. Tumidajowi nic nie grozi, jeśli naprawdę jest niewinny — dodaje szybko. — Ale musi pani nam pomóc w wyświetleńiu prawdy. — Sylwia rozkleja się całkowicie, słysząc te słowa. Powstrzymując płacz, opowiada dokładnie o potajemnych spotkaniach z Tumidajem, o tajemniczej kartce, o zamierzonej ucieczce z Jej-Gitarzystą, z której jednak musiała zrezygnować, bo Ulizany Wacek (o nie-szczęсна, komu ty się spowiadasz? przecież to współpracownik, a może nawet przełożony Zadkowera), agent Felixa i Supergwiazdy, przejrzał ich plany, podsłuchując rozmowę jej i Jej-Gitarzysty na zapleczu kortów tenisowych. Niestety, nie zdążyła uprzedzić Jej-Gitarzysty o zorganizowanej na niego pułapce. Na szczęście jest bardzo silny i zawsze wychodzi cało z największych opresji. — Ulizany Wacek? — zapytał Główny Zapowiadacz udając, że nie wie, kto to jest. — Co to za postać i co on chce od pani? — Nie wiem — odpowiada szczerze Sylwia. — Mówią, że on, Supergwiazda i Felix chcą mnie porwać i zmusić do występów w najlepszych musicalach świata. Więzili mnie do tej pory w tajemniczej odludnej willi, ale im uciekłam i teraz muszę koniecznie zobaczyć się z Reżyserem. — W jakim celu wobec tego panią więzili? — spytał Główny Zapowiadacz. — Jeśli dobrze zrozumiałem, chcą panią porwać i potajemnie wywieźć za granicę, więc dlaczego nie zrobili tego, mając panią w swych rękach? — Bo muszą jeszcze wciągnąć do współpracy Kapitana — odparła Syl-

wia. — Sądzi pani? — powiedział Główny Zapowiadacz, przypominając sobie postawną sylwetkę Kapitana i bezwiednie porównując się z nim. — Lepiej będzie, jeżeli Kapitan nadal pozostanie w nieświadomości co do dalszych losów pani — rzekł — ktoś to wie, z której strony nadchodzi niebezpieczeństwo? Supergwiazda, Felix, a nawet wyłysiały Wacusi są zupełnie nieszkodliwi. — Gdyby tak by to — zawołała Sylwia — Kapitan pozwoliłby się z nimi spotykać, ale on przy każdej okazji nalega, żeby tego nie robić. W ogóle nie pozwala mi się spotykać z nikim sam na a m, nawet z Gitarzystą. — Dlaczego? — Dopóki się wszystko nie wyjaśni z porwaniem i w ogóle. Dawał mi do zrozumienia, że jakaś straszna szajka czyha na moje życie. — Sylwia popatrzyła z lękiem na Głównego Zapowiadacza — czy naprawdę coś mi grozi? — Proszę się niczego nie obawiać — odrzekł szybko Zapowiadacz. — Jest pani pod naszą opieką. — Czy ten Zadkower nadal z takim uporem będzie deptał mi po piętach? — zapytała. — Wolałabym, żeby zastąpił go pan kimś sympatyczniejszym. — Główny Zapowiadacz jednak odcina się od Zadkowera. — To nie jest nasz człowiek — powiada. — Nie? — twarz Sylwii wyraża ogromne zdziwienie. — To dlaczego stale mnie śledzi? — On nie ma z festiwalem i jego problemami nic wspólnego — po raz drugi w ciągu minuty Główny Zapowiadacz odcina się dobitnie od Zadkowera. — Od jak dawna śledzi panią? — Od paru dni. Supergwiazda przedstawiła mi go na plaży. Podobno Impresario Międzynarodowy, a zachowuje się jak pospolity kryminalista. — Cóż, nawet wśród Impresariów Międzynarodowych znajduje się element wątpliwego autoramentu — Główny Zapowiadacz wygłosił niezbyt oryginalną sentencję, co mu się niestety dość często zdarzało także i na estradzie, postanawiając bliżej zająć się Zadkowerem, ukarać go odpowiednio (pewnie obcięciem premii), aby na przyszłość tak łatwo nie było go można zdemaskować. — W każdym razie przy jakimś podejrzanym zachowaniu z jego strony

proszę natychmiast mnie zawiadomić, dobrze? — Każdy facet wobec ładnej dziewczyny zachowuje się podejrzanie — rzekła Sylwia, nienawidząc w tej chwili wszystkich mężczyzn świata. — W miarę atrakcyjna dziewczyna, gdyby posłuchała pana rady, nie miałaby nic innego do roboty, jak tylko bez przerwy latać z donosami. — Ale oto ukradkiem (z tajemnych drzwi w ścianie, Sylwia nie widzi tego) wyłania się Zadkower i swoim zwyczajem chwytą ją za szyję. — Tylko bez duszenia! — woła Tumidaj i w tej chwili budzi się. Stwierdza, że leży na podłodze obok łóżka. Współlokatorzy z pokoju (jest ich pięciu, bo tyłu zazwyczaj śpi tu uczniów podczas roku szkolnego, ale gwoździ ścisłości trzeba powiedzieć, iż w internacie znajdują się jeszcze większe pokoje, na dziesięć, a nawet dwanaście osób, więc Tumidaj otrzymał łóżko w nie najgorszym pokoju, mogło mu się na przykład w tej chwili przyglądać dziesięciu lub nawet piętnastu współpokojuwców-żurnalistów) patrzą na niego zdziwieni, z lekką ironią (uśmiechając się), pytają, co mu się śniło, Tumidaj daje wykrętne odpowiedzi, ale sen niezwłocznie postanawia spożytkować w swych bieżących pracach myślowych, ogniskujących się, rzecz jasna, wokół zaginięcia Sylwii.

Po wyjściu z internatu i po spożyciu obfitego śniadania w barze mlecznym sam (osobiście) wkracza do akcji. Pogoda jest piękna. Czyste słońce na bezchmurnym niebie i dwudziestodwujęciostopniowy upał. Na plaży jednak nie było nikogo z uczestników wczorajszej kolacji w willi przy ulicy Ceynowy, przerwanej gwałtownie bójką, jaka się wywiązała przy próbie obezwładnienia Jej-Gitarzysty; nawet Zadkowera. Tumidaj spotkał go w ogrodzie przylegającym do willi. Pałac papierosa oglądał rozpadającą się starą altankę, a kiedy usłyszał kroki Tumidaję, obejrzał się bez zdziwienia. Przyszedł pan z samego rana, żeby uszczknąć swoją część, korzystając z cudzego nieszczęścia? zapytuje z krzywym uśmiechem. Tumidaj w milczeniu wytrzymuje jego złośliwy, przekrwiony wzrok. Chodzi mi o córkę

Supergwiazdy, której narzeczony okazał się takim chuliganem, wyjaśnia Zadkower, zaciągając się papierosem, i ta jego bezczelna, wiecznie uśmiechnięta twarz na chwilę spoważniała. Zdaje się, że wpadła panu w oko. Wydawało mi się wczoraj wieczorem na kortach, że to pan właśnie zabiega o jej względy. Więc obaj, pan i ja, jedziemy na tym samym wózku, jesteśmy połączeni wspólną porażką. Sylwia jednak przepada za tym Jej-Gitarzystą, teraz wiadać to najlepiej, odpowiada Zadkower, znowu zaciągając się głęboko papierosem. Sądzę, że w tych ciężkich chwilach dla niej powinniśmy zapomnieć, że jest śliczną dziewczyną i przede wszystkim starać się, aby jej nie przeszkadzono w występie na festiwalu. Nie ma jeszcze całkowitej pewności, że to Jej-Gitarzysta jest w to zamieszany, powiada Tumidaj widząc, jak czerwone, senne oczy Ulizanego Wacka-Wacusia powoli nieruchomieją. Osobiście uważam, że Jej-Gitarzysta jest niewinny, że wplątano go w jakąś potworną intrygę, że ktoś działa na jego konto. Milicja też tak uważa? pyta Zadkower, spokojny i obojętny, wpatrując się nieruchomymi, czerwonymi oczami w coś ponad głowę Tumidaja. Na szczęście nie musi jeszcze wkraczać w akcję milicja, nic się nikomu nie stało, poza panem, ale sądzę, że panu specjalnie nie zależy na tym wybitym zębie? Oczywiście, taka sytuacja jest dla mnie nawet korzystna, Zadkower pstryka niedopałkiem papierosa i uważnie śledzi jego lot. W każdej chwili mogę go oskarżyć o napad, ale jeszcze z tym poczekam, jeszcze mi się nie śpieszy. Tak czy owak nie chciałbym siedzieć w skórze tego nieszczęśnika.

Skierował swe czerwone, nieruchome oczy w stronę willi, na werandzie zobaczył Supergwiazdę, uklonił się niedbale Tumidajowi i spiesznie ruszył w tamtym kierunku. Erotoman nie pozbawiony swoistej inteligencji, pomyślał Tumidaj. Wiele bym dał, aby go zdemaskować i wsadzić za kratki. Póki nie będzie za późno. Patrzy, jak Zadkower zgięty w pas podchodzi do Supergwiazdy, jak całuje ją najpierw w jedną, potem w drugą dłoń... Odwraca się

i wychodzi z ogrodu, udając się do Opery Leśnej. Może są jakieś nowe, rewelacyjne wiadomości o zaginięciu Sylwii?

Przyjechała za wcześniej, artyści jeszcze się wylegiwali albo są na plaży, tylko tłum w sile kilku tysięcy osób wiernie tkwił na posterunku, cierpliwie czekając na pojawienie się kogokolwiek na estradzie, by móc go okłaskiwać.

Tumidaj postanowił nie marnować czasu — wybrał się na plażę.

Łatwo trafił do kolonii zagranicznych gości, było ich widać i słychać z daleka. Ciota Joe krzyczała najgłośniej (po angielsku, oczywiście), oblegał ją tłum fotoreporterów, Ciota wyginała się, pozując do zdjęć, przy niej Francuz, Rosjanin, Włoch i tuzin dziewczyn, jądro innej grupy stanowił Luxemburczyk, parę kroków dalej taki sam układ, tylko w środku zezowaty Kanadyjczyk, fryzura „afro” o średnicy co najmniej metrowej, obok niego Niemka, higieniczna i groźna, o wyglądzie siostry szpitalnej, i tak dalej, i tak dalej.

Tumidaj położył się na piasku i czekał, aż przyjdą polscy trubadurzy. Po chwili obok niego położyła się Ciota Joe, przyjrzała się Tumidajowi dosyć uważnie, ale widać uznała, że lepiej będzie się nie odzywać, więc przysunęła się tylko do niego możliwie jak najbliżej, ręce podłożyła pod głowę, wyglądało jakby spała. Tumidaj nie czuł się zbyt dobrze w bliskim sąsiedztwie pedała, odsunął się niepostrzeżenie. Teraz znalazł się w pobliżu kolonii chętnych dziewczyn, czyhających na zagranicznych festiwalowców.

Przyszła jeszcze jedna dziewczyna (pewnie z szatni, stwierdził Tumidaj, tylko dlaczego tak ostentacyjnie obejmuje tego faceta, przecież ludzie patrzą, dla przyzwoitości mogłaby go wciągnąć do kabiny, jak jej tak na nim zależy) z brodatym Holendrem czy Belgiem, stanęli nad leżącym Tumidajem, on chwiał się bardzo (pijany? o tej porze?), ona mniej, Tumidaj raczej po głosie poznał, że ma też dobrze w czubie. — Patrz, Harry — powiedziała — jaki mam

opalony biust. — Odchyliła wąski pasek kostiumu kąpielowego, który prawdopodobnie imitował stanik i który ledwo zakrywał jej część piersi, lecz Harry był zbyt pijany, aby mógł w jakikolwiek sposób zareagować. Podniósł rękę, chcąc zapewne dotknąć tego tak zachwalanego biustu, lecz opadła mu bezwładnie. Zaśmiała się wysoko, wibrująco, znowu ręka poszła mu do góry i znowu opadła, westchnął: — Och, dziewczyno! (po flamandzku). — Próbował ją objąć, już z tym gestem wyciągniętych rąk postąpił o ćwierć kroku, wtedy pewien Wczasowicz, śmiejąc się głośno, powiedział: — Śmiało, brodaczu, nie widzisz, że już jest do połowy goła? — Dziewczyna nagle zreflektowała się, gwałtownie odskoczyła, odwróciła się w stronę śmiejącego się Wczasowicza, podbiegła do niego, nasuwając po drodze ten wąziutki paseczek na piersi, zataczała się, włosy rozczochrane. — Ach, co pan tu pieprzy — jęknęła — to zagranicznik, niech go pan nie obraża. — Harry nie ruszał się z miejsca, stał jak sparaliżowany, chwiał się ciągle, monotonicznie i teraz pewnie idąc wzrokiem za Dziewczyną i słysząc śmiech Wczasowicza, coś sobie skojarzył, bo wykonał nieprzyzwoity gest rękami i wolno, z mozołem ruszył w tamtym kierunku, przyjrzał się Wczasowiczowi, potem odwrócił się i chwiejnie poszedł do hotelu.

Dziewczyna jeszcze nie ochłonęła z oburzenia. Pochylona nad Wczasowiczem mówiła szybko nie dobierając słów, wymachiwała rękami i w tym mówieniu jakby w oczach trzeźwiała. — No, chłopie, na przyszłość bądź dżentelmenem, to zagraniczny gość, występuje na festiwalu. — Połóż się — powiedział Wczasowicz — odpocznij, festiwal dopiero się zaczyna jutro, jeszcze zdążysz się zmęczyć. — Czyś zwariował? — woła Dziewczyna. — Połóż się — powtórzył Wczasowicz — jesteś zmęczona, musisz się oszczędzać, bo dla krajowych bezdeiwizowców nie wystarczy. — Uniósł się na łokciu, chwycił ją za rękę, próbował pociągnąć na piasek, wyrwała mu się i znowu: — Obywatelu, bądźcie dżentelmenem, to zagraniczni goście! — Jednak nie od-

chodziła, Wczasowicz uniósł się znowu i znowu chwycił ją za rękę, ale teraz Dziewczyna była już bardziej czujna: — Nie wylupiaj się, kmiotku! Jesteś niewychowany, cepie! — Dziewczyny, źle się prowadzicie — śmiał się Wczasowicz — dajecie tylko za dolary, jak w PKO. — Usprawiedliwiała się już w pełnej formie, wymachiwała mu przed nosem rękami. — Z takim lichym brodaczem! — kpił. — Weź sobie chłopca jak ja. Polacy słyną z tego. — To zagraniczny artysta! — zawołała. — Nie dawaj mu tyle wódki — powiedział, bo do festiwalu ci do cna zmarnieje. Oni jedzą tylko żaby i popijają rozcieńczonym winkiem, słabszym od naszego piwa. — Ach! O czym ty mówisz? — krzyknęła. — No już dobrze — powiedział — nikt nie widział twoich gołych piersi, a teraz zmiataj do tego swojego dewizowego brodacza, bo ci zwieje. — Podeszła druga dziewczyna. — Ja już idę — powiedziała pierwsza — zajmij się tym osłem, bo strasznie ryczy, a mleka nie daje. — Biegła do hotelu, podtrzymując oburącz ten wąski skrawek materiału zasłaniający (a raczej mający w założeniu zasłaniać) jej wydatne piersi. Ta druga bez wahania usiadła obok Wczasowicza i Tumidaj dopiero teraz nabiera przekonania, że to jest Zadkower. — Przysłała mnie Supergwiazda — rzekła Dziewczyna (druga). — Powiedziała, żeby miał go na oku. — Zadkower uniósł się na łokciu, patrzył na Dziewczynę (drugą), zastanawiał się. Dziewczyna usiadła obok niego, potem położyła się. — Pilnowana jest dobrze? — spytał. — Tak. — Zrobiłaś tak, jak ci kazałem? — Tak. — I znowu ktoś do nich podszedł. Tym razem był to facet, Przebojowiec. — Przepraszam — schował się za kosz, ale było widać jego cień, nie odchodził. — Daj mi ten klucz — powiedział Zadkower. — On tam stoi — szepnęła Dziewczyna. — Niech stoi. Daj mi ten klucz i połóż się jak gdyby nigdy nic. — Nie. On tam stoi. — Zdecyduj się wreszcie. — Nie ma czasu. On tam ciągle stoi. — Jak się boisz, możesz się wycofać, póki jeszcze nie jest za późno. — Och! — powiedziała — trzeba uważać. — Szkoda czasu — odparł. — Daj

klucz i połóż się. — Och, Zadkowski! — wyszeptwała. (To jednak nie Zadkower). — No dobrze — powiedział — idź do tego Harrego, weź mu portfel i przyjdź. — Dobrze. Czy przysłać Renatę, czy ma zniknąć na jakiś czas? — Nie. On się nie zorientuje. Niech obstawia innego, żniwa w pełni.

Tylko pamiętajcie, nic na własną rękę. Dostaniecie swoją dolę jak zwykle w złotówkach. — Dziewczyna poszła do hotelu. Po chwili Zadkowski ukradkiem ruszył za nią.

(Więc ten Zadkowski to zwykły złodziejaszek, a Tumidaj już go nobilitował, nawet był skłonny widzieć w nim Zadkowera czy Impresaria Międzynarodowego).

Dopiero kiedy Zadkowski zniknął w drzwiach hotelu, zza kosza wyłonił się Przebojowiec, Tumidaj podszedł do niego, zagadnął:

— Dzieją się tu dziwne rzeczy, zjechał różny element i ostro występuje do boju.

— Te młode dziewczyny wiedzą, czego chcą od życia — odparł Przebojowiec — Zresztą mają fachowych opiekunów — dodał. To był Przebojowiec Drugi, młodszy, mniej sławny, ale już Przebojowiec.

— Widziałem — powiedział Tumidaj — jak taki jeden nimi dyrygował.

I wszystko przepadło. Nic nie zdążył wyciągnąć od Przebojowca Drugiego na temat owego Zadkowskiego, ewentualnego Zadkowera.

Przebojowiec Właściwy albo Pierwszy zjawił się na plaży i zaraz podszedł do nich.

— Zdaje się, że mieliśmy o czymś porozmawiać — zagadnął Tumidaja.

— Może trochę później — Tumidaj próbował go spławić. Nie chciałbym ci teraz przeszkadzać.

— Widzisz, jaki grzeczny jest ten koleś — powiedział Przebojowiec Pierwszy do Przebojowca Drugiego. — My artyści, pracujący w dżungli, jaką niewątpliwie jest przemysł rozrywkowy, powinniśmy uczyć się od niego.

Przebojowiec Drugi najwyraźniej nie podzielał zdania

Przebojowca Pierwszego, skorzystał więc z okazji (byle jakiej) i ulotnił się. Podszedł do Gwiazdy Numer Trzy i Badylarza (ten dziarsko sobie poczynął i wyrastał na sporą figurę wśród festiwalowców), coś im powiedział, chichocząc, Gwiazda Numer Trzy zataczała się ze śmiechu, Badylarz również błyskał zębem; cała trójka patrzyła na Tumidaję i Przebojowca.

— Nie wie pan przypadkiem, o czym mieliśmy rozmawiać? — spytał Tumidaj, był zły na Przebojowca, więc spytał trochę niegrzecznie, w sposób nie pasujący do niego.

— To pan miał pytać — odparł Przebojowiec — po to zdaje się pan tu jest.

— A więc dobrze — Tumidaj nie ukrywał zniecierpliwienia — niech mi pan powie, dlaczego piosenkarze parodiowali piosenkę Zadkowera? Czy ta parodia ma coś wspólnego ze zniknięciem Sylwii?

— Marny z pana dziennikarz — śmieje się Przebojowiec — to pan jeszcze nie wie, że jego kiepska piosenka, taka niby podwórkowa ballada, była oparta na epizodzie z życia Sylwii? Jeszcze nikt panu tego nie powiedział?

— Pierwotnie bohaterka ballady nosiła imię Rozalia, to jest imię żony Zadkowera, dopiero po krótkotrwałej i burzliwej znajomości z Sylwią Zadkower przerobił swoje dzieło życia i zmienił imię bohaterki na Sylwię. Gwiazda Numer Dwa używając w parodii imienia Rozalia (nie wiem, czy pan to zauważył) po prostu się pomyliła.

— Czy Sylwia zgodziła się, aby bohaterka ballady przez nią śpiewanej nosiła jej własne imię, wiedząc w dodatku, że akcja utworu oparta jest na tle jej życia?

— To ją bawiło. Zresztą sama podsunęła Zadkowerowi tę myśl. Lubiła sensacje i wiedziała, że to napędzi jej słuchaczy. Tłum uwielbia grzebać się w czyimś życiu.

■ Dlaczego więc Zadkower po zniknięciu Sylwii z powrotem zmienił imię Sylwia na Rozalia?

— Nie tylko zmienił imię, ale i przerobił trzecią zwrot-

ke, a także refren. Ballada kończy się tragiczną śmiercią bohaterki.

— Czy w pierwszej wersji zakończenie było takie samo?

— Nie. Ale wtedy Sylwia jeszcze była wśród nas i miała wystąpić na festiwalu.

— Czy to Reżyser zażądał zmiany?

— Trudno powiedzieć — „zażądał”. Zasugerował Zadkowerowi tylko pewne poprawki.

— I Zadkower na to się zgodził? Przecież, jak dotychczas, było to jedyne jego dzieło życia.

— Wszyscy uważaliśmy, że ballada kończąc się śmiercią bohaterki nabierze tragicznej, aktualnej wymowy. Ten взгляд dla autora nie jest pozbawiony znaczenia. Chyba pan wie, że ja robiłem muzykę do tej kiepskiej tekściny i po zniknięciu Sylwii też co nieco zmieniłem.

— Czy komponując nową muzykę do ballady Zadkowera spełniał pan w ten sposób jego życzenie?

Przebojowiec przechodzi nagle na młodzieżowo-kpiący sposób rozmowy.

— Koleś, nie przypuszczasz chyba, że będę ci się tutaj spowiadał?

Tumidaj zlekceważył go, powiedział wyniośle:

— Miałem coś ważnego usłyszeć, jak dotychczas słyszę tylko obelgi.

— Uważasz, koleś, że nagadam ci tu takich rewelacji, że uda ci się na tym zarobić trochę grosza?

— Może.

— Podobasz mi się, koleś, w porządku — Przebojowiec minę miał kpiącą, ale ton poważny. — Jestem sławny, zrobiłem karierę, dlaczego mam nie pomóc jakiemuś dziennikarzowi? A więc zaczynajmy. Tylko słuchaj uważnie, bo tu żywa gotówka leci. Tylko to zapamiętać i już gotowe story w odcinkach. Wybiesz się na tym. No to zaczynajmy wreszcie, jestem cały przemieniony w słuch.

Przebojowiec spoglądał na niego już nie tak kpiąco,

przybiera jednak estradowy fason, kiedy zaczyna mówić:

— To jest, a może raczej była piękna dziewczyna, jak ci wiadomo. Żyła sobie spokojnie wśród chłopców w jej wieku, śpiewała z „Płaczącymi Gitarami” na wieczorkach w Domu Kultury, gdzie instruktorem kulturalno-oświatowym był niejaki Zadkowski, który po spłodzeniu tekstu do jedynej piosenki w formie ballady, wykonywanej na estradzie Domu Kultury przez „Płaczące Gitary”, przybrał sobie pseudonim artystyczny Zadkower. Jego żona była urzędniczką, a potem awansowała na jedną z kierowniczek Estrady i to ona postanowiła zrobić ze swego męża artystę, w tym celu wykorzystując właśnie „Płaczące Gitary” i Sylwią. Dziewczyna miała akurat fatalny okres, kręciła się trochę koło filmowców, trochę była modelką i niepostrzeżenie dla samej siebie wchodziła na drogę typową dla młodych dziewczyn żądnych artystycznej kariery — ten sławny artycha zaprosił na obiad, tamten na kolację, ktoś inny obiecał rolę w filmie; taka równia pochyła sprowadzająca na dno pańienki w jej wieku.

— Rozumiem — mówi Tumidaj — i ten instruktor k-o zrobił z niej to, czym jest teraz. Tylko nie wiem, w jaki sposób.

— Chciał z niej zrobić swoją kochankę na całe życie — powiada Przebojowiec — ale mu się to nie udało, a co było potem, teraz proszę sobie już samemu wydedukować.

— Krótko: państwo Zadkowscy w pewnym momencie (zdaje się, że z powodu nadużyć popełnionych przez Zadkowską w związku z jej funkcją; organizowała wyjazdy zagraniczne estradowców, miała więc dostęp do pieniędzy i okazało się, że miała także bardzo lepkie ręce) przenieśli się do małego miasteczka, ona została kierowniczką Domu Kultury, on nadal był instruktorem k-o.

— Rozumiem — mówi Tumidaj — Zadkowski vel Zadkower namówił Sylwią, aby z nimi pojechała. Dziwne trochę, że tak łatwo się zgodziła.

— Nie miała innego wyjścia, akurat pokłóciła się z Jej-

-Gitarzystą, który jeszcze nie był jej gitarzystą, z matką też wiecznie darła koty, „Płaczące Gitary” były w rozsypce, nic innego jej nie pozostało, jak tylko przyjąć propozycję Zadkowskiego i zostać pomocnicą instruktora k-o.

A może ta ciąгла nieprzeparta chęć poznawania nowego życia pchnęła ją do tego zawodu? W każdym razie poznałem Sylwię jako pomocnicę instruktora k-o.

— Przedtem pan jej nie znał?

— Nie. Poznałem Sylwię w tym miasteczku jako pomocnicę u boku Zadkowera. Pracowałem w „Gazecie Kulturalnej”, często włóczyłem się po Polsce w poszukiwaniu tejsze kultury. Trafiłem do miasteczka, Sylwia prowadziła akurat w Domu Kultury jakieś kółka dziecięce, no i tak się zaczęła nasza znajomość. Wypytywała o Warszawę, jej męczarnia musiała być ogromna, widziałem to po jej oczach, zmęczonych i przygasłych, i po tym ubiorze, jakby celowo typowym, obnoszonym demonstracyjnie, no, była tak ubrana, jak ubierają się małomiasteczkowe piękności na odpust lub targ. Mogłem tylko się zastanawiać, patrząc na tę piękną dziewczynę, co ją skłoniło do przyjazdu tutaj, i myśleć, że siła, która ją tu sprowadziła, musiała być nader potężna.

— Jak pan to tłumaczy? — spytał Tumidaj.

— Siła musiała istnieć — ale jaka? Jakie ideały, jakie siły kierowały jej decyzją? — te pytania, będąc tam, zadawałem sobie bez przerwy.

— Może po prostu miała wszystkiego dosyć?

— Chyba tak. A może ten dziwny Zadkowski rzucił na nią jakiś urok tajemny, co to można wiedzieć?

— Namawiał ją pan do powrotu do Warszawy?

— Oczywiście. Przecież nie można tak lekkomyślnie trwonić darów natury: urody, młodości, głosu, tego wszystkiego danego jej. Po co, dla czego, dla kogo? Zadawałem jej te pytania bez przerwy, namawiając, aby wróciła do Warszawy.

— W swej balladzie Zadkower zastanawia się, co Syl-

więc zmusiło do dobrowolnego zesłania, wyrzeczenia się dużego miasta i możliwości, jakie ono daje młodej, ładnej dziewczynie, i czy możliwy jest powrót. Odpowiedź w piosence jest negatywna. Sylwia (teraz Rozalia, a właściwie znowu Sylwia) zostaje uwikłana w małowiarstewkowe intrygi i ginie w tajemniczych okolicznościach.

- Czy w pierwszej wersji ballady Sylwia...
- Wtedy jeszcze Rozalia — mówi Przebojowiec.
- Więc czy Rozalia ucieka z tego potwornego grajdołka?
- Tak.

— W balladzie, którą śpiewano wczoraj, nie jest to jasno powiedziane, ale domyślamy się, że Sylwia ginie z ręki tajemniczego przybysza z innych planet. Niektórzy mówią jednak, że Zadkower miał na myśli kogoś z bliskiego otoczenia Sylwii. Co pan na to?

- Bzdura!
- Czy to Reżyser zasugerował wprowadzenie tej postaci?
- Nie. On tylko chciał, żeby bohaterka, to znaczy Sylwia, zginęła. Rozwiązanie z przybyszem z obcych planet wziął Zadkower z własnej głowy. Piosenkarz śpiewający tę balladę, gdy dochodzi do owego przybysza, zaczyna śpiewać z obcym akcentem, dobrze nam znanym zresztą.

— Czy ballada ta jest śpiewana zgodnie z pana intencjami jako kompozytora?

— To koncepcja Reżysera — mówi Przebojowiec. — Odpowiada mi. Zresztą nie przywiązuje do tego większej wagi. Muzyka do tej ballady to zwykła chałtura, napisałem ją tylko na prośbę Reżysera, bo ta muzyczka „Płaczących Gitar”, przy której dotychczas wyśpiewywano balladę, była nie do słuchania. Jak panu wiadomo, sam komponuję do swoich tekstów muzykę i odwrotnie. Nie lubię wchodzić w żadne spółki, bo to najgorsze w tym fachu.

— A więc to Zadkower wpadł na pomysł z tym przybyszem-mordercą? — upewnił się Tumidaj.

— Reżyser! — zawołał Przebojowiec. — Mówiłem, że Reżyser.

— I pan się zgodził z tym bez oporu?

— Było mi to obojętne.

— Czy nie wpadło panu do głowy, że śmierć Rozalii zamienionej w Sylwię jest zbyt nachalnie powiązana z aktualnymi wydarzeniami na festiwalu, a właściwie jeszcze przed jego rozpoczęciem.

— Zadkower to lubi — odparł Przebojowiec. — Wszelkie rozgrywki personalne to jego domena, z tego żyje. — Przebojowiec krzywi się w ironicznym uśmiechu. — Pan jako dziennikarz powinien to wiedzieć.

Tumidaj puszcza jednak tę uwagę mimo uszu.

— Fabuła ballady opiera się na klasycznym trójkącie miłosnym: burmistrz ma żonę i dzieci, żyje bogobojnie, nagle zjawia się piękna nauczycielka Sylwia... Jeśli pierwowzorem nauczycielki była prawdziwa Sylwia, to mam prawo przypuszczać, iż pierwowzorem burmistrza jest Zadkower.

— Bravo! — zawołał Przebojowiec. — Robi pan postępy. Tak było. Zadkower miał żonę i dzieci, kochał się potajemnie w Sylwii, nawet mówił jej o rozwodzie ze swoją wpływową żoną, dzięki której właściwie zawsze egzystował i egzystuje do dzisiaj, lecz Sylwia kładła na tę jego miłość wyraźną laskę. Od samego początku w głębi duszy pragnęła uciec z tego miasteczka. W miarę upływu czasu to pragnienie stawało się coraz silniejsze. I on wiedział o tym.

— W końcu wyjechała — powiedział Tumidaj. — Mam prawo przypuszczać, że to właśnie pan jej w tym pomógł.

— Ma pan prawo przypuszczać, co pan tylko chce —> odrzekł Przebojowiec.

— Czy Zadkowski nie stawiał sprzeciwów?

— Sylwia, jak już raz coś przemyślała dokładnie i postanowiła, nie zwracała uwagi na żadne przeszkody.

— Jakoś tej jej działalności pedagogicznej nie mogę

umiejscowić w czasie — rzekł Tumidaj. — Wydawało mi się, że przed panem Sylwią opiekował się ktoś inny.

— A jednak coś tam pan się dowiedział — Przebojowiec znowu wykrzywił się ironicznie. — Szkoda tylko, że nie potrafi pan tego wszystkiego jakoś umiejętnie złożyć razem. Pomogę panu. Sylwia akurat wtedy miała taką dziurę w życiorysie. Zerwała z Jej-Gitarzystą (nawiasem mówiąc, oni się ciągle kłócili, jak to młodzi), na krótko zajął się nią Kapica, potem rzuciła go dla jakiegoś chłopca z filmu, wkrótce znudził jej się, no i została na lodzie, zaczynała być pomału klasyczną panienką do wzięcia za kolację w średnio dobrym lokalu, wtedy do akcji wkroczył Zadkowski. I czego nie wolno zapominać — energicznie wspierany przez własną żonę. Namówili Sylwię do wyjazdu do miasteczka (szkaradna żona Zadkowskiego liczyła, że w ten sposób utrzyma przyszłego Zadkowera przy sobie), no i właśnie dalszy ciąg staram się panu w miarę barwnie opowiedzieć.

— Dziękuję — powiada Tumidaj — i jeśli pan pozwoli, to wyrażę przypuszczenie, iż Sylwia po przyjeździe do Warszawy zamieszkała u pana. Zgadza się?

— Jest pan bystrzejszy, niż przypuszczałem — Przebojowiec tym razem nie wykrzywił się ironicznie. — No to wal pan dalej, zobaczymy, co z tego wyniknie.

— Jak długo mieszkała u pana?

— Chyba dwa, trzy miesiące. Znowu zaczęła śpiewać z „Płaczącymi Gitarami”, potem poznała Reżysera, oczywiście przeze mnie. Z tego widać jasno jak na dłoni, że to ja pomogłem zrobić jej olśniewającą karierę.

— Ma pan szczęśliwą rękę — rzekł Tumidaj dosyć zgryźliwie (oczywiście jak na niego).

— Tak też sędzę — przytaknął Przebojowiec. — Zresztą Sylwia nigdy nie zapomniała o tej przysłudze. Później, gdy już była sławną gwiazdką, to znaczy po dwóch, trzech miesiącach, bo w tym fachu wszystko szybko leci, wspinaczka i upadek może odbyć się na przestrzeni jednego ro-

ku, pragnęła się zrewanżować. Śpiewała niemal wyłącznie moje piosenki, chyba że Reżyser wcisnął jej coś swojego. Niestety, ostatnio robił to coraz częściej. — Przebojowiec przybrał smętną minę, Tumidaj też się nie odzywał, Gwiazda Numer Jeden przechodząc obok nich w swej wędrownicy do morza, by zamoczyć stopy, przystanęła na chwilę.

— Dlaczego panowie się nie bawią? — Miała pewnie na myśli tę niezdatną grę dzieciinną ogromną i kolorową piłką, którą bez większych sukcesów próbowali odbijać gwiazdorzy i gwiazdy, a także osoby towarzyszące, ku uciesze przyglądającej się tej zabawie gawiedzi.

— Ależ bawią się — odparł Przebojowiec — ach, jak się bawią! Gwiazda Numer Jeden, uśmiechnięta promieniście, z tym samym pytaniem dopadła kogoś za ich plecami.

— Bawić się! — Przebojowiec parsknął pogardliwie. — Z jaką lubością używają takich wyświechtanych słów z epoki Balzaka. To w ogóle są postacie balzakowskie, operetkowe.

— Nie lubi pan piosenkarzy? — spytał Tumidaj.

Przebojowiec patrzył na niego z urągliwą pogardą w oczach.

— Koleś, pan też jest z tych „bawić się”. Dam panu radę: jeśli chce pan cokolwiek zwojować w pisaniu, radzę czym prędzej nauczyć się prawdziwej mowy ludzkiej. Sylwia też ich nie rozumiała, tak jak ja, i to nas łączyło bardzo. Lubiliśmy się pośmiać, używając w gadce z nimi ego ichniego języka sztucznego. — Przebojowiec kłania się przed Tumidajem nisko. — Jak się pan bawi?

Tumidaj odkłania się dworsko:

— Świetnie. A pan?

— Również doskonale.

Śmieją się głośno. Tumidajowi zaczyna się podobać ten Przebojowiec.

— I tak toczą oni te swoje wyświechtane porzekadła —

mówi Przebojowiec w dużym zdenerwowaniu. — Kiedyś napiszę o tych cholernych kabotynach sztukę teatralną.

— Nie lubi pan estradowców? — powtórzył Tumidaj pytanie tylko nieco zmodyfikowane.

Przebojowiec wziął go za ramiona, okręcił o dziewięćdziesiąt stopni, ustawił na wprost Gwiazdora Numer Jeden.

— Niech pan sobie popatrzy, jak to się przeżyło to chuchro, jak to się puszy. Chciałbym zważyć jego mózg.

— Nic prostszego — mówi Tumidaj. — Wystarczy go tylko wypatroszyć. Ale wpiersz lepiej dziabnąć go nożem.

Przebojowiec nasrożył się.

— Kto powiedział, że Sylwię dziabnięto nożem? Kto tu mówi o jej śmierci? A może uciekła z Sopotu jeszcze przed rozpoczęciem festiwalu, bo nie mogła już tego znieść, bo za bardzo odbiegała od nich, bo nie była taka operetkowa, co?

— Może — przyznał Tumidaj. — Chętnie posłucham czegoś konkretnego na ten temat.

— Niech pan idzie do tej szui, on panu powie.

— Co to za jeden? — spytał Tumidaj.

Przebojowiec zniecierpliwił się.

— Strasznie dużo pan pyta, a tak mało pan wie. Mam na myśli niejakiego Zadkowskiego vel Zadkiewicza vel Zadkowera vel Ulizanego Wacka-Wacusia...

— Dostyc! — zawołał Tumidaj. — Jeszcze trochę, a uwierzę, że tu na plaży znajduje się również Sylwia. Nie wydaje się panu, że coś za dużo znajomych maczało palce w jej zaginięciu?

— Normalne — powiedział Przebojowiec. — To wszystko jedna sitwa. Sylwia też była w tej sitwie. Przecież oni się nie rozpadną przez czyjeś tam zaginięcie czy ucieczkę.

— To związało ich jeszcze bardziej.

— Sądzi pan, że istnieje jakaś wspólna tajemnica dotycząca zaginięcia Sylwii?

— Kto wie? — odparł Przebojowiec. — Co to można wiedzieć, póki nie złapie się za rękę?

— A czy według pana są jakieś szanse wykrycia tajemnicy?

— Na plaży?

— Chociażby.

— Niech pan szuka, będzie pan sławny, jak pan wykryje.

— Możemy poszukać wspólnie — zaryzykował.

— Z pana taki detektyw? — ironizuje Przebojowiec.

■ Nie, ale uważam, że we dwójkę będzie łatwiej.

— Od czego chce pan zacząć? — pyta Przebojowiec tym samym tonem.

— Nie wiem. Pan zna ich lepiej.

— Radzę zacząć śledztwo od tej szui — uśmiecha się krzywo Przebojowiec. — Drobne tortury nie zaszkodzą. Na początek mogą być szpilki wsadzane za paznokcie.

— Od kiedy ten Zadkower mieszka znowu w Warszawie? — zapytuje Tumidaj.

— Tęsknota widać spała go straszna, bo już w miesiąc po Sylwii zjechał z całą rodziną. Może dlatego, że jego żonie znowu udało się zaczepić w dosyć ważnej instytucji kulturalnej. — (Tu Przebojowiec szepce do ucha Tumidajowi nazwę owej instytucji, gdyż autor nie chce być posądzony o krytykanctwo, bezpłodne krytykanctwo instytucji, od których w jakiś sposób przecież i sam zależy). — I to ona (żona) wepchnęła Zadkowera do przemysłu rozrywkowego, przybijając nad jego głową ogromny szyld artysty.

— Skorzystała z tego, że Zadkowski spłodził w uniesieniu miłosnym do Sylwii tę jedną jedyną piosenczynę. Teraz liczą się z nim wszyscy, powiadają nawet, że miał zasiadać w jury, ale sprzeciwił się temu kategorycznie Reżyser (co by wskazywało na jego desperacką odwagę i chęć w jakiś sposób oczyszczenia się w oczach opinii publicznej, bo przecież to on dotychczas holował uparcie Zadkowera, nakręcany z całą pewnością przez jego żonę, od której z kolei

sam, a właściwie jego egzystencja jako reżysera, w dużej mierze zależała). Masz go tutaj w całej okazałości — Przebojowiec nie-dbałym ruchem ręki wskazał na faceta, którego Tumidaj brał za kogoś innego. Okazuje się, że to jest Zadkower. — Fajny jest, prawda? — kpił Przebojowiec. — Pasował do Sylwii jak ulał.

Tumidaj przyjrzał się uważnie Zadkowerowi. Spacerował nad brzegiem morza w towarzystwie Gwiazdki Numer Jeden (w następstwie), czyli Lolity. Przy ładnej, zgrabnej i młodej dziewczynie wyglądał fatalnie. Zwiotczały, z zapadniętą klatką piersiową, z obwisłym brzuchem, nogi pokryte zylakami — sprawiał odpychające wrażenie.

Resztki włosów ulizane na jajowatej czaszce i ten nieznośny uśmiech na wiecznie oślinionych ustach! Mizdrzył się do Lolity.

— Pobawimy się — rzekł Przebojowiec i pociągnął Tumidaję za rękę. Podeszli do nich. — Bawić się! — powiedział Przebojowiec.

A Zadkower: — Ach, bawić się!

A Tumidaj: — My się jeszcze nie znamy.

Zadkower wyciąga rękę, mamrocze pod nosem nazwisko.

A Tumidaj: — Tumidaj.

A Zadkower: — Proszę? Ach, bardzo mi przyjemnie!

Przebojowiec: — Gdzie?

A Zadkower: — Co proszę?

Przebojowiec: — Dziękuję, wszystko w porządku.

Lolita: — Ha, ha, ha!

A Zadkower: — Słucham?

Przebojowiec: — Co?

Lolita: — Ha, ha, ha!

Podchodzi jakaś tęga kobieta, właściwie otyła nad wyraz, podaje Tumidajowi pulchną rękę do pocałowania, to jest ta kobieta, która mu się tak przyglądała od samego początku, gdy tylko zjawił się w Sopocie. Za chwilę Tumidaj dowie się, że to żona Zadkowera. O, właśnie: — Cieszę się, że pana poznaję. Zadkowerowa jestem.

— Bardzo mi przyjemnie — mówi Tumidaj. — Właśnie myślałem o pani.

Zadkower łypie na niego złym okiem, Lolita ciągle się śmieje, Przebojowiec nagle odwraca się i odchodzi, jak gdyby jego niepiśniana rola już się skończyła (być może Tumidaj każe mu w ten sam sposób zachowywać się w tekście, który napisze zaraz po powrocie z Festiwalu). Zadkowerowa bierze męża pod rękę, patrzy na niego karcąco. — Miałeś się zamoczyć, a ty sobie spacerujesz brzegiem. I to bez białej czapeczki! Dostaniesz porażenia. — Wprowadza go do wody, Zadkower wzbrania się jak dziecko (choć nie płacze), ale jego żona jest znacznie silniejsza i szasta Zadkowerem w wodzie jak szmatą (którą, według Przebojowca, jest w rzeczywistości). Lolita kręcąc biodrami bardziej, niżby wypadało, weszła również do wody.

Tumidaj został sam, rozglądał się jednak czujnie, zastanawiał się, kogo by tu zacząć śledzić, wybrał Zadkowera.

Brzechtął się przy samym brzegu w wodzie ledwie po kolana. Podbiegł do niego i niewiele myśląc zaciągnął go dalej w morze. Zadkower bronił się, miał obłąd w oczach.

Tumidaj zanurzył go, potem jeszcze i jeszcze, Zadkower pił wodę otwartymi ustami, krztusił się, lecz nadal się uśmiechał obłędnie, więc Tumidaj znowu go zanurzył i robił to tak długo, aż z twarzy Zadkowera znikł ten jego obrzydliwy uśmiech. Przyciągnął go z powrotem na płytką wodę. Zadkowerowa już tutaj lamentowała. Okazało się, że Zadkower nie umie pływać i z brzegu wyglądało, jakby Tumidaj ratował go przed utonięciem. Teraz wszyscy gratulowali mu bohaterskiego czynu, Zadkowerowa zaś przy pomocy kilku ochotników z plaży energicznymi ruchami rąk wypompowywała z męża wodę, od której napeczniał jak balon. Ktoś chciał wzywać pogotowie, ale Zadkower szybko dochodził do siebie, więc zrezygnowano, tym bardziej że nikomu specjalnie nie chciało się opuszczać plaży w taki upał. Morderca, pomyślał Tumidaj patrząc na leżącego Zadkowera, takie łamagi zazwyczaj dopuszcza-

ją się zdrożnych czynów. Zadkower otworzył oczy, zobaczył nad sobą Tumidaję, splunął w jego kierunku. Tłum zahuczał oburzony. — Oto ludzka niewdzięczność! — krzyknął ktoś. Zadkower znowu plunął. — Przestań — powiedziała żona. Nie reagował. Pluł, ale oczywiście nie dosięgał Tumidaję, który przezornie się odsunął. Opluwał przypadkowych gapiów. Kiedy osłabł, Tumidaję podszedł, pochylił się nad nim i spytał szeptem: — Co zrobiłeś z Sylwią? Przyznaj się. Zamordowałeś ją. — Zadkower zerwał się, chwycił dziecińne wiaderko z piaskiem, rzucił, Tumidaję zrobił unik, ułyszał plaśnięcie wiaderka o ścianę kosza i już trzymał Zadkowera za ręce. Teraz obiegił ich tłum niemal z całej plaży. Krzyczano, że artysta zwiariował jeszcze przed festiwalem, że złapano niebezpiecznego bandytę, inni, że gwałciciela nieletnich panienek i tak dalej, mniej więcej to, co zazwyczaj w takich wypadkach krzyczy nie zorientowany w sytuacji tłum. Tumidaję wykręcił Zadkowerowi ręce do tyłu, bo miotał się coraz silniej, wtedy jego żona uderzyła go w twarz, raz i drugi, po męsku, zamkniętą dłonią, dosyć zręcznie to zrobiła. To bardziej zdumiało Tumidaję niż zachowanie Zadkowera, więc go puścił (bo był zdumiony). Zadkower szarpnął się do niego, ale już ich tłum plażowiczów skutecznie przegrodził. — On mnie nazwał mordercą! — wołał Zadkower. Tłum powtórzył jak echo: „Morderca! morderca!” ■ Morderca dorszy! — zachichotała Lolita. — Ciekawe, ile on ich połknął? — Teraz już wszyscy śmiali się, dowcipkowali, Tumidaję wycisnął się z tego hałasu, oni go tam jeszcze uspokajali, ją także. Usiadł w cieniu jakiegoś kosza, czuł się zupełnie bezradny. Hałaśliwy tłum wokół Zadkowera potęgował jeszcze przygnębienie Tumidaję. Nawet ta swoista prowokacja nie przyniosła pożądanego rezultatu. A może Zadkower nie ma nic wspólnego z zaginięciem Sylwii? Kto mu o tym powiedział? Rzucił się na niego, bo dostał szoku ze strachu przed utonięciem. Ale dlaczego zrobił to dopiero po słowie „morderca”? Czy był to tylko odruch

wystraszonego i wściekłego łamagi, czy też wypływało to z innych pobudek? Tłum rozchodził się powoli, już po sensacji, choć jeszcze dosyć zwawo komentowano niedawne wydarzenie. Gwiazda Numer Jeden podeszła do Tumidaja, chwaliła jego przytomność, ktoś mówił, że warto taki czyn podać do prasy, bądź co bądź uratował życie człowiekowi.

A potem wszystko wróciło do normy plażowej.

Ten Zadkower nie dawał jednak Tumidajowi spokoju.

Postanowił go odszukać. Odnalazł ich w kabinie szatni.

Przez drzwi słyszał głos Zadkowerowej, niecznie podsłuchiwał, ale poszczególnych słów nie mógł odróżnić. Potem wyszła, szła w stronę kawiarni, Tumidaj schował się, a kiedy zniknęła, wszedł do kabiny.

Zadkower spacerował wzdłuż ściany, sprawiał wrażenie obłąkanego. — Raz, dwa, trzy — liczył kroki. Ciągłe do przodu — i trzy, dwa, jeden — cofał się. — Tak już rzadziej przecież — mówił bez sensu. — Tak ciągle moje odmierzanie dni liczę i te warianty kunsztowne buduję, niosąc się ponad domy i dachy, i ściany strome, i opadam, i znowu huśtanie moje trwa.

Pewnie układa nową piosenkę, pomyślał Tumidaj i spytał: — Ma pan do mnie pretensję?

Zadkower spacerował dalej, zdawał się być cały pochłonięty tym liczeniem.

— Jestem jako ten niewolnik biczowan — powiedział nie patrząc na Tumidaja. — Albo pan biczowan, albo obaj razem, pan i niewolnik biczują się na przemian w tej drodze długiej, nierealnej.

Nic dziwnego, że nikt nie chce tego śpiewać, pomyślał Tumidaj i rzekł:

— Jak pan udowodni, że nie jest mordercą Sylwii? — I na wszelki wypadek przygotował się do obrony.

— Nic łatwiejszego — odparł beztrąsko Zadkower, nie przestając spacerować. — Ja ją kochałem, ja jeden ją

kochałem naprawdę. Czuję to najlepiej po deszczu upalnym, te tęskności objawiające się.

— Jeśli pan jest niewinny i tak bardzo kochał Sylwię, to dlaczego pan jej nie szuka? — spytał Tumidaj.

Zadkower przez dłuższą chwilę nie odpowiadał. Spacerował ze zwieszoną głową i liczył.

— Niech pan uważa na Recenzenta Wszechmocnego — powiedział wreszcie.


— Na Recenzenta? — zdziwił się Tumidaj. — No, no!

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— Żeby pan uważał na Recenzenta, bo może być źle.

— Co ma być źle? — spytał Tumidaj. — I dlaczego mam uważać na Recenzenta?

Zadkower zatrzymał się, już otworzył usta, wyglądało, że chce coś ważnego powiedzieć, lecz do kabiny wpadła Zadkowerowa, przyniosła szklankę kawy.

—  Boże, jak on sięopił tej wody! — zawołała. — Bardzo pana przepraszam, pan się nie gniewa, prawda?

— Absolutnie — odparł Tumidaj.

— To dobrze, mój złociutki. — Pomogła Zadkowerowi położyć się na drewnianej ławce, wycierała mu twarz mokrą chusteczką. — Mąż dzisiaj tak daleko zapuścił się w morze, sama nie wiem, jak to się stało. Zawsze jest taki ostrożny.

— Niech go pani spyta — poradził Tumidaj. — Może zaszło coś ważnego?

Zniecierpliwna machnęła ręką, wzięła szklankę z kawą i łyżeczką poila leżącego Zadkowera.

— Czy mógłby pan nas zostawić samych? — powiedziała.

— Proszę bardzo. — Tumidaj wyszedł. Przebiegła jest ta pulchna Zadkowerowa, nie chce, żeby jej mąż wygadał się z czymś niepotrzebnie.

Poszedł na plażę, znowu usiadł w cieniu kosza i zaprzął do intensywnej pracy swe szare komórki. Myślał o tym, co chciał powiedzieć Zadkower. Dlaczego ma uwa-

zać na Recenzenta? Czyżby to on był sprawcą zniknięcia Sylwii?

Przeszedł parę razy plażę tam i z powrotem, wreszcie go znalazł. Siedział otoczony wianuszkiem gwiazdek. Spocony, zmęczony słońcem, ale nie opuszczał swego posterunku, żeby choć stopy zanurzyć w wodzie. Napawał się widokiem prawie gołych gwiazdek szczebiocących przymilnie.

Gwiazdka Numer Dwa przycupnęła u jego stóp (Recenzent siedział na leżaku), patrzyła mu w oczy (Tumidaj przyjrzał jej się bacznie: ładne oczy, ładny wykrój ust, poza tym nic szczególnego). Teraz te oczy nieco przymrużone (Gwiazdki, nie Recenzenta). — Wiesz — mówi do starucha — chciałabym zostać aktorką, dobrą aktorką filmową. — Znałam jedną, też chciała — to Gwiazdka Numer Trzy. — No i co? — Została. — Aktorką? — Czymś w tym sensie. Kwestia nazwania. — Ładna była? — Owszem. — No i co? — No i została. Ale ty jesteś ładniejsza i nasz pieściocih (to Recenzent) ci to załatwi. — Co mi załatwisz, koteczku? — zapytuje Gwiazdka Numer Dwa, głaszcząc „koteczka” po tłustym brzuchu. — No, tę aktorkę — mówi „koteczek”. — Już parę gwiazd wyszło spod mojej ręki. — Niemożliwe! — Możliwe. — Och, żartowałam tylko! — Wierzę ci. — Czyżby? — ironizuje Gwiazdka Numer Siedem. — No, nie za wszelką cenę. — A za jaką? — No, trudno powiedzieć w tej chwili. — Masz to z głowy — powiada Recenzent, śmiejąc się rozkosznie — zostaniesz aktorką. (Właściwie to jest Reżyser, Zadkower się pomylił, medytuje Tumidaj, z recenzentami lepiej nie zaczynać, są naprawdę wszechmocni, raz się ich wyśmiej, to nie dadzą żyć, aż powymierają; tak, oczywiście, to jest Reżyser, w reżyserów na razie można bić bezkarnie jak w bęben). — Aktorką? — powtarza Gwiazdka Numer Dwa, smakując w ustach dźwięk tego słowa. — Mówisz poważnie? — Najpoważniej! — rechoce Reżyser (zaraz inaczej brzmi: rechoce Reżyser!). Gwiazdka spostrzega, że Tumidaj przysłuchuje się ich rozmowie, zmienia temat i ton,

pragnie ten cały dialog obrócić w żart. (Dlaczego? myśli Tumidaj, co się pod tym kryje? trzeba uważać na każde słowo). — No to świetnie! — woła Gwiazdka Numer Dwa trochę za głośno. — Od kiedy zaczynamy? — Od zaraz — mówi Reżyser. — Jaką rolę otrzymam? (a jednak tematu tak atrakcyjnego dla młodej Gwiazdki nie jest łatwo zmienić). — Życiową — śmieje się ukontentowany Reżyser (a może nawet trochę podniecony). — Na początek musisz mnie uwieść. Zobaczmy, jak ci pójdzie. Od tego wszystko zależy. — Ostry jesteś! — woła Gwiazdka. Reżyser śmieje się, wianuszek gołych (prawie) i pięknych dziewcząt wtóruje mu skwapliwie. Reżyser jest w siódmym niebie. — No to zabieramy się do roboty — mówi Gwiazdka Numer Dwa i patrzy porozumiewawczo na Tumidaję (dlaczego akurat na mnie, myśli intensywnie Tumidaj, o co jej chodzi?). Reżyser tego nie widzi, Gwiazdka robi do Tumidaję oko (też porozumiewawcze, właściwie puszcza oko, zresztą na to samo wychodzi, Tumidaj dalej nic z tego nie rozumie). — Teraz zaraz czy zaraz potem? — dowcipkuje Reżyser. — Teraz zaraz. — No to fajnie! — No to fajnie! — powtarza Gwiazdka. Reżyser jest wyraźnie zmęczony. Ziewa, nie może opanować tego starczego ziewania. Gołe (prawie) dziewczuszki czekają niecierpliwie, kiedy wreszcie skończy, a on furt ziewa.

Tumidaj dla zabicia czasu zastanawia się, czy w ogóle znajdzie rozwiązanie tej zagadki (zaginięcia Sylwii). Podsumowując dotychczasowe osiągnięcia (swoje) stwierdza samokrytycznie, iż mimo otrzymywania niemal bez przerwy tajemniczych sygnałów od różnych osób nadal jest ciemny (tylko w tej sprawie, rzecz jasna) jak tabaka w rogu.

Dlaczego na przykład Gwiazdka Numer Dwa podlizując się Reżyserowi, mruga do Tumidaję porozumiewawczo?

Czyżby realizowała jakiś plan i sądzi, że Tumidaj wie o tym lub chociaż się domyśla? A może po prostu przed obcym wstydzi się swej nachalności wobec Reżysera i w ten sposób się usprawiedliwia? Wzięli ją do wody. To Gwiaz-

derek Pierwszy i jego kompania. Pozostałe golaski (prawie) jazgocząc na całą plażę pobiegły za nimi. Reżyser w ostatniej chwili zdążył jedną z nich chwycić za rękę i obejmując dziewczynę w pól, też człapał do morza. Wyglądali paradoksalnie. Czy potrzeba opisywać, jak karykaturalnie wygląda na plaży gruby, niezdarne facet z gibką, młodą dziewczyną? Dziewczyna patrzy na Tumidaję (gdyż Tumidaj idzie obok nich), wzrusza ramionami, a gdy wchodzi do wody, Reżyser pluska się jak w wannie, Tumidaj obserwuje ich z brzegu, więc dziewczyna ciągle na niego patrzy, trochę jej głupio, bo grubas zalotnie opryskuje ją wodą, potem obejmuje ją i tańcząc zanurzeni w morzu ledwie po kostki, ona ciągle patrzy na Tumidaję, ale jej nogi jakby samowolnie, jakby bez przyzwolenia drygają sprawnie, czyniąc uniki przed szerokimi stopami Reżysera (oczywiście Reżyser, jak każdy grubas, ma płaskostopie, stwierdza Tumidaj, dlatego chodzi jak kaczką, każdy płatfus porusza się w ten sposób). Też wzrusza ramionami, robi te gesty powtórkowe, uśmiecha się, Tumidajowi wyraźnie podoba się ta dziewczyna, ale wie, że w konkurencji z Reżyserem nie ma czego szukać. Przegrał jeszcze przed startem.

Odchodzi z żalem. Idzie się przejść po plaży, zobaczyć, co się dzieje gdzie indziej. Wprawdzie próby w Operze Leśnej niby trwają, ktoś tam pewnie wyśpiewuje swoje kawałki, dręcząc orkiestrę i ślaniającego się ze zmęczenia dyrygenta, ale to są na szczęście nieliczni fanatycy estrady, dziewięćdziesiąt dziewięć procent gości krajowych i zagranicznych nie marnuje pięknej pogody.

Tumidaj dziennikarskim (mimo krótkiego stażu), fachowym okiem widzi wszystko. Zagraniczni goście już zadomowili się w Sopocie, radzą sobie wspaniale, są hałaśliwi, pewni siebie, wokół nich rój dziewczyn, co jedna to ładniejsza (Tumidaj z przykrością stwierdza, że wszystkie, bez wyjątku, są ładniejsze od gwiazdek i gwiazd festiwalowych, „bo jak Bozia da urodę, nie daje głosu i odwrot-

nie", przypomina mu się porzekadło starego wygi, Dziekana korpusu dziennikarskiego, słynącego ze złotych myśli rzucanych ot, tak, na zawołanie). Zabawa trwa na całego.

Francuz wskoczył do wody w dżinsach i w smokingowej marynarce, gonią go dziewczyny, dopadają, rozbierają, fotoreporterzy mają gratkę, pstrykają raz za razem. Będą fajne zdjęcia. Reklama dla Francuza i dla fotoreporterów.

Inny, bodajże Szwed, rozanielony, obstawia dwie: jedna siedzi mu na kolanach, druga głaszcze go po jasnych, wręcz białych, włosach. Szwed obmacuje dziewczyny bez żadnego skrępowania — „bawi się”, jak by określił to pogardliwie Przebojowiec. Kilka metrów dalej podtarzała Angielka, miss Hilary, rozmawia z Gwiazdorkiem Numer Dwadzieścia Osiem. Ten młody chłopiec o wyglądzie wyrośniętego ponad wiek amorka wpadł jej w oko. Jej końska, angielska szczeka jest w ciągłym ruchu — śmieje się głośno, słysząc ją w promieniu kilkudziesięciu metrów, czasem tylko jej głos załamuje się i urywa, to amorek bez żadnych wstępów całuje miss Hilary. Obok Ciota Joe uważnie patroluje plażę. Ten młody blondyn chce nawiązać kontakt, zmagają się na migi, Ciota Joe rozgląda się czujnie — czy aby nikt ich nie obserwuje? Oględziny wypadają pomyślnie, nie dostrzegła przyglądającego się im Tumidaja, więc dalej na migi flirt toczy.

W kolonii polskiej wreszcie coś się zaczyna dziać. Przebojowiec Drugi wyraźnie zmierza do prowokacji. Może to doprowadzić do zdemaskowania wszystkich nie zdemaskowanych, myśli Tumidaj, a jednak prowokatorzy są potrzebni w każdym czasie i w każdej sytuacji. Przebojowiec Drugi podchodzi do Gwiazdy Numer Cztery, Żony Reżysera, mówi jej coś do ucha, Gwiazda Numer Cztery opuszcza swój kosz, w którym siedziała jak kura na grzędzie, i spiesznie rusza za Przebojowcem Drugim w pobliże kosza, gdzie jej mąż (po zażyciu orzeźwiającej kąpieli morskiej stóp) siedzi w otoczeniu gwiazdek. Gwiazda Numer Cztery od razu przybiera pozycję gotowości bojowej. Re-

żyser nie peszy się jednak, udął, że jej nie widzi, tylko ręce miętoszące piersi dziewczyn tak jakby zaczęły mu sztywnieć. Gwiazda Numer Cztery podchodzi na odległość trzech kroków, mówi z hamowaną wściekłością: — Krajowe panienki masz zawsze do dyspozycji, weź się za te zagraniczne, one tylko czekają na to. Co to za reżyser, który nie zaprasza do łóżka? Uważaj, bo popsują ci opinię. — Gwiazdki biorą to za dobry żart, śmieją się, Reżyser mruga szybko oczami, nos mu drga, jest zły i zdenerwowany. Zdołał się jednak opanować, nie chce wywoływać awantury na plaży, co prawda minę ma żalowaną, lecz dzielnie usiłuje dowcipkować. Zdechł pies, nie udało się prowokacja, pomyślał Tumidaj, ale oto jeszcze nic straconego, Przebojowiec Drugi szybko wyciąga wnioski, postanawia sytuację odwrócić, bierze Gwiazdę Numer Cztery pod rękę, idzie z nim posłusznie, jakby wyczuwała jego intencję, a kiedy podprowadza ją do kosza, w którym znajdują się miss Hilary i Gwiazdorek Numer Dwadzieścia Osiem, aktualny kochanek Żony Reżysera, lekceważąco wydyma usta i mówi: — Żadna konkurencja, to tylko bezpłciowa Angielka. — Oczywiście — prowokator stara się wzniecić jej gniew na Gwiazdorka Dwudziestego Ósmego, który nie chce śpiewać jego piosenek — ale to coś znaczy. — Nic nie znaczy — powiada twardo Żona Reżysera — nie zależy mi na nim. Już go spisałam na straty.

I znowu zdechł pies, myśli Tumidaj. Widzi Lolitę, podbiega do niej i zadaje serię podchwytliwych pytań — kuje żelazo póki gorące, to znaczy póki Lolita jest sama. Jest przekonany, że Lolita wie coś o zaginięciu Sylwii i teraz wszelkimi sposobami musi to z niej wydobyć. Ale gdzie tam! Obstąpili ich od razu i dawaj gadać a dowcipkować, jak to na plaży, i Tumidaj musiał śmiać się razem z nimi, żeby nie uchodzić za ponuraka i za takiego faceta, co to knuje coś po kątach.

Jedyna deska ratunku, myśli Tumidaj, doprowadzić do ogólnej rozmowy o zniknięciu Sylwii.

— Ciekawe, czy Sylwia wystąpi na festiwalu? — powiedział.

— Sądzi pan, że jest tutaj, w Sopocie? — zapytał Dziekan korpusu dziennikarskiego, przyglądał mu się uważnie. — Skąd ta nie sprawdzona wiadomość?

— Tak słyszałem — mówi Tumidaj.

— A ja słyszałem, że nie żyje — włącza się do rozmowy Gwiazdor Numer Siedem.

— Bzdura! — woła Reżyser. — Poczekajmy do jutra.

— Powinno się wszystko wyjaśnić.

— A jak ją rzeczywiście zamordowano? — mówi Tumidaj. — Mamy czekać z założonymi rękami?

— Więc go złap! — woła jakiś fotoreporter. — Ja zrobię zdjęcie i obaj na tym zarobimy.

— Co za pomysły? — woła Gwiazdka Numer Jeden (w zastępstwie), czyli Lolita — dla reklamy nie przebieracie, panowie, w środkach. Nic dziwnego, że ma taką popularność.

Przebojowiec Drugi (ten prowokator) przysuwa się do Tumidaja.

— Kto wie, czy pan nie ma racji — mówi — a jak Sylwia naprawdę nie żyje?

— Uważam, że nie powinniśmy żartować na temat zniknięcia Sylwii, a tym bardziej mówić o jej śmierci — powiada Gwiazda Numer Cztery, spogląda na Tumidaja dosyć groźnie. — Uważam, że to jest w złym tonie.

Zalega dosyć krepujące milczenie, a potem wszyscy, jak na komendę, opuszczają plażę — czas na obiad, a potem ostatni szlif w Operze Leśnej przed jutrzejszym występem.

Wszystko już się doszczętnie Tumidajowi pokręciło, wszystko się sypie, rozłazi w szwach, czego się tknie — popiół rozwiewający się na wietrze. Trzeba jakoś uporządkować fabułę, bo szanowni czytelnicy to lubią — kolejność, jedno wypływa logicznie z drugiego, poszczególne sytuacje są jasne, akurat odwrotnie, niż to dzieje się w życiu, może właśnie dlatego? Bajki zawsze są mile widziane.

Lecz Tumidaj nie ma zamiaru opowiadać bajek, jego wyobraźnia jest na to zbyt bogata, stać go na więcej. By jakoś wrócić do Sylwii i Jej-Gitarzysty, do owego miłosnego duetu, wokół którego Tumidaj mozolnie przedzie nić intrygi, akcja dalej potoczy się tak:

Zanim Kapitan Żeglugi Wielkiej dotarł do Grand Hotelu, gdzie Główny Zapowiadacz przesłuchiwał Sylwię, dziewczyny już tam nie było, Zadkower osobiście odwiózł ją do willi. Do diabła z tą pannicą, mówił rozeźlony do Kapitana, który natychmiast z Grand Hotelu przybył za nimi do kryjówki. Ciągłe upiera się, że ten osiłek jest niewinny. Mówi, że tego wieczora byli razem na plaży, że się kąpali... Chyba mówi prawdę, rzekł Kapitan. Oni rzeczywiście co wieczór razem się kąpali. Może i byli wtedy na plaży, ale to jedno drugiemu nie przeczy. Tym bardziej że podobno pokłócili się i on polecał gdzieś w złości. To „gdzieś” to było mieszkanie dziewczyny, którą zamordował. Nie uwierzy w tę bajeczkę, zbyt naiwna, rzekł Kapitan. Jak chcecie ją nastraszyć i zrobić z Jej-Gitarzysty mordercę, aby się go wyrzekła i bez żalu opuściła kraj, musicie wymyślić coś bardziej sensownego. Jej-Gitarzysta miałby mordować Bogu ducha winną dziewczynę tylko dlatego, że pokłócił się z Sylwią? Kapitan niedowierzająco patrzył na Zadkowera. Nie miałem tego na myśli, obrusza się Zadkower. Zabił dwie w czasie bójki w Non-Stopie z „Szatanami”, mówi Zadkower. A może jeszcze istnieje jakiś inny powód, dla którego to zrobił? Szczegóły wymyśli się później. Będziemy mieć tyle czasu na statku w drodze do Ameryki! (Zadkower urzeczony nagle możliwościami swego mózgu, wymyśla dalsze szczegóły zbrodni popełnionej przez Jej-Gitarzystę, a nawet wplątuje w to Sylwię, zapominając o tym, że cała ta zbrodnia jest jego wymysłem). Tak, na pewno istnieje jakiś inny powód, dla którego to zrobił. I ktoś ten powód musi znać. Wcale bym się nie dziwił, gdyby to była Sylwia. Zanadto broni swego chłopczyka. To jakoś nie trzyma się razem, rzekł Kapitan

patrząc spokojnie na Zadkowera (którego przecież śledził w napięciu, wiedząc, że prędzej czy później Zadkower zaprowadzi go do sztabu przemytników i porywaczy gwiazd estrady). Ona jest jeszcze bardzo młoda i naiwna. Kocha się w Jej-Gitarzyście i uwierzyła mu bez zastrzeżeń, gdy jej powiedział, że jest niewinny. Ona mogła uwierzyć, ale nie my, Zadkower cmoknął przez wybity ząb. Wszystko świadczy przeciwko niemu. Zresztą są dowody. Jakież? zapytał Kapitan, ale nie otrzymał odpowiedzi, więc rozszerzył pytanie: Czy to są jakieś konkretne, sprawdzalne dowody, czy tylko przypuszczenia? Rozbity Non-Stop, zniszczone instrumenty muzyczne, mój wybity ząb, wylicza Zadkower, a potem rozkłada ręce przybierając tajemniczy wyraz twarzy: Niestety, więcej nawet panu nie mogę na razie powiedzieć, uśmiecha się przepraszając, dla dobra śledztwa ma się rozumieć. Do pokoju wchodzi Felix.

O, nasz Kapitan! woła wesoło. Przyszedł pan bronić tego ptaszka, co? Kapitan patrzy na niego spod oka. Zgadza się, panie Felixie, mówi. Proszę, proszę, słuchamy, Felix spaceruje po pokoju nie ukrywając zadowolenia. Ciekaw jestem, co też pan ma na jego obronę? Na razie nic więcej, tylko przekonanie... Felix nie pozwała mu dokończyć.

Przekonania łatwo można zmieniać, prawda? Jeszcze nie tak dawno chciał pan pomóc schwytać Jej-Gitarzystę, że to niby ułatwi nam zadanie, nawet poczynił pan pewne kroki w tym kierunku, a teraz nie wiadomo dlaczego uważa go pan nagle za ofiarę pomyłki, za niewiniątko. Chciałbym wiedzieć, czemu można przypisać tę raptowną zmianę? Kapitan uważnie patrzy na Felixa triumfalnie spacerującego po pokoju. Nie rozumiem, o czym pan mówi, panie Felixie. Chodzi o tę kartkę, którą otrzymał od pana Jej-Gitarzysty, wyjaśnia Felix. Kartkę? Jaką kartkę? Żdziwienie Kapitana było tak wielkie, iż Felix przerywa swój triumfalny marsz po pokoju i patrzy wymownie na Zadkowera, ten zaś wyjmuje z szuflady pomięty skrawek gazety i bez słowa podaje Kapitanowi. Tumidaj z trudem odczy-

tuje zamazane pismo. „Nie mogłam przyjść. Jestem pilnowana. Bądź wieczorem na plaży w naszym miejscu. Przyniosę ci coś do jedzenia". Pan to pisał? zapytuje major urzędowym tonem. Ja? Dlaczego miałbym to pisać? I w dodatku kredką do brwi? To raczej ręka kobiety... Spytajcie Sylwii. O to chodzi, rzekł porucznik, przybierając urzędowy ton na wzór swego pryncypała, ktoś się pod nią podszył. Ale dlaczego? Tumidaj z narastającym zdumieniem patrzy to na majora, to na porucznika. Chyba mnie o to nie podejrzewacie? (Łatwo zauważyć, że dla dobra śledztwa, dla wykrycia ewentualnego morderstwa, Tumidaj oddał sprawę w ręce milicji, a sam zamienił się, a raczej zajął miejsce Kapitana Żeglugi Wielkiej, a to dlatego, iż Zadkower jest do wszystkiego zdolny, mógł oczywiście kogoś zamordować i rzucić podejrzenie na Jej-Gitarzystę, trzeba więc dokładnie sprawdzić, czy wymyślone morderstwo, i to podwójne, nie nakłada się na jakieś rzeczywiste, być może też podwójne, a któż to lepiej zrobi niż milicja). No i oczywiście do nas pan też nie dzwonił, zawiadamiając śmiesznie zmienionym głosem o przygotowanym spotkaniu, prawda? spytał major pochylając się nad Tumidajem i patrząc mu natarczywie w oczy. Po co ta cała dziecinna zabawa w Indian, do cholery?! wybuchnął prostując się. Myślałem, że poważny dziennikarz zajmuje się innymi sprawami. Ma pan szczęście, że wszystko sprawdziliśmy i żadnych morderstw w tym czasie nie zanotowano. Inaczej byłby pan zamieszany. Na przyszłość proszę jednak tak pochopnie nie uruchamiać swej fantazji.

Ale co zrobić z tą nieszczęsną kartką? zastanawia się Tumidaj. Ani jej nie pisałem, ani nigdzie nie dzwoniłem.

Po co ją w ogóle wymyśliłem? Jest właśnie nudna konferencja prasowa i Tumidaj z najbliższymi sąsiadami wdał się szeptem (jak zwykle podczas nudnych konferencji) w spekulacje na temat zaginięcia Sylwii, i natychmiast wszelkie zasłyszane wiadomości przetwarza jak sprawny komputer w tworzywo powieściowe. Zaginięcie Sylwii nie

jest równoznaczne z jej zamordowaniem, więc morderstwa nie ma, zresztą milicja mówi to samo, Tumidaj na razie dziękuje im za pomoc i wraca do swych ulubionych bohaterów: Zadkowera, Supergwiazdy i Felixa, cała trójka zresztą wciela się w różne postacie, w zależności od potrzeb fabularnych. Teraz nadal Tumidaj występuje w roli Kapitana Żeglugi Wielkiej i wraca do owej kartki, która nie daje mu spokoju, gdyż nie bardzo wie, jak rozegrać tę sprawę do końca. Może Kapitan przyjdzie mu z pomocą?

Zobaczmy. Ale ja tej kartki nie pisałem ani do was nie dzwoniłem! wykrzykuje Kapitan spoza swego zdumienia.

Po raz pierwszy o tym słyszę, słowo kapitańskie! Zresztą dlaczego miałbym to zrobić? Proste, wyrecytował Zadkower jak wuczona na pamięć lekcję, wyraźnie popisując się przed Felixem. Zrobił to pan dla Sylwii i przez Sylwię. Spodobała się panu ta rozwydrzona pannica, ale wiedział pan, że ona durzy się w Jej-Gitarzyście, więc postanowił go pan wydać w nasze ręce i w ten sposób uwolnić Sylwię od towarzystwa Jej-Gitarzysty, z którym, mimo zakazu, potajemnie się spotykała, a jednocześnie mieć swobodę ruchów, to znaczy mógł pan teraz do woli ją uwodzić. Niesamowicie woła Kapitan. I po tym wszystkim twierdzą nagle, że Jej-Gitarzysta jest niewinny. Chyba coś tu się nie zgadza? Właśnie, mówi Felix. Chcielibyśmy wreszcie usłyszeć o dowodach świadczących o jego dobrych chęciach, że nie zamierza wykraść nam Sylwii, lub wskazujących na kogoś, kto to zamierza zrobić. Dowodem niewinności Jej-Gitarzysty będzie występ Sylwii na festiwalu, powiedział Kapitan z mocą. Co? obaj, Zadkower i Felix, podskoczyli do Kapitana, jakby za chwilę mieli zacząć go okładać pięściami. Sylwia wystąpi na festiwalu?

Po tym, czego się tutaj dowiedziałem, mam na myśli kartkę i jakiś telefon, jestem bardziej przekonany niż kiedykolwiek, że Sylwia padła ofiarą tragicznej pomyłki, że być może ktoś celowo tak wyreżyserował okoliczności zniknięcia rewelacyjnej gwiazdki, żeby świadczyły przeciwko Jej-

-Gitarzyscie, a jednocześnie przyniosły jej ogromną reklamę, ale akcja już trochę za daleko się posunęła, mówi się coraz głośniejsze o morderstwie, i kto wie, jeżeli zamiar porwania się nie uda, czy nie postanowią zgładzić niewygodnego świadka, a równocześnie ofiarę swych nieuczynnych kłopotów, płatał się Kapitan-Tumidaj w zeznaniach, wreszcie udało mu się sprecyzować swą wypowiedź: Kto wie, czy morderca nie upatrzył już sobie ofiary? To dlaczego napisał tę kartkę i nas o tym zawiadomił? spytał głucho Zadkower-dziennikarz, sąsiad Tumidaja przy stole konferencyjnym i Tumidaj zmuszony jest (na chwilę) zaniechać obmyślenia swej powieści, wrócić na ziemię i wysłuchać do końca realnych niepokoїв dziennikarza, tak samo jak on akredytowanego przy Festiwalu i tak samo jak Tumidaj nic nie rozumiejącego z tego, co tu się dzieje. Ale oto snuje dalej wątek. Przecież ukrywanie się Jej-Gitarzysty jest na rękę wszystkim zainteresowanym, ktoś inny może spokojnie działać na jego konto, nawet mordować.

Może nawet chce zakpić z milicji, uważając się za mordercę doskonałego, ciągnie Zadkower-dziennikarz, w historii kryminalistyki jest wiele tego rodzaju przypadków.

Zna się na tym, gdyż pracuje w dziale kryminalnym. Redakcja jednak nie miała pod ręką nikogo z działu kulturalnego, więc wysłano jego, bo jeszcze nigdy nie był służbowo nad morzem w sezonie i właśnie na niego wypadła kolej. Tak, tak, Tumidaj spod oka obserwował Zadkowera, jest w tym rozumowaniu szczypta logiki. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby tym kpiarzem okazał się jakiś reporter kryminalny, któremu festiwal pomylił się z sądem.

Mam żelazne alibi w postaci siedzącego tutaj obok pana kolegi, Zadkower wskazał na Tumidaję. Na szczęście wywiązuje się pan doskonale ze swych obowiązków, jest pan moim nieodłącznym cieniem. Ale czasem ginie mi pan z oczu, powiedział Tumidaj ni to wesoło, ni to poważnie.

Po zniknięciu Sylwii pan jest głównym podejrzanym, nie wnioskuję w inne pana sprawy. A jeżeli Gwiazdkę por-

wała jakaś tajemnicza szajka? spytał Zadkower, trudniąca się na przykład handlem wschodzącymi gwiazdkami estradowymi, co wtedy? Wykluczone! powiedział twardo Tumidaj. Ja nawet już się domyślam, dlaczego pan to zrobił. Zadkower wybuchnął gromkim śmiechem, w tym momencie akurat Wielki Gwiazdor Zagraniczny (ale nie Największy) opowiadał o swoich sukcesach, przerwał słyszając głośny śmiech — zapanowała dosyć niemiła atmosfera, wyzskana natychmiast przez konkurenta Gwiazdora Zagranicznego, który zaczął śpiesznie referować swoje sukcesy na estradach świata. Robił to tak szybko, że Tłumacz (biegły podobno) nie nadązał tłumaczyć. W końcu nikt już nie wiedział, o co chodzi, i na tym kolejną konferencję uznano za zakończoną.

I to kto, moje dziecko, które własną piersią wykarmiłam, tak się odwzięcza! woła Supergwiazda. Nie chcesz nadal opuścić tego złoczyńcy wiszącego już prawie na szubienicy?

Gitarzysta wcale nie jest złoczyńcą! woła Sylwia. To nieprawda! Więc dlaczego się ukrywa? Impresario Międzynarodowy mówi, że wiele osób w rozmowie z nim dało mu do zrozumienia, że na pewno ten Gitarzysta jest złoczyńcą, podobno nawet kogoś zamordował, jakiegoś „Szatana”.

Wierzysz, mamo, Zadkowerowi? pyta Sylwia z oburzeniem.

Chciał mnie poderwać, ale nic mu z tego nie wyszło, więc teraz mści się. Nie tylko on tak mówi, ale nic mnie to nie obchodzi. On nikogo nie zamordował, żadnego „Szatana”. To zespół. Co? woła Supergwiazda. Zamordował cały zespół? Tak się nazywają: „Szatany”, wyjaśnia cierpliwie Sylwia. Pobił ich trochę, i to wszystko. Kocham go za to jeszcze bardziej, bo o mnie się bił. I bez niego nie wyjadę.

Nie zdajesz sobie nawet sprawy, w co się wplątujesz, westchnęła Supergwiazda, zniecierpliwiona uporem swej córki. Chcesz stać się jego współniczką? Chcesz narazić nie tylko siebie na więzienie, ale i przynieść ogromny wstyd całej rodzinie? Proszę cię, choćby przez wzgląd na ojca, na dobre imię jego firmy! Jeszcze możesz się ze wszyst-

kiego wycofać. Gitarzysta jest niewinny, powtarza Sylwia z mocą. I ja go kocham. Gdy skazą go na śmierć, popełnię samobójstwo! No, głuptasku, powiedz mamusi, dlaczego tak uporczywie go bronisz, chociaż sama dobrze wiesz, że on to zrobił. Supergwiazda usiadła na tapczanie obok Sylwii i czule objęła ją ramieniem. Puść mnie, mammo!

Sylwia stara się uwolnić z jej objęć. Ty i tak tego nie zrozumiesz, co nas łączy. Ja muszę go bronić. Musisz? Dlaczego? Supergwiazda ze zgrozą spojrzała na Sylwię, przypominając sobie z własnej młodości tarapaty miłosne.

Chcesz powiedzieć, że jesteś w ciąży, że będziesz mieć z nim dziecko, sama prawie jeszcze dziecko, z mordercą, z dusicielem kobiet? Bezwstydnica! Sylwia wybucha głośnym płaczem, rzuca się na Supergwiazdę z pięściami (nie panując już nad sobą, jak to się mówi). Jak mogłaś? woła. Jak mogłaś coś takiego powiedzieć? Supergwiazda zrećnie unika zadawanych jej na oślep ciosów, próbuje uspokoić Sylwię. Przestań, bo poskarżę się ojcu. Opanuj się!

Jak mogłaś? woła Sylwia. Jak mogłaś? Nie chcę cię więcej! znać! Zawodząc histerycznie, biegnie do swego pokoju na piętrze.

Supergwiazda wyszła na werandę pod uważnym spojrzeniem Zadkowera, który siedział na krześle tuż przy drzwiach i palił papierosa. Pójdę do niej, powiedział. Może ja potrafię przemówić jej do rozumu? Nie wiem, czy w tej chwili zechce z tobą rozmawiać, rzekła wzburzona Supergwiazda. Chętnie dałabym jej porządnie w skórę.

Zadkower wstał z krzesła i zgasił papierosa. Pójdę do niej, powiedział i ruszył do drzwi, zatrzymał się jednak na chwilę i wygłosił sentencję pod adresem Supergwiazdy: Mężczyzna czasem lepiej potrafi zrozumieć młodą dziewczynę niż dojrzała kobieta, nawet wtedy, gdy tą kobietą jest prawdziwa, a nie przyszywana matka. Poszedł na górę i zapukał do drzwi. To ja, powiedział łagodnym głosem. Chciałbym z panią chwilę porozmawiać. Sylwia nie odezwała się, więc dorzucił tajemniczo: Chodzi o Jej-Gitarzystę. To

naprawdę coś ważnego. Nie było odpowiedzi. Spojrzał na Supergwiazdę, bezradnie stojącą za jego plecami i w napięciu oczekującą na wynik negocjacji. Wejść, szepnął i jeszcze raz zapukał do drzwi. Odczekał chwilę i nacisnął klamkę. Sylwia niezdarne, jak dziecko, wierzchem dłoni wycierała zapłakaną twarz. Proszę mnie zostawić, powiedziała łamiącym się głosem. Czego pan chce ode mnie?

Jak ślicznie wygląda z tą zapłakaną twarzą, Zadkower napawał się jej widokiem. Uosobienie dziewczęcej niewinności i wstydu. One wszystkie początkowo są takie same, stwierdził ponuro. Dopiero później stają się rozwiązłe aż do obrzydliwości. Sylwia odwróciła się plecami, nie mogąc znieść natarczywego spojrzenia jego czerwonych, nieruchomych oczu. Czego chcecie ode mnie? powtórzyła. Dlaczego mnie więzicie? Chcę stąd wyjść! Przyszedłem, ofiarować swą pomoc, oświadczył zbliżając się do niej. Nikt pana o to nie prosi! Podeszła do okna, odsunęła firankę, wyjrzała na ulicę, a potem raptownie odwróciła się do Zadkowera i spojrzała mu odważnie w oczy. Myślałam, że jest pan naprawdę Impresariem i dlatego znosiłam tę pańską bezczelną poufalskość, ale teraz... Teraz będzie mi pani wdzięczna, gdy powiem, z czym tu przyszedłem, Zadkower tajemniczo zniżył głos. Dowiedziałem się, że Jej-Gitarzysta chce panią zamordować, ponieważ uważa, że go pani haniebnie zdradziła. Dlatego panią ukrywamy przed nim. Proszę nam to wybaczyć, ale jak tylko wsiądziemy na statek, odzyska pani pełną swobodę. Sylwia, zaskoczona tym, co przed chwilą usłyszała, szybko odwróciła się do okna. Zastanawiała się, czy to, co powiedział Zadkower, jest prawdą. Oczywiście kłamie! Przecież nigdy Jej-Gitarzysty nie zdradziła. Zadkower zaś patrzył na jej długie, przeświecone słońcem rude włosy, swobodnie opadające na odkryte delikatne ramiona, potem dokładnie obrysował wzrokiem zarys jej szczupłej postaci pod cienką tkaniną sukienki, sięgającej ledwie do uda i przy każdym gwałtowniejszym ruchu ręki podjeżdżającej znacznie wyżej. Nie-

lichy lubieżnik wymyślił to całe mini, dumął. Efekt jest większy, niż gdyby chodziły nago. Nie mógł się oprzeć, żeby nie dotknąć tej dziewczyny, jej gładkiej, opalanej skóry. Zbliżył się do niej cicho, niemal na palcach. Cudowna jesteś, powiedział z duszonym głosem, dotykając drżącą dłonią jej smukłej szyi. Sylwia zwinnie uchyliła się i podbiegła do drzwi. Proszę niech pan natychmiast wyjdzie! rzekła zimnym, opanowanym głosem. Bo zacznę krzyczeć, jeżeli nadal ma pan zamiar do mnie się zalecać.

Zadkower wcale nie speszony patrzył na nią swymi czerwonymi, nieruchomymi oczami gada. Kiedy się złości, jest jeszcze bardziej pociągająca, stwierdził z dziwnym drzeniem w łydkach. Wprost genialna! Zrobię wszystko, żeby widzieć ją uległą. Chodzi o Gitarzystę, dlatego tu jestem, powiedział chichotliwym głosem, na próżno starając się nadać mu poważniejsze brzmienie. Powinna pani chociaż mnie wysłuchać. I niechże pani wreszcie odejście od tych drzwi, nie jestem taki straszny. Próbował uśmiechnąć się, ale ten jego chichotliwy głos nie zabrzmiał tak, jakby pragnął. Przecież nie zjem pani. Ale ja nie chcę wcale z panem rozmawiać. Sylwia jednak odeszła od drzwi i okrężną drogą dotarła do okna. Dlaczego mi się pan naprzykrza? Chcę wam pomóc obojgu. Wiem, że Jej-Gitarzysta tylko tak mówi, ale krzywdy pani nie robi. Są pewne możliwości spotkania się z nim. Chyba że pani na tym nie zależy? Och, dłużej nie mogę już tego słuchać! wybuchła Sylwia. Wszyscy wokół twierdzą, że jestem wolna, że Supergwiazda i Felix to moi rodzice, a ciągle jestem zamknięta w tej willi, jak w więzieniu. Teraz znowu Gitarzysta chce mnie zabić! Co to wszystko znaczy? Sama już nie wiem, komu i w co mam wierzyć. Pani dobrze wie, że Jej-Gitarzysta z miłości jest gotów popełnić najohydniejszą zbrodnię, powiedział Zadkower, wpatrując się w Sylwią tymi swoimi czerwonymi oczami. Ja mam na to dowody. Nie ze mną takie numery! woła wzburzona Sylwia. Gdyby rzeczywiście tak było, już dawno poleciałby

pan na milicję. Chodzi panu tylko o to, żeby mnie wykorzystać. Łazi pan za mną od samego początku. Ale nic z tego! Znam prawdziwego mordercę, odrzekł spokojnie Zadkower. To on zabił tych dwóch chłopców z zespołu „Szatany”, akurat w tym czasie, kiedy Jej-Gitarzysta z nimi walczył. Zależy tylko od pani, czy milicja posadzi go na miejsce Jej-Gitarzysty, czy też świetnie zapowiadający się muzyk będzie musiał na zawsze opuścić ten padół, przenosząc się w zaświaty, i to drogą niezbyt honorową, a mianowicie za pomocą strychnika. Więc dlaczego pan ukrywa tego mordercę? spytała Sylwia. Proszę zdradzić jego nazwisko. Pierwsze rozsądne słowa, rzekł Zadkower, podchodząc do dziewczyny i wpatrując się w nią z lubością.

No więc słucham, Sylwia z przerażeniem śledziła każdy jego ruch. Chyba jest już moja, myślał zbliżając się do Gwiazdki. Tylko żeby przedwcześnie się nie spłoszyła. Tylko żeby nie popełnić jakiegoś błędu. Ujął jej dłoń i zanim Sylwia zdołała ją wyszarpnąć, przywarł do niej ustami.

Przepraszam za to moje chamskie zachowanie, zaseplecił.

To już się więcej nie powtórzy. Oczy Sylwii złagodniały, już nie patrzyły tak hardo. Mordercą jest Tumidaj, ten dziennikarz, który kręci się przy festiwalu i nieustannie węszy, szuka następnej ofiary, tą ofiarą ma być pani, dlatego tak uporczywie poszukuje pani kryjówki, wypalił, bacznie obserwując reakcję dziewczyny. Obydwa morderstwa tak zorganizował, żeby wszystko świadczyło przeciwko Jej-Gitarzyście, ale to tylko pozory. To on zabił tych biednych chłopców. Prawdopodobnie to obrzydliwy zboczeniec. Kłamstwo! Sylwia twardo patrzy Zadkowerowi w oczy. Ohydne, wstrętne kłamstwo! Po co pan to mówi?

Za to można iść do więzienia. Przecież nikt nikogo nie zabił. Bez wiarygodnych dowodów nigdy nie ośmieliłbym się rzucić na kogoś tak ciężkiego oskarżenia, rzekł Zadkower urażonym głosem. Istnieje człowiek, który był mimowolnym świadkiem pierwszego morderstwa dokonanego przez Tumidaję i w każdej chwili może to potwierdzić. Oczy-

wiecie nie muszę dodawać, że jego oświadczenie całkowicie wystarczy do uwolnienia od podejrzeń pani narzeczonego. Ale Gitarzysta zamor... był przy tym drugim morderstwie! zawołała Sylwia. Pomału, rzekł Zadkower, po nitce do kłębka milicja znajdzie dowody jednoznacznie wskazujące na Tumidaję jako na mordercę obydwu dziewczyn. Ważne, że jest ten świadek i że mają od czego zacząć. (Tumidaj więc odrzuca zabójstwo dwóch gitarzystów z zespołu „Szatany” i na ich miejsce wprowadza dwie zamordowane dziewczyny, ale w obu wypadkach chodzi o Sylwię, o dwa duszenia w wykonaniu prawdopodobnie Zadkowera, który teraz stara się zrzucić odpowiedzialność za nie na Tumidaję). No to co teraz będzie? Sylwia pochyliła głowę w beznadziejnej rozpaczy. Zupełnie nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Okropne! Boże, dlaczego akurat Tumidaj? A może ten ktoś się pomylił? I dlaczego od razu nie zawiadomił milicji? Woli szantażować Tumidaję i żądać pieniędzy, wyjaśnił Zadkower. Nie będę ukrywał, że to typ spod ciemnej gwiazdy. Za większą sumę, niż się spodziewa uzyskać od Tumidaję, może świadczyć przeciwko niemu. Gitarzysta podejrzewał go od samego początku, szepnęła Sylwia. Ja też miałam pewne wątpliwości, ale przecież to młody, obiecujący dziennikarz. Tacy są właśnie najgorsi, rzekł Zadkower. Chcą za wszelką cenę się wybić. Ale chyba nie mógł zrobić coś takiego? zastanawia się głośno Sylwia. Chociaż... Sama nie wiem... Zadkower sprytnie wyzyskuje przygnębienie dziewczyny, podchodzi do niej i bierze ją w ramiona. Proszę mnie puścić, Sylwia broni się słabo. Nie zwraca na jej protesty uwagi. Rozumiem pani trudną sytuację i szczerze współczuję, mówi pieszcząc roztrzęsioną dłonią jej aksamitne włosy. Ale nie wolno się załamywać. Mam trochę oszczędności przywiezionych z Ameryki, mógłbym pani pomóc. Tylko nie wiadomo, ile on będzie chciał. Na pewno tanio nie sprzeda swojej tajemnicy. Właśnie! szepce zmartwiona Sylwia. Skąd wziąć dużą sumę pieniędzy? Jedyna możliwość to jak najszybc-

ciej wyjechać, podpowiada jej zręcznie Zadkower, zaangażować się w Las Vegas do rewii i po miesiącu przykrywa pani tego ohydneho szantażystę dolarami, Jej-Gitarzysta zostaje uwolniony od podejrzeń, Tumidaj idzie za kratki, i wtedy pani może zrobić, co tylko zechce: zostać dalej w Las Vegas, wrócić do kraju w aureoli Międzynarodowej Gwiazdy, zabrać z sobą Jej-Gitarzystę, i tak dalej. Możliwości jest wiele, wszystkie ponętne. Tylko na razie nikomu o tym ani słowa. Im więcej osób będzie wiedzieć, tym mniejsze szanse powodzenia. Szantażysta w obawie o własną skórę może się wycofać. Błagam! przytuliła się do Zadkowera w gwałtownej potrzebie wsparcia od kogokolwiek.

Błagam, niech mi pan pomoże! Proszę mi zaufać, rzekł z powagą, patrząc jej w oczy, a przekona się pani, że na mnie można liczyć. Ufam panu, tak samo z powagą patrzyła w jego czerwone oczy. Naprawdę. Teraz jak najszybciej trzeba odnaleźć tego niegodziwca, powiedział. Postaram się zrobić to jeszcze dzisiaj. Przycisnął ją mocniej do siebie, czuł jej drobne piersi pod cienką tkaniną sukienki, rozkoszował się zapachem jej świeżo umytych włosów, wolno przesunął roztrzęsioną ręką po jej wąskich plecach... Genialna, pomyślał z nienawiścią. Dlaczego żadna z takich dziewczyn mnie nie chce? Na schodach rozległy się kroki i zaraz ktoś zapukał do drzwi, Sylwia gwałtownie odskoczyła od Zadkowera. Nikomu ani słowa! syknął. Dziewczyna nie zdążyła odpowiedzieć, kiwnęła tylko przytakująco głową i oto w pokoju znaleźli się jej nowo kreowani rodzice w towarzystwie Hrabiny, którą Tumidaj pasował na matkę Jej-Gitarzysty, a która będzie spełniać funkcję literackiego wyciskacza łez. Teraz w czerni, z wyrazem cierpienia na poblądłej twarzy, w rozświetlonym słońcem pokoju wyglądała żałośnie, jakby za chwilę miała upaść. Och! krzyknęła Sylwia przytulając się do niej. No, Felixie, powiedz coś, zwróciła się do męża Supergwiazda.

Chwileczkę! zaprotestował Felix, patrząc na domniamaną matkę domniemanego mordercy kobiet. Hrabina (czy pra-

wdziwa, czy fałszywa to się jeszcze okaże, Tumidaj co do tego jeszcze nie powziął decyzji), z nie widzącym wzrokiem utkwionym ponad głową łkającej na jej piersiach Sylwii, powiedziała martwym głosem: Nie ma sensu, abyś dłużej upierała się przy swoich zeznaniach (jakich znowu zeznaniach?). Narazisz się tylko na przykrości. Nieprawda!

krzyknęła Sylwia, przesyłając Zadkowerowi porozumiewawcze spojrzenie. Zadkower jednak udał, że tego nie widzi, wyjął papierosa i poczęstował Supergwiazdę. Hrabina mówiła dalej: Przemysleliśmy to dokładnie z twoimi rodzicami. Tak będzie lepiej dla ciebie. Wyjedziesz natychmiast.

Nie możesz teraz zadawać się z moim synem, na którym ciąży tak wielkie podejrzenia. Wszyscy uważamy, że tak będzie najlepiej, dokończyła głucho. Sylwia unosząc głowę z jej piersi patrzy z niedowierzaniem na Hrabinę, a potem wolno zaczyna się od niej odsuwać. Nie, nigdzie nie wyjadę! mówi z mocą. Zostanę w Sopocie i po trupach, ale wystąpię na festiwalu.

Koniec sceny. Tumidaj jest zadowolony, chyba poszło dobrze, Sylwia nie dała się ugiąć, chce wystąpić na Festiwalu i dopnie swego. Tylko czy to fortunne wyrażenie: „po trupach”? Po jakich trupach? W czasie Festiwalu nic takiego nie może się zdarzyć. Tak, oczywiście, trupów żadnych nie ma. Sylwia zniknęła, lecz żyje. To jest pewnik, od którego pod żadnym pozorem nie wolno odstępować.

Tumidaj, odświeżony po plaży (skropiony dosyć szczerze ulubioną wodą lawendową), już po obiedzie, pije właśnie drugą szklankę herbaty (też ulubionej) w kawiarni Grand Hotelu i obmyśla intensywnie dalszy ciąg wydarzeń.

Szkopuł w tym, że jakoś nie może sobie wyobrazić, nawet chwilowo, Jej-Gitarzysty jako dwukrotnego, wyrafinowanego mordercy dobrze zapowiadających się piosenkarek; więc teraz siedząc już nad drugą szklanką herbaty dopuszcza do swej skołatanej głowy wszelkie możliwe warianty uratowania Sylwii i triumfalnego wprowadzenia jej na estradę Opery Leśnej, stopniowo jednak eliminuje je, bo

żaden, nawet najbardziej karkołomny wariant go nie zadowala. A może by tak sygnąć prawdziwymi nazwiskami?

Powieść-plamflet na Festiwal sopocki! To by dopiero było!

Tylko kto by to odważył się wydrukować? A ile miałby procesów o zniesławienie! Bo teraz każda gąska uważa się za nietykalną królową, nie mówiąc już o nadętych gąsiorach — ci żywcem by go zadziobali.

Wobec tych niewesołych perspektyw Tumidaj wraca do całkowitej i głębokiej anonimowości swych postaci. Trzeba raczej się zastanowić nad tym, komu zależało na zniknięciu Sylwii. Wszystkim, czyli nikomu — to jest jedyna sensowna odpowiedź na to pytanie. Ale przecież nie można szanownego czytelnika zostawić w takiej beznadziejnej sytuacji, trzeba mu podrzucić coś do myślenia. Na pierwszy ogień pójdzie Reżyser. Gwiazda Numer Jeden chyba odpada (dlaczego?), odpada chyba także Gwiazda Numer Dwa (dlaczego?), tak po kolei odpadliby wszyscy, myśli Tumidaj, bo ciągle nie ma odpowiedzi na pytanie, dlaczego mieliby to zrobić. A może uprowadził Sylwię (jeśli ją rzeczywiście uprowadzono) ktoś zupełnie inny, wcale nie związany z Festiwalem? No tak, ale wtedy trzeba by zrezygnować z Supergwiazdy, Felixa, lecz Impresario Międzynarodowy przemieniony w Zadkowera mógłby zostać. To jest pomysł! Możliwości zresztą jest wiele i Tumidaj nie wiedział, że nie tylko on łamie sobie nad tym głowę. W każdym razie nie rezygnuje ze śledzenia bliższych i dalszych znajomych Sylwii, których udało mu się ustalić. Gdyby rozporządzał wszelkimi technicznymi możliwościami, którymi dysponuje milicja, miałby ułatwione zadanie. Wyobraził sobie, że jest szefem komórki dochodzeniowej, rozpracowującej zagadnienie opatrzone kryptonimem „Sylwia”, i ostro przystąpił do działania. Przede wszystkim każdy telefon z miasta, choć trochę wydający się podejrzany, nakazał kierować do swojego gabinetu, ciągle bowiem dudnił mu w uszach ochrypły, wyraźnie zmieniony głos tajemniczego informatora (bo zdaje się był jakiś taje-

mruczy telefon, w tego rodzaju sprawach zawsze są tajemnicze telefony). W skrytości ducha liczył, że ten właśnie głos, gdy tylko odezwie się ponownie, naprowadzi go na ślad prawdziwych porywaczy lub może nawet (co nie daj Boże) morderców.

Natarczywe krzyki tuż nad głową Tumidaja brutalnie przerwały rozmyślania i kiedy wrócił do szarej rzeczywistości, zobaczył przy swoim stoliku siedzących Gwiazdkę Numer Jeden (w zastępstwie Sylwii) i fotoreportera

O dźwięcznym przydomku „Wesołek”.

— Ach, to ty, Lolita! — zawołał Tumidaj nie bez zdziwienia.
— Czy zaszło coś nowego?

— Wiem, gdzie ukrywa się Sylwia — powiedziała. — To znaczy niedługo będę wiedzieć — poprawiła się szybko.

— Czy aby na pewno? — spytał Tumidaj.

— Wesołek wie, gdzie ona jest — mówiła Lolita, patrząc tajemniczo na Tumidaja, on zaś zerkał bezwiednie na Wesołka, jakby od niego spodziewał się odpowiedzi. Co ona znów knuje, myślał. **O** co jej tym razem chodzi? Lolita pochwyciła to jego spojrzenie, zerwała się z krzesła i niewiele myśląc (może lepiej — nie licząc się z gapiami zapelniającymi kawiarnię), uklękła, zarzucając Wesołkowi ręce na szyję. — Och, Wesołek, jaka jestem szczęśliwa! — wołała. — Zawsze wierzyłam, że Sylwii nic się złego nie stało — pocałowała go w obydwie policzki. — Czy mogę się z nią zobaczyć?

— W tej chwili to niemożliwe — rzekł Wesołek. — Ale na pewno tam jest.

— Gdzie? — spytał Tumidaj. — Czy może pan wreszcie powiedzieć?

— W tej chwili to niemożliwe — powtórzył Wesołek. — Jego zasób słów, jak prawie każdego fotoreportera, sięgał z trudem liczby trzydziestu.

Lolita powoli wstała z kolan i usiadła na krześle.

— Nie może — powiedziała — dał słowo honoru Sylwii,

że nikomu nie powie. Proszę mu wybaczyć, panie redaktorze, więcej na razie nie możemy panu powiedzieć, ale już niedługo... No, musimy już iść, pan Wesolek będzie mi robił zdjęcia na plaży i w wodzie — zakończyła uroczystie. Wstali jednocześnie. — I proszę więcej mnie nie męczyć przesłuchaniami — powiedziała — mam nadzieję, że mimo wszystko dobrze pan o mnie napisze — wyraziła ostatnie życzenie i nie czekając na odpowiedź, wybiegła z kawiarni, radosna i wiotka, Wesolek zaś, obwieszony aparatami fotograficznymi, posłusznie podążył za nią.

— Podejrzewam w tym coś niedobrego — stwierdził Tumidaj w zamyśleniu (półgłosem). — Ktoś cholernie nabiera tę dziewczynę.

Jej-Gitarzysta, od chwili zaginięcia Sylwii, chodził pijany. Właściwie z dwóch powodów: że Sylwia znowu zgodziła się śpiewać z jego zespołem (po rozbięciu przez niego w Non-Stopie „Szatanów”) i że raptem zniknęła — nie wiadomo dlaczego i gdzie się podziewa. Okazji do picia miał oczywiście niezliczoną ilość. Każdy z młodzieńców jako tako posługujący się elektryczną gitarą uważał za wielki zaszczyt napić się z kierownikiem „Płaczących Gitar”, a że Jej-Gitarzysta nie odmawiał, więc już dawno skutecznie pomieszał mu się dzień z nocą; teraz siedział, a właściwie zwiślał na krześle przy stoliku w Non-Stopie, lecząc się piwem, które jednak w tym wypadku działało jedynie jako utrwalacz alkoholu i Jej-Gitarzysta, w miarę opróżniania butelek z leczniczym płynem, stawał się coraz bardziej pijany. Mimo dość wczesnej godziny popołudniowej stolik, przy którym się kurował, otaczała spora gromadka jego wielbicieli, patrzyli na niego z uwielbieniem, starając się spełniać każde jego życzenie, mimo że Jej-Gitarzysta opędał się od nich jak od uprzykrzonych much.

Dopiero po dłuższej chwili zwrócił uwagę na kogoś, kto go bezceremonialnie szarpał za ramię. Jej-Gitarzysto, spójrz na mnie! To ja, Lolita! Słyszysz mnie? Udało mu się podnieść głowę i spojrzeć na nią spod przymkniętych powiek,

a nawet kiwnąć głową, że słyszy. Och, żeby tak się upić w biały dzień! jęknęła. Musisz zaraz iść ze mną. Rozumiesz? Znowu kiwnęła głową i nawet próbował wstać z krzesła, ale opadł bezwładnie z powrotem. Pomóżcie mi, chłopcy, zaprowadzić go do taksówki! Lolita zwróciła się o pomoc do wielbicieli Jej-Gitarzysty. Kilka rąk wzięło go pod ramiona i mimo niemrawych protestów poprowadziło do taksówki czekającej na ulicy przed wejściem do Non-Stopu. Musisz szybko wytrzeźwieć, powiedziała Lolita już w taksówce. Po co? wymamrotał. Wiem, gdzie jest Sylwia. Trzymają ją... urwała przed czujnym uchem taksówkarza. Trzymają ją gdzie? mamrotał Jej-Gitarzysta. Cicho, Lolita przesłała błądy uśmiech oglądającemu się przez ramię taksówkarzowi. Najpierw musisz wytrzeźwieć.

Tumidaj zakłada (dla komplikacji sytuacyjno-fabularnej), że Sylwii w każdej chwili grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. Z osób podejrzanych mordercą może być jedynie Zadkower lub... Kapitan Żegluga Wielkiej. Oczywiście niedoświadczony powieściopisarz wybrałby Kapitana, gdyż za tym wariantem przemawia sporo poszlak, Tumidaj zaś posługując się dziennikarsko-detektywistyczną metodą dedukcji i eliminacji, a także wyzyskując swe niewątpliwe odczytanie (w literaturze kryminalnej, oczywiście), wybrał Zadkowera, choć na razie nie zdradza się przed nikim (nawet przed samym sobą), dłaczego to robi, wiedząc bowiem, że jego domysły zostałyby odczytane jako próba przerwania podejrzeń na kogoś innego, gdy tymczasem właśnie on sam jest podejrzany. Przecież Zadkower cieszy się nieskazitelną opinią i Tumidaj nie ma przeciwko niemu choćby cienia dowodu (chwilowo, rzecz jasna). Postanowił jednak o taki dowód się postarać. Wprowadza do akcji Kapitana Żegluga Wielkiej z zadaniem udaremnienia ewentualnego morderstwa. Dzielną wilk morski idzie ulicą Ceynowy i z daleka już widzi siedzących w ogrodzie na wiklinowych fotelach Supergwiazdę, Felixa, Hrabinę i Zadkowera. Sylwii nie dostrzegł, więc okrążając willę, aby wejść

do ogrodu, zjrzał przez okna do wszystkich pokoi na parterze — tam też jej nie było. Pewnie jest w swoim pokoju na górze, pomyślał. Jej-Gitarzysta spał na tapczanie, leżąc na wznak z otwartymi ustami, chrząpał głośno; nagle na werandzie pojawiła się Sylwia. Szukał pani wszędzie, powiedział Kapitan wchodząc na stopnie werandy, ale dziewczyna odwróciła się na pięcie i umknęła przed nim, trzaskając za sobą drzwiami. Co jej się stało? Miał ochotę pójść za nią, lecz po namyśle postanowił nie narażać na wytrzeszcz oczu tamtych siedzących w ogrodzie i gapiących się na niego. Zapalił papierosa i jak gdyby nigdy nic podszedł do nich. Proszę, niech pan siada, Felix wskazał mu wiklinowy fotel, to piekielne słońce! Tutaj jest chociaż trochę cienia. Napije się pan może soku pomarańczowego?

zaofiarował swe usługi, sięgając po puszkę soku na stoliku. Prosto z lodówki. Chętnie. Felix przysunął się z fotelem do stolika i z dużym skupieniem zabrał się do ceremonii przelewania soku z puszki do szklanki. Kapitan pochwycił kpiące spojrzenie Zadkowera i targnęła nim gwałtowna złość, ale Felix w porę podał mu szklanekę z sokiem.

Proszę, rzekł. Sok pomarańczowy, lekarstwo na wszystko!

Więc Kapitan pił, wpatrując się ponad szklanką w złośliwe, nieruchome oczy Zadkowera, który bez wahania przyjął ten dziecinny pojedynek na spojrzenia, zresztą z góry pewien swej wygranej. Mecz jednak przerwano, albowiem tuż nad nimi niespodziewanie wyrosła ogromna sylwetka Jej-Gitarzysty. Cześć, panie Kapitanie! powiedział Jej-Gitarzysta zaspanym głosem, przecierając oczy i chwiejąc się na nogach. Zaszczyt to dla mnie, cholera, rozmawiać z prawdziwym marynarzem... Cześć! przerwał mu Kapitan skomplikowany wywód. Oblewa pan przyszły sukces Sylwii, co? Supergwiazda przysunęła do stolika ostatni wolny fotel. Siadaj, Gitarzysto, powiedziała, wyglądasz na bardzo zmęczonego. Jej-Gitarzysta wołał jednak położyć się na trawniku. Podparł jedną ręką ciężką głowę i wlepił dosyć zmęczony wzrok w Kapitana. Jej-Gitarzysto, może byś jed-

nak usiadł na fotelu? ozwała się wreszcie Hrabina, mozolnie pokonując barierę swego cierpienia. Przeziębisz się. Co zrobić? powtórzył niedowierzająco Jej-Gitarzystą, przenosząc zmęczony wzrok z Kapitana na matkę (rzekomą). W taki upał się przeziębisz? Noo... ma się ku wieczorowi, a wieczory nad morzem są zawsze chłodne. Hrabina z obrony przeszła do anemicznego ataku, ale dlaczego tyle piłeś, dziecko? Czy warto tak niszczyć zdrowie? Jej-Gitarzystą nie raczył odpowiedzieć, znów zwrócił oczy na Kapitana.

Cholera, piłem, patrzył na niego ponuro. Ale już jestem trzeźwy, w razie czego. W razie czego? rzucił podchwyliwie Kapitan. Ma pan na myśli jakieś wydarzenia? A jak tak, to co? spytał zaczepnie Jej-Gitarzystą. Takiś pan ciekaw? Pan Kapitan nie byłby znakomitym marynarzem, gdyby nie ciekawość, prawda? Felix pośpieszył Kapitanowi z pomocą. Ty, Jej-Gitarzysto, powinienes o tym pamiętać.

Marynarze słyną z dociekliwości. To ich pcha na morza i oceany całego świata. Gdyby nie ciekawość, Kolumb nie odkryłby Ameryki. Zadkower przesłał Kapitanowi czerwone, złośliwe spojrzenie. Wolno zapytać, w jaki sposób chce pan odkryć te... no, zbrodnie? Panie Wacusiu, proszę!

upomniwała go Supergwiazda. Nieruchome oczy Zadkowera spoczęły na Hrabinie. Och, przepraszam najmocniej, nigdy bym się nie ośmielił! Ale chyba wszyscy, jak tu jesteśmy, wiemy, że pani syn, czyli Jej-Gitarzystą, padł ofiarą fatalnej pomyłki, posądzają go o uduszenie dwóch piosenkarek, a on jest niewinny jak nowo narodzone dziecko. A może pan Kapitan jest innego zdania? znowu przesłał Kapitanowi to swoje złośliwe, czerwone spojrzenie. Niestety, marynarze na ogół zgadzają się z oficjalną wersją wypadków. Jeżeli odpowiada prawdzie, dodał spokojnie Kapitan. W tym wypadku obaj, pan i ja, wiemy doskonale, że mordercy trzeba szukać gdzie indziej, a raczej w kimś innym. My też to dobrze wiemy, Jej-Gitarzystą omiółł jednym szybkim spojrzeniem zebranych, a potem już nie spuszczał z oczu Kapitana. Nie potrzebujesz pan nas o tym pouczać. Jej-

-Gitarzysto! skarciła go Supergwiazda. Co za ton? Może pan Kapitan układa już sobie w głowie to, co zamierza zrobić, aby wykryć mordercę? Zadkower patrzył porozumiewawczo na Jej-Gitarzystę. Był, o ile wiem, w obydwu wypadkach na miejscu zbrodni jako jeden z pierwszych, jeżeli w ogóle nie pierwszy... No, no! zaprotestował Felix.

Nie posuwajmy się za daleko w przypuszczeniach. Tylko nie mieszać mi do tego Kapitana. Jest nam potrzebny do innych celów. Prawda to? Hrabina spojrzała pytająco na Kapitana. Nie wiedziałam, że pan pierwszy... Pierwszy po mordercy, odparł ostro Kapitan. Właśnie na tym polega moje nieszczęście, że ja osobiście muszę zdemaskować zbirą, aby siebie oczyścić z wszelkich podejrzeń. Cholerne nieszczęście! stwierdził sarkastycznie Jej-Gitarzysta. Dać się złapać na miejscu zbrodni i wykręcić się sianem! Fajne, nie? Pan Kapitan ma żelazne alibi na jedno z tych morderstw, wyjaśnił Felix. Tak twierdzi Zadkower, ale jeśli chodzi o drugie... Cholerne nieszczęście! ciągnął zajadle Jej-Gitarzysta. Chcieć posadzić za kratki niewinnego faceta i mieć jeszcze czelność dowalać się do jego dziewczyny! Kapitan wstał raptownie z fotela, zaciskając pięści. Jak mam to rozumieć, troglodyto? Normalnie, Jej-Gitarzysta podnosił się leniwie z ziemi, świadom swej przewagi fizycznej. Chyba jasno się wyraziłem, nie? Felix jednak w porę zażegnał sytuację. Klasnął w dłonie, wstając z fotela. Zapomniałem o kolacji! zawołał wesoło. Żołądek przysechł mi już do krzyża, a tobie, Jej-Gitarzysto?

Można coś przekąsić, zgodził się wspaniałomyślnie Jej-Gitarzysta, kontynuując niezwykle skomplikowaną czynność podnoszenia się. Och, już się ściemnia! Jak ten czas leci!

pisnęła Supergwiazda. Chodźmy do środka. Ujęła Zadkowera pod rękę. No, proszę, panie Wacusi! Na mnie już czas, skłonił się Kapitan, dobranoc państwu. To nie zostanie pan z nami na kolacji? spytała kurtuazyjnie Supergwiazda. Dziękuję, niestety, nie mogę. Dobranoc państwu.

Uklonił się jeszcze raz i ruszył do wyjścia. Gdy okrzyk

wille, by wyostać się na ulicę, usłyszał za sobą czyjeś szybkie kroki. To był Jej-Gitarzysta. Chcesz zobaczyć, jaki cios ma troglodyta? szepnął ze złością. Już dawno nikomu nie dałem w dziób. Kapitan błyskawicznie chwycił wycelowaną w siebie pięść i zastosował chwyt, którego nauczył się, odwiedzając porty Japonii. Jej-Gitarzysta sycząc z bólu przykleknął na jedno kolano, wtedy Kapitan za pomocą innego chwytu z łatwością powalił go na ziemię i korzystając z zapadających ciemności, spiesznie oddalił się, zanim oszołomiony Jej-Gitarzysta zdołał ruszyć w pogoń. Dobrze to zrobił, przyznał z uznaniem Jej-Gitarzysta. Ciekawe, gdzie się tego nauczył? Ale i tak nic mu to nie pomoże. Niech go tylko dopadnę. Kapitan przechodząc pod nie oświetlonym, otwartym na rozcień oknem, odruchowo zająrzył do środka pokoju. Leżąca na tapczanie dziewczyna zaznaczała się w półmroku jedynie jaśniejszą plamą sukienki. Tknięty złym przeczuciem, szybko wskoczył przez okno do pokoju. Dopiero z bliska zobaczył Sylwię leżącą w jakimś dziwnym skrucie ciała, z opuszczoną głową i spadającymi na twarz włosami. Trzecie morderstwo, pomyślał instynktownie. I znowu jestem pierwszy na miejscu zbrodni.

Podniecenie ogólne przeszło falą, zachwiało Sopotem — moja pani, moja pani, co też się dzieje, co też się dzieje, co też wyprawiają na tym festiwalu, podobno ją zamordowali albo uciekła z zagranicznym milonierem, różnie ludzie mówią, jest w ciąży, miała skrobankę, jeszcze nie, Reżyser nie chciał jej dopuścić, bo chciał ją do łóżka, a ona nie chciała, a ta Gwiazda Numer Trzy z tym brodatym Przebojowcem! Niech pani leci do Opery popatrzeć, co tam się dzieje, bo jutro już będzie wszystko za bilety, a drogie, psia mać! na czyją to kieszeń? Tłumek żądny sensacji kotłuje się przy Grand Hotelu, zalega deptak na Monte Cassino, szturmuje Operę Leśną, gdzie ciągle odbywają się próby — jutro wreszcie premiera!

— Chcę ci coś powiedzieć — Lolita ujmuje Tumidaję

pod rękę i odprowadza na bok, ale oto pojawia się Jej-Gitarzysta (tutaj? w Operze?), więc Lolita odsuwa się prędko, Gitarzysta patrzy na nich, raczej jest to tylko kierunek patrzenia, wzrok ma szklany, niewidzący, usiłuje iść prosto, usztywnił się, postąpił kilka kroków, nagle wstrząsnęło nim, zatrzepotał rękami i jeszcze idąc w ich stronę, już odwrócony gwałtownie, w takim pochyłym pół biegu, pół przewracaniu się wpadł znowu do łazienki.

Złamało go — powiedział Tumidaj — widać za dużo wypił.

— Założył się z Głównym Zapowiadaczem, że go przetrzyma — wyjaśnia Lolita — oto rezultat.

— Niech idzie do domu — mówi Tumidaj.

— Teraz nie może.

— Co go tu zatrzymuje?

— Czeka na Sylwię. Czeka, aż sama do niego przyjdzie. Nie będzie wiecznie latała za nią, niech ona teraz zrobi pierwszy krok. — I koniec. Nic więcej.

Jej-Gitarzysta wychodzi z łazienki, w nagłym pośpiechu doskakuje do Lolity, bierze ją pod rękę i wprowadza do baru. Tumidaj idzie za nimi. Szepcą między sobą, Jej-Gitarzysta usiłuje tańczyć w rytm melodii dobiegającej z estrady (gdzie wiecznie trwają próby), ledwo trzyma się na nogach. Do Tumidaja docierają tylko pojedyncze słowa: „jest zmęczona, odmawia...” Zjawia się Gwiazdor Drugi, skończył akurat próbę, jest bez marynarki, koszula rozchełstana, usiłuje wepchnąć ją za pasek, wodzi błędnym spojrzeniem po współkonkurentach, resztki włosów mokre, spocił się mocno. — Uczesz się — mówi ktoś, nie słyszy, stoi w drzwiach, ciągle mocując się z tą koszulą, to jest próba generalna, na premierowym koncercie też wystąpi bez marynarki i w trakcie śpiewania wyciągnie koszulę ze spodni, śpiewa własny protest-song i to jest uzupełniający protest-gest (tak przynajmniej tłumaczył to na konferencji prasowej). — To nie ja, to nie ja — mamroce

Gwiazdor Drugi, widząc Tumidaję. Młodzi chłopcy z obsługi telewizyjnej śmieją się, więc Jej-Gitarzysta odwraca się, biegnie do niego takim pijackim zakosem, chwytając za ramiona i wyprowadza z baru.

— Lolita, biegnij do pomocy! — krzyczą chłopcy telewizyjni, i znowu ten śmiech chóralny, śmieją się całą gębą. Lolita stoi pośrodku baru, obraca się wokół własnej osi, zapewne w poszukiwaniu jakiejś zyczliwej twarzy, przed którą mogłaby wytoczyć pozór usprawiedliwienia, i gdy tak się obraca, wściekła przeraźliwie, powtórzono: — Lolita, biegnij, bo przyjdzie Sylwia i zabierze ci Jej-Gitarzystę. — I znowu ten śmiech chóralny, wrogi, cieszący się, Lolita wybiega, niektórzy biegną za nią, Tumidaj nie nadaża za rozwojem sytuacji, wie tylko, że Sylwię musi przywrócić do życia.

Kapitan pochyła się nad nią, odgarnia jej rude włosy z twarzy i stwierdza z ulgą, że Sylwia oddycha, że po prostu śpi, więc delikatnie unosi jej głowę i kładzie wygodnie na tapczanie. Sylwia poruszyła się niespokojnie, a kiedy na moment otworzyła oczy i zaraz z wyraźnym przestachem je zamknęła, Kapitan nie chcąc bardziej komplikować swojej i tak już mocno skomplikowanej sytuacji, opuścił pokój tą samą drogą, jaką wszedł. Sylwia dopiero teraz, z sennym opóźnieniem, poznała w pochylonej nad nią przed chwilą ciemnej postaci Kapitana, krzyknęła przeraźliwie, i już w oknie tkwiła barczysta sylwetka Jej-Gitarzysty. Jestem, szepnął tubalnie, zeskakując z parapetu, jednym susem doskoczył do tapczanu, zapalił lampę na stoliku i z troską przyjrzał się dziewczynie.

Krzyczałaś? Gdzie Kapitan? spytała. Nie wiem, powiedział rozłoszczony, niech go cholera! Ale czego ty właściwie od niego chcesz? Dostawia się do ciebie, czy co? Gorzej, odparła tajemniczo. A co z tym mordercą? usiadł przy niej na tapczanie. Zdaje się, że coś mówiłaś, ale byłem pijany.

Później się wszystkiego dowiesz. Ale miałaś powiedzieć.

Właśnie, Sylwia unika jego pytających spojrzeń. Nie

chciałabym jednak przedwcześnie... Rozumiesz, jestem związana słowem. Dobra, wstał. Chodźmy na kolację. Na kacu zawsze potwornie chce mi się jeść. Ruszył do drzwi.

Zaczekaj, a kiedy zatrzymał się, spytała: Widziałeś tu kogoś? Tutaj, w pokoju? zdziwił się, kiedy? Chyba coś mi się przysniło, rzekła w zamyśleniu. Możliwe, potwierdził.

Darłaś się wniebogłoso. Uważaj, bo gardło sobie popsujesz i nie będziesz mogła wystąpić.

Tumidaj nie nadaża. Przyznaje to ze skruchą, samokrytycznie. Szeptane wiadomości, plotki, ploteczki, te zza kulis Opery Leśnej i te z Grand Hotelu, te z plaży i z deptaka, z konferencji prasowych i poufne, najświeższe wiadomości od gwiazd i gwiazdeczek, wszystko to miesza się z sobą, nakłada na obrazy powołane do życia jego bujną wyobraźnią, początkowo szło dobrze, a teraz stwierdza ze skruchą, że nie nadaża, nie panuje już nad materiałem powieściowym, nie panuje już w ogóle nad niczym, nie potrafi już odpowiednio segregować i przetwarzać tej dziwnej substancji (zalewającej go zewsząd ogromnymi, wartkimi strumieniami), jaką jest życie. Normalne, zwykłe życie, ot choćby tak banalne, jak to w Sopocie przed Festiwałem Piosenki (a co to będzie, kiedy wreszcie Festiwal już się rozpocznie?!).

Tumidaj ma chwilę oddechu, na razie nic szczególnego się nie dzieje, na estradzie Gwiazdor Numer Osiem próbuje jakąś charakterystyczną piosenkę, wspierając się (nie wiadomo czemu) na wielkiej lasce, Reżyser śmieje się z tego, mówi, że wspaniały numer, więc wszyscy są przekonani, że publiczności nie będzie się podobać (bo jak się bawią artyści, to publiczność nie, i odwrotnie — tak się mówi za kulisami). W barze bufetowa przestawia kieliszki z miejsca na miejsce i w jakimś zniecierpliwieniu czy może przestachu spogląda na Tumidaję, jacyś faceci i kobiety jedzą kanapki, a może nieśmiertelny bigos? Badylarz smętnie rozgląda się, ziewając, nie ma kogo atakować, wszystkie piosenkareczki są już mocno przejęte występem

i zaloty bogatego Badylarza im nie w głowie (przynajmniej w tej chwili).

— Słyszał pan, co tu plotą o tej Sylwii? — Badylarz wszczyna rozpaczliwą rozmowę z Tumidajem. — Podobno nie chce wystąpić na festiwalu, bo jej za mało płacą. Panie, żeby taka młoda dziewczucha robiła fochy, dawniej to było nie do pomyślenia! Ja tam z moimi córkami się nie cackam, od samego świtu pędzę do roboty przy inspektach.

Wie pan, ile mam hektarów pod szkłem? — Tumidaj kiwa przytakująco głową, chce, żeby Badylarz mówił dalej. — A tej tu smarkuli stawka za mała! Co pan na to? Jak jej mało, to niech sobie dorobi innym sposobem.

Nagle wpada Gwiazdka Numer Trzy, kiwa na Badylarza, ten ochoczo podąża za nią. Tumidaj idzie za nim, maże wreszcie od niego dowie się prawdy o zaginięciu Sylwii? W drzwiach jednak zatrzymuje go fotoreporter Wesolek. Trzyma w ręku duży kuchenny nóż, w drugiej ręce pajdę chleba i kawał kiełbasy. — Nie widziałeś Lolity? — pyta.

— Ona śledzi mordercę — odpowiada Tumidaj. Szeptem, żeby nikt nie słyszał.

— Skąd wiesz, że morderca jest tutaj? — zapytuje Wesolek tak samo szeptem.

— Zawiadomiono mnie o tym — mówi Tumidaj.

— Kto?

— Sam bym chętnie się dowiedział.

— A wiesz, kto jest tym mordercą?

— Właśnie czekam, aż się zdradzi.

— A kto jest ofiarą? — pyta rzeczowo fotoreporter, zajadając kiełbasę.

Tumidaj nie chce się ośmieszyć do końca, więc nie mówi, że Sylwia, daje jakąś wymijającą odpowiedź, a fotoreporter na to szepce: — Dobra — i dodaje: — Chodź ze mną. Zaspokoję twoją ciekawość.

— W porządku — zgodził się Tumidaj.

Wesolek z nożem w ręku chodzi od gwiazdy do gwiazdy,

od gwiazdora do gwiazdora, a Tumidaj za nim, wreszcie podeszli do Recenzenta Wszechmocnego, Wesolek przystawił mu nóż do wydętego brzucha.

— Ale wybuch będzie — powiedział.

Recenzent kryguje się dowcipkując, odsuwa się jednak przezornie. Gwiazda Numer Cztery próbuje zabrać Wesolekowi nóż, strachliwie łapie za trzonek, Wesolek szarpie, Żona Reżysera odskakuje z głośnym piskiem.

Wesolek podchodzi do Gwiazdy Numer Jeden, nóż podtyka jej pod nos.

— Powąchaj, czym to pachnie — mówi.

— Kielbasą — odpowiada Gwiazda Numer Jeden, wielce ubawiona.

— Kielbasą! — woła Wesolek — jeszcze zobaczymy! — Teraz podbiega do Jej-Gitarzysty. — Wracaj szybko do siebie, ty aniołku boży! — woła.

Jej-Gitarzysta pół leżąc, pół śpiąc siedzi złamany w krześle, wylupia na Wesolka oczy.

— Gdzie podziałeś Sylwię? — woła Wesolek potrząsając go za ramiona.

— Wszystko jest jak trzeba — mamroce Jej-Gitarzysty.

Do baru zajrzał Konferansjer, Wesolek pogroził mu nożem, wycofał się.

— Liczę na was, kolego — powiedział Wesolek do Jej-Gitarzysty, klepiąc go w plecy.

Dalej robił obchód, a Tumidaj za nim. Zabawa trwała na całego, wszyscy pokładali się ze śmiechu, młode gwiazdeczki galopowały od faceta do faceta, bo wszyscy tu byli ważni, od wszystkich wszystko zależało i one wszystkim wszystko ochoczo ofiarowywały, byle tylko posunąć się o szczebel wyżej w swej karierze.

— Przeszkadzacie mi! — woła Wesolek. — Ja was zaraz stąd wygonię! — Tupiąc nogami i wymachując nożem goni rozjazgotane gwiazdki. — A sio, a sio, kokoszki bezmózgie! — woła.

Biegają jeszcze bardziej ochoczo i jeszcze bardziej zadowolone.
— Bawią się — powiada sarkastycznie Przebojowiec. — Balowanc-
cy! Daj im szkołę, Wesołek!

Fotoreporter zakreślił nożem nad głową.

— Jazda mi stąd! Ale jazda! Bo jak dopadnę, jak wyjmę kindżał, bę-
dziecie się strasznie cofać, och, jak strasznie!

Wesołość sięgnęła zenitu. Wesołek z tym nożem rozkręcał się coraz
bardziej, wywijał, rąbał nad głową, taniec wykonywał ognisty, niektó-
rzy naśladowali go, podobała im się ta zabawa.

— Relaks przed występem — mówi Gwiazdor Numer Dwa — to
dobrze robi takie oderwanie się od festiwalu.

Teraz wszyscy tańczą wokół Wesołka.

— Zaraz po uszach będę ciął — woła wymachując nożem. — Wszy-
scy jesteście mordercami Sylwii, więc poobcinam uszy mordercom!
Niespodziewanie zjawia się Lolita, powiada dobrotliwie:

— Nieprawda. Morderca jest tylko jeden i ja go znam.

— I ja, i on, my wszyscy znamy mordercę! — woła Wesołek, wska-
zując nożem po kolei na współzabawowiczów. — Każdy jest mordercą,
póki Sylwia nie wystąpi na festiwalu.

— Tak — śmieje się Lolita — ale ja mówię poważnie.

— Morderca jest tylko jeden i ja wiem, kto nim jest. Znajduje się
wśród nas.

Wesołek przestaje się kręcić, tańczący wokół niego zatrzymują się
również. Uspokoilo się trochę.

— Pokaż go! — woła Wesołek z udaną powagą. — Zaraz go pożre-
my!

Inni wtórują mu: — Pożremy! Pożremy!

Lolita teraz zachowuje powagę, mówi:

— Chcę pomóc mordercy. Czekam, aż dobrowolnie odda się w na-
sze ręce. Niewątpliwie sąd weźmie to pod uwagę.

— Już leczę! — woła Wesolek radośnie, przebiera w miejscu nogami, wszyscy wybuchają głośnym śmiechem.

— Ja mam niezbite dowody — mówi Lolita spokojnie. — Kawalek papieru, tam są pewne informacje o mordercy.

Gwiazda Numer Jeden wysunęła się do przodu, było widać, że jest zdenerwowana. Przestali się śmiać, patrzyli na nią.

— Masz dowody? — spytała drżącym głosem — jakie?

— Chcemy je zobaczyć.

— A więc dobrze — Lolita nie traciła spokoju — jak tego chcecie... — Powoli otwiera torebkę. Wszyscy śledzą jej ruchy, robi to bardzo wolno, nikt się nie śmieje. Napięcie gwałtownie rośnie.

Tumidaj pomyślał, że ten, kto pierwszy przerwie milczenie, jest mordercą i krzyknął: — Moja delegacja! — bo właśnie Lolita wyjęła z torebki jego delegację służbową. — Podbiegł do Lolity, próbował wyrwać jej delegację z ręki, ale w tym samym momencie skoczyli na niego, powalili na ziemię, tarmosili go krzycząc i śmiejąc się: „Morderca!

„morderca!” Wreszcie odstepili, Tumidaj wstał, był wściekły. Spojrzał na Lolitę, stała obok, trzymała w ręku jego delegację, podała mu, sprawdził — zgadza się, jego delegacja. Tego było już za wiele!

— Skąd ją masz? — spytał.

— Znalazłam przed chwilą — odpowiedziała.

— Nie róbcie ze mnie wariata! — wybuchnął Tumidaj.

— Ciszej! — syknęła Lolita. — Jak chcesz pomóc Sylwii, to udawaj, że to cię bawi. Teraz każda chwila jest droga. Rób dalej swoje, zbieraj wszelkie wiadomości, a wyrośniesz na wielkiego dziennikarza.

Nie wiedział, czy kpi, czy mówi poważnie, nie zdążył jej o to spytać, bo już był koniec przerwy w próbach i Lolita razem z innymi wybiegła z baru. Został tylko fotoreporter Wesolek z nożem i kawałkiem kiełbasy w ręku, ale z nim Tumidaj jakoś nie miał ochoty rozmawiać. Poszedł na swoje miejsce w amfiteatrze i postanowił już nie

myśleć o Sylwii, nie było to jednak takie łatwe, za bardzo się zaangażował, teraz nie było już odwrotu, tym bardziej że nie rozprawił się jeszcze do końca z Zadkowerem, którego najbardziej nie cierpiał ze wszystkich swych postaci.

Więc posła Kapitana Żeglugi Wielkiej, aby dał mu nauczkę.

Kapitan przyczajony po drugiej stronie ulicy czeka cierpliwie, aż tamci skończą jeść kolację. Musi jednak kluczyć między domami, gdyż w pewnym momencie natknął się niespodziewanie na dwóch ludzi Zadkowera, którzy pilnują dyskretnie willi. Mija ich szybko z pochyloną głową, lecz dostrzega kątem oka, jak jeden z nich trąca łokciem drugiego i mówi coś szeptem, a potem obaj przystają i patrzą w ślad za nim. Kapitan przyspieszył kroku, skręcił w pierwszą lepszą uliczkę, obszedł z daleką willę i wrócił na ulicę Ceynowy od strony kortów. Teraz miał się na baczności, wpięrw upewnił się, czy gdzieś nie kręcą się tamci dwaj i gdy stwierdził, że nie ma ich w pobliżu, ostrożnie zbliżył się do willi. Nie czekał długo. Hrabina, Zadkower i Jej-Gitarzysta pojawili się na oświetlonym ganku, potem wyszedł Felix, rozmawiali chwilę, potem Hrabina, Zadkower i Jej-Gitarzysta wyszli na ulicę. Ruszyli w kierunku Grand Hotelu. Kapitan w bezpiecznej odległości podążył za nimi. Przed hotelem Jej-Gitarzysta pożegnał się z tamtymi i gdy tylko zawrócił od drzwi, natknął się na Kapitana. Hej, Jej-Gitarzysto! zawołał wesoło Kapitan, jak gdyby nic między nimi nie zaszło. Nie idziesz do Non-Stopu.

Tam odbywa się twój pogrzeb. Idź i zobacz, jak grają „Szatany”. Jej-Gitarzysta zaniemówił. Spojrzał na Kapitana z miną tak głupią, że Kapitan nie mógł sobie odmówić przyjemności zadzwienia z niego: Coś taki zdziwiony? Nie lubisz słuchać Sylwii? Przecież ona z nimi śpiewa. Obejrzał się, gdy był już przy drzwiach Grand Hotelu, Jej-Gitarzysta ciągle stał w tym samym miejscu w tępych zdumieniu, z rozdziawionymi ustami. Kapitan nie musiał pokazywać portierowi żadnego znaczka, aby wejść do Grand

Hotelu, wystarczył jego galowy mundur kapitański. Wziął klucz z recepcji (Kapitan mieszka w hotelu, mieszka tu również Zadkower i Hrabina, w willi zostają tylko Supergwiazda, Felix i ich córka Sylwia, nie wypada bowiem, aby Supergwiazda dzieliła z kimkolwiek mieszkanie, poza, oczywiście, własną rodziną) i pośpieszył do windy, do której właśnie wsiadali Zadkower i Hrabina. Na korytarzu obaj odprowadzili przygnębiłą matkę Jej-Gitarzysty do drzwi apartamentu, a kiedy weszła do środka, Zadkower powiedział: Biedna kobieta! Może nie powinniśmy zostawiać jej samej? Syn morderca, i to dwukrotny, to chyba ponad siły każdej matki. W ogrodzie, o ile dobrze pamiętam, był pan innego zdania, rzekł Kapitan. No cóż, Zadkower obłudnie współczuł Hrabinie: Nie chciałem robić przykrości tej zrozpaczonej kobiecie. Szli dalej korytarzem w milczeniu, przed drzwiami swego pokoju Zadkower zatrzymał się. To mój pokój, powiedział. Chyba nie ma pan do mnie urazy za to tam w ogrodzie? Mieszka pan na tym piętrze?

Kapitan nie odpowiedział na pytanie. Myślałem, że wyżej.

Ten pokój lepszy, wyjaśnił Zadkower. Zresztą przeprowadziłem się, żeby mieć pana na oku, wykrzywił tę swoją wiecznie uśmiechniętą twarz w grymasie mającym oznaczać perlisty śmiech, w rezultacie tylko zachichotał cienko.

Odpowiada to panu? Odpowiada, rzekł Kapitan, mieszkam kilka pokoi dalej. Ciekawe, co z tego wzajemnego śledzenia wyniknie? Chyba kolejne morderstwo, Zadkower zaśmiał się tym razem krótko, chrapliwie. Teraz będzie ofiarą mężczyzna, jeżeli nie przestanie pan interesować się Sylwią. Już Jacuś pana załatwi! Cześć! Wszedł do pokoju. Kapitan odczekał, aż Zadkower zamknie za sobą drzwi, a potem szybko zawrócił, zbiegł po schodach, nie czekając na windę, minął recepcję, nie oddając klucza, i wyszedł na ulicę. Zadanie, jakie przed sobą postawił, było jasne: odszukać Jej-Gitarzystę! Co znaczyły słowa Zadkowera: „Już Jacuś pana załatwi”? Czyżby Jej-Gitarzysta nie był Jej-Gitarzystą, a kulturystą Jackiem?

Zadkower stojąc w pokoju przy drzwiach niecierpliwie spoglądał na zegarek. Kiedy usłyszał szybkie, oddalające się kroki Kapitana, odczekał jeszcze chwilę, ostrożnie uchylił drzwi i wyjrzał na korytarz. Gdy stwierdził, że nie ma tu nikogo, tak samo ostrożnie wysunął się z pokoju, zamknął drzwi i nadal zachowując ostrożność, zszedł po schodach do hallu i również nie oddając klucza w recepcji, skierował swe kroki do restauracji hotelowej, a stamtąd wyszedł na ulicę. Spojrzał na zegarek — dochodziła godzina dwudziesta druga.

Sylwia z rodzicami ogląda telewizję. Felix zaśmiewa się z perypetii filmowego komika, Supergwiazda, wyraźnie znudzona, ziewa ostentacyjnie, Sylwia zaś ukradkiem i niecierpliwie spogląda na zegarek. Za pięć dziesiąta wstaje z fotela. Nudzi mnie to, całuje Supergwiazdę w policzek, idę do swojego pokoju. Felix cmoka ją w czołko i Sylwia przesadnie wolno, by nie wzbudzić podejrzeń, wychodzi z pokoju. Już przedtem włożyła miękkie tenisówki i teraz bezszelestnie, jak duch, zjawia się na werandzie i nadal jak duch płynie przez ogród do altanki. Przed wejściem do środka przystaje, nasłuchuje chwilę, potem wchodzi i zaszywa się w najodleglejszym kącie, drząc na całym ciele.

Słyszy po chwili czyjeś skradające się kroki, ktoś cicho staje w progu, zasłaniając sobą jaśniejszą plamę otworu wejściowego, tak że teraz wewnątrz altanki panuje zupełna ciemność. To Tumidaj, myśli Sylwia z lękiem. Skąd wiedział? Po co tu przyszedł? Przyłgnęła do ściany, starając się nie oddychać w nadziei, że jej nie zauważy, lecz ciemna postać zbliża się do niej wolno, nieubłagannie, a kiedy poczuła dotknięcie w ramię, krzyczy zdławionym głosem: Morderca! morderca! To ja, szeptem Zadkower, proszę się uspokoić. Gwałtowne odprężenie, jak zwykle u kobiet, zamienia się w łzy, więc Sylwia pochlipując, wyznaje szczerze: Och, myślałam, że to Tumidaj lub Kapitan przyszli mnie... Och, myślałam, że umrę ze strachu. Nieruchome, czerwone oczy Zadkowera spoczęły na jej rudych, roz-

puszczonych teraz włosach, a potem spłynęły na jej opalone, wysoko odkryte uda, ledwo zarysowane w ciemnościach, ale tym bardziej niepokojące. Tylko cudowne włosy i gołe nogi, rozkoszuje się widokiem dziewczyny ciągle przywierającej nieruchomo do ściany. Przy odrobinie wyobraźni można ją zobaczyć nago. To ja, powtórzył, przyszedłem tak, jak było umówione. No i co? spytała łkając, rozmawiał pan z nim? (chodzi o tego szantażystę, o którym opowiadał dziewczynie Zadkower). Czerwonooki pochylił się nad nią i szepnął złowieszczo: Nic z tego, zdradziłaś nas. Nie! zaprzeczyła gorąco, nikomu nie powiedziałam ani słowa. Kłamiesz! chwycił ją za ramiona i potrząsnął. Spodziewałaś się Tumidaja lub Kapitana, dlaczego?

Wcale nie! protestowała płacząc. Tylko się przestraszyłam, jak pan wszedł. Przysięgam na wszystko, że nikomu nic nie powiedziałam. Chciałam tylko powiedzieć Jackowi o tym świadku, wyznała ze skrucą, gdy nadal potrząsał ją za ramiona, ale się rozmyśliłam. Co mu powiedziałaś?

dwoma palcami uniósł jej brodę, próbował spojrzeć jej w oczy. No, tylko nie kłam! Że znalazł się prawdziwy morderca tych chłopaków z Non-Stopu. I co jeszcze? pytał niecierpliwie. Dałam mu do zrozumienia, że jest nim Tumidaj lub Kapitan. I żeby go pilnował. Kogo? spytał. Tumidaja. A co z Kapitanem? Nie wiem. To już niech pan załatwi. Powiedziałaś, skąd wiesz o tym? Nie. Powiedziałam, że wkrótce wszystko się wyjaśni... Rozmawiał pan z tym świadkiem? powtórzyła nieśmiało pytanie. No i co?

Rozmawiałem, powiedział, ale chyba nic z tego. Boże! jęknęła zdruzgotana. Pochyliła głowę, opierając się czołem o jego ramię. Co teraz będzie? On chce po prostu dużo pieniędzy, wyjaśnił spieszenie. Sto tysięcy dolarów. Ja dysponuję w tej chwili dziesięcioma tysiącami. Sama widzisz, że to znikoma suma. Otepiła i załamana nie była teraz zdolna do podjęcia jakiegokolwiek decyzji. Stała z głową wspartą na jego ramieniu, nie zareagowała nawet, gdy pocałował ją w policzek. Gdyby mieć jakieś kosztowności,

podsunął jej myśl, może wzięłby na razie w zastaw. Kosztowności? ożywiła się, podnosząc głowę. Mam pierścionek z brylantem. To wszystko mało, powiedział Zadkower.

Supergwiazda nosi taki okropny naszyjnik za dwieście tysięcy dolarów, podsunął, gdyby zechciała ci go pożyczyć...

Sylwia czuła, jak palący rumieniec oblewa jej twarz, pochyliła głowę, choć Zadkower i tak nie mógł tego zobaczyć. W żadnym wypadku! zaprotestowała oburzona. Co to, to nie! W porządku, zgodził się nadspodziewanie szybko.

Mam inny plan, posłuchaj. Objął ją czule, pewny, że go nie odtrąci. Wezmiesz swój pierścionek, ja wezmę swoje dziesięć tysięcy dolarów i pójdziemy do niego oboje. Może wspólnie znajdziemy jakieś inne rozwiązanie, a jeżeli nie, powiemy, że resztę dostanie po złozeniu na milicji zeznań obciążających Tumidaję, a zarazem wybielających Jej-Gitarzystę, a jeśli nawet i na to się nie zgodzi, wtedy po prostu użyjemy szantażu jako ostatecznej broni. Będzie nas dwoje, już się nie wywinie. Odpowiada ci to? Tak, powiedziała cicho i wymknęła się z jego objęć. Wszystko mi odpowiada, co może oczyścić Gitarzystę. Jest niewinny.

Wiem, powiedział Zadkower, to wszystko przez tego wścibskiego Tumidaję. Kiedy się spotkamy z tym świadkiem?

spytała. Chciałabym jak najszybciej, nawet teraz. Dzisiaj już za późno. Zadkower spojrział na świecąca tarczę zegarka. Jest już pół do jedenastej, zanim go znajdę... Nie wiem, czy możesz wyjść w nocy? Oczywiście, powiedziała bez namysłu. W każdej chwili. Tylko jak cię zawiadomić? zastanawiał się. Najlepiej telefonicznie, poradziła. To niebezpieczne, odrzekł. Może ktoś podsłuchać naszą rozmowę i wszystko popsuć. Nie ma obawy, przekonywała go z zapałem. Telefon stoi w moim pokoju, Gitarzysta często dzwoni, rozmawiamy sobie... Nikt nie będzie wiedział, naprawdę! A rodzice? Spia jak zabici, prychnęła lekceważąco.

Felix tak chrapie, ze słychać w całym Sopocie. (Skąd, biedaczka, mogła wiedzieć, że willi pilnuje dwóch goryli podległych właśnie Zadkowerowi). Dobrze, zgodził się po na-

myślę, jak tylko odnajdę tego faceta, zaraz do ciebie zadzwonię. Zrobił krok do przodu, wyluskując z ciemności dziewczynę swymi nieruchomymi, czerwonymi oczami gada. Tylko nie wzięliśmy jednej rzeczy pod uwagę. Czy on w ogóle będzie chciał się z nami spotkać? Musi, powiedziała z mocą. Błagam, niech go pan zmusi! No to pocałuj mnie za powodzenie naszej akcji, pochylił się w oczekiwaniu, Sylwia ociągając się cmoknęła go w policzek. A teraz w drugi, rzekł stłumionym, ochryłym głosem. Zrobiła to. No a teraz idź do domu, rozkazał ochryple. I pamiętaj, czekaj na telefon przy zgaszonym świetle i uważaj, jak będziesz wychodzić, żeby się ktoś za tobą nie przywłókł.

A gdzie się mamy spotkać? spytała. Zupełnie o tym zapomnieliśmy. To będzie zależało od niego. Powiem ci przez telefon. No, idź już! klepnął ją lekko w plecy. I pamiętaj, nikomu ani słowa! Wiotka i chyża, wymknęła się z altanki i bezszelestnie w swych miękkich tenisówkach popłynęła ścieżką do willi. Zadkower wlepił nieruchome, przekrwione oczy w oddalającą się dziewczynę; wyszedł z altanki dopiero, gdy jej rdzawe włosy zamajaczyły na werandzie i znikły.

Kapitan daremnie kluczył po całym Sopocie próbując zgubić Jacka (już wiedział, że Jej-Gitarzystę pomylił z Jackiem i nie miał zamiaru tracić bezcennego czasu na jałowe dysputy z kulturystą). Kulturysta jeszcze na dobre nie ochłonął z osłupienia, gdy ponownie zobaczył Kapitana wychodzącego z hotelu. Za upokorzenie, jakiego doznał w ogrodzie, postanowił wziąć zemstę okrutną i natychmiastową, tym bardziej że Sylwia napomknęła coś o tym, iż znalazł się prawdziwy morderca (kogo, to już mniejsza z tym) i kazała pilnie uważać na Kapitana. Kto wie, czy tym mordercą jest właśnie Kapitan i czy Jej-Gitarzystą nie musi się ukrywać właśnie przez niego? Najlepszym uważaniem będzie całkowite unieszkodliwienie faceta, w ten sposób Kapitan nie popełni nowej zbrodni aż do chwili, kiedy wszystko się wyjaśni, a jednocześnie kultu-

rysta podreperuje swą nadszarpniętą reputację mister bicepsa. Dopiero niedaleko willi na ulicy Ceynowy wydawało się Kapitanowi, że zgubił Jacka. Szybko minął korty tenisowe i przeskakując od drzewa do drzewa, aby uniknąć światła latarni, dotarł w pobliżu okna pokoju Sylwii, ale ciągle znajdował się na ulicy, z tej strony ogrodzenia. Spróbował otworzyć furtkę, była zamknięta, więc cicho wskoczył na płot, wtedy zobaczył go kulturysta przykucnięty wśród żywopłotu po tamtej stronie siatki. Tu cię mam!

warknął. Złapał Turczyn Tatarzyna... powiedział Kapitan siedząc na płocie. Znowu chcesz w skórę? Kto tam? Sylwia wyjrzała przez okno. Jacek? To ja, Kapitan! rzucił Kapitan w stronę nie oświetlonego okna, gdzie tkwił błądy kontur jej sylwetki. Muszę koniecznie z panią porozmawiać. Proszę o chwilę czasu dla mnie! Nie, nigdy! z impetem zamknęła okno. Za to ja z tobą pogadam! syknął Jacek, skacząc w kierunku Kapitana, ale marynarz był szybszy. Trzeba tego osiłka stąd odciągnąć, pomyślał, kiedy znalazł się na ulicy. No, chodź! rzekł drwiąco. Zdaje się, że masz te bicepsy tylko od parady. Kulturystą zatrzęsło, sprężystym rzutem ciała przesadził siatkę i ruszył w pogoń za uciekającym szydercą. Teraz jednak skutki kaca dawały mu się wyraźnie odczuć i Kapitan nie miał specjalnych trudności z regulowaniem tempa ucieczki, tak aby rozwścieczony kulturysta miał go ciągle na oku. Minęli w ten sposób kilka uliczek i znowu znaleźli się w pobliżu willi, więc Kapitan skręcił w stronę kortów tenisowych.

(Tumidaj ma wątpliwości, czy to rzeczywiście powinien być Kapitan Żeglugi Wielkiej, może on powinien w tej scenie go zastąpić?). Kto wie, jak długo trwałaby ta gonitwa, gdyby w pewnym momencie Tumidaj (a jednak Tumidaj, nie wypada, żeby Kapitan się przewracał) się nie przewrócił. Jacek zważył się na niego, sapiąc jak lokomotywa.

Walczyli w milczeniu tarzając się po ziemi. Wreszcie podeszli do nich dwaj goryle, którzy zresztą cały czas obserwowali bacznie ich gonitwę. Znowu ten dziennikarz, po-

wiedział jeden z goryli, oświetlając ręczną latarką walczących. Nielicho rozrabia.

Zadkower tymczasem pocił się. Leżał na łóżku w swoim pokoju hotelowym, wpatrując się nieruchomymi oczami w jaskrawy blask żarówki nad jego głową, i pocił się coraz bardziej, chociaż nie miał na sobie nic więcej poza spodenkami w paski. Supergwiazda i Felix sami sobie napytali biedy, myślał z nienawiścią. Zawsze musiałem im się podlizywać, słuchać ich rozkazów, teraz mam okazję zrewanżować się. Wywiozę dziewczynę za ocean, zrobię z niej gwiazdę o światowej sławie i będę mocno trzymał kasę, nie popuszczę. Powinna przynosić co najmniej milion rocznego dochodu. I ten dziennikarzyna! Bezkarnie węszy od samego początku. Zobaczmy, jak teraz się z tego wywinie. Kulturysta na pewno wszystko od razu opowie milicji, w co go Sylwia wtajemniczyła. Żeby tylko uwierzył w te dwa morderstwa. Człowiek z jego mózgiem we wszystko uwierzy... Chyba że ona zechce poradzić się wpiery Jej-Gitarzysty?... Gdzie on się ukrywa?... Trzeba mieć się na baczności przed nim, bo to zdaje się trochę bystrzejszy chłopak od tego Jacka... W Ameryce Sylwia będzie należeć już tylko do mnie. Jak ślicznie wyglądała w tej altance, jak małe przestraszone zwierzątko... Co ze mną, do cholery! Nie będę prosił. Sama będzie czołgać się u moich stóp, niech no tylko uda mi się wyprowadzić w pole Supergwiazdę i Felixa, reszta to już pestka. Krople deszczu zabębniły o blaszany parapet, przerywając rytm jego myśli.

Wstał i podszedł do okna. Patrzył na plażę, na spokojnie szumiące morze. Dobrze, że pada i nie ma dużej fali, stwierdził z zadowoleniem. Żeby tylko nie zerwał się wiatr. Po chwili, ubrany już w wytworny ciemny garnitur, pachnący wodą kolońską (choć nadal czuł ten nieznośny pot zlewający mu ciało), zszedł do hotelowego baru, zamówił kieliszek koniaku, wdał się w pogawędkę z barmanem, wymienił kilka ukłonów, a potem udał się do szatni po papierosy. Idąc z powrotem, rozejrzał się uważ-

nie i gdy stwierdził, że w pobliżu nie ma nikogo, niepostrzeżenie wśliznął się do kabiny telefonicznej, szybko podniósł słuchawkę i wykręcił numer telefonu. Halo, Sylwia? spytał. Tak, usłyszał w słuchawce głos dziewczyny, to pan?

Wszystko ustalone. Przyjdzie dziś w nocy, rzucił szybko.

Punktualnie o dwunastej na plaży, tam gdzie spotykaliście się z Jej-Gitarzystą. Na plaży? zdziwiła się. Chodzi o dyskrecję, wyjaśnił piszczącym głosem. Tam będzie najlepiej.

Czekamy. Na plaży w taki deszcz? dziwiła się. Punktualnie o dwunastej, spojrzął na zegarek. Masz pół godziny czasu. Tylko, proszę cię, zachowaj ostrożność. Dlaczego? zaczęła znowu się dziwić, lecz Zadkower odłożył już słuchawkę. Oparł się plecami o drzwi kabiny, chwilę stał bez ruchu z przymkniętymi oczami, dysząc ciężko, wyjął chusteczkę i otarł zroszone potem czoło.

Na tym Tumidaj kończy przygotowania Zadkowera do morderstwa (gdyż umyślił sobie, że jeśli Sylwia nie zgodzi się z nim wyjechać, zabije ją, to będzie mord na tle erotycznym, Zadkower dopuszczał się już tych haniebnych czynów wielokrotnie i teraz też się nie oprze pokusie, gdy znajdzie się z Sylwią sam na sam na pustej plaży), czas, by wreszcie on sam wkroczył do akcji i uniemożliwić Zadkowerowi zrealizowanie zbrodniczych planów. Musi czym prędzej znaleźć się w Grand Hotelu i nie opuszczać zboczeńca ani na chwilę. Więcej — przychwycić go na gorącym uczynku i oddać w ręce sprawiedliwości. W tym celu Tumidaj musi się rozdziwić — na Tumidaja właściwego i Kapitana Żeglugi Wielkiej. Ale to nie jest takie łatwe, bo ciągle nie może się odczepić od kulturalisty Jacka. Uciekli gorylom pilnującym willi, ale prawie natychmiast natknęli się na radiowóz milicyjny. No, dlaczego się biliście? zapytał sierżant, dowódca radiowozu. (Okazuje się, że milicjanci też ich śledzili). Ja się nie biłem, zaprzeczył Tumidaj. Ani ja, zawtórował Jacek. Sierżant z wydatnym brzuchem i kilkoma podbródkami tkwił między nimi na tylnym siedzeniu samochodu jak miękka, elastyczna tama.

Oglądał ich dokumenty z miną wielce zde gustowaną. No, zwrócił się do Tumidaja, co to właściwie było? Biegaliśmy sobie, rzekł dziennikarz i nadal z niecierpliwością śledził ruchy jego tłustych palców, kartkujących teraz leniwie dowód osobisty Jacka. To widziałem, powiedział sierżant. Tylko pytam się po co? Odchudzaliśmy się, błysnął dowcipem kulturysta. Sierżant skierował na niego swe powolne, dociekliwe spojrzenie. Na pana miejscu nie radziłbym tego robić, rzekł flegmatycznie, straci pan formę.

Przesunął taksujące, zawodowe spojrzenie na Tumidaja.

A panu radzę na przyszłość wybierać sobie do bójki innych partnerów niż ten tutaj. Kiedyś gnaty panu połamią. Nikt się nie bił, dowcipkował Jacek. Sam pan widział, leżeliśmy tylko. Przymknij się pan wreszcie! ofuknął go milicjant siedzący obok kierowcy. Mały i drobny, był cały czas zwrócony twarzą w ich stronę, tak że właściwie ponad oparciem siedzenia widoczne były jedynie czapka i pół czoła. Wariata pan z kogoś robisz, he? Nie ma co się cackać, sierżancie, do pudła ich! Na festiwal przyjeżdża różny element, trzeba z nimi ostro, bo później sobie rady nie damy. Tumidaj próbował załagodzić sytuację: Chodzi o to, panie kapralu, że my tylko, niejako dla sportu, próbowaliśmy swoich sił. Być może z daleka rzeczywiście wyglądało to na bójkę. Już my wiemy, jak to wyglądało, milicjant groźnie podniósł głos. Nie potrzebuje pan nas uczyć. Wieziemy ich do pudła, co, sierżancie? Sierżant puścił to pytanie mimo uszu. Gdzie pan mieszka? zwrócił się do Tumidaja. Niedaleka stąd, odparł, w Grand Hotelu.

(Fee, nieładnie, Tumidaj, kłamać organom władzy, sam siebie skarcił w duchu, ale co miał począć? zresztą jego inne wcielenie, Kapitan, tam mieszkał, to go trochę usprawiedliwiało). Podwieziemy pana, rzekł sierżant. Czy to znaczy, że tylko ja jestem aresztowany? oburzył się Jacek. Taka sprawiedliwość? Powiedziałem, przymknij się pan! kapral wyciągnął gumową pałkę, bo jak zmacam tą laleczką po krzyżu! Kulturysta z pogardą spojrział na ma-

łego milicjanta wojowniczo wymachującego pałką, jak ołbrzym sterroryzowany przez dziecko. Myślałem, że porozmawiamy jak kulturalni ludzie, zapałał śmiesznie fałsetem.

Ja tu zaraz dam wam kulturę, milicjant zamierzył się pałką. Dobra, powstrzymał go sierżant, tego pana też odwieziemy. Gdzie pan mieszka? zwrócił się do Jacka. W Grand Hotelu, odparł Jacek bez zająknięcia już normalnym swoim głosem. Pochwycił zdumione spojrzenie Tumidaja i dodał: to znaczy chcę tam wynająć pokój, bo zakwaterowanie dla sportowców już mi się skończyło. Aha, domyślił się szybko kapral. Tylko bez żadnego picowania! Myślisz pan, że w czasie festiwalu każdy, kto ma na to ochotę, może tam zamieszkać? Pogroził mu pałką i patrzył wyczekująco na sierżanta, czy ma uderzyć kulturystę. Jeszcze jedno oszustwo i pójdziecie do mamra. Sierżant nadal zachowywał olimpijski spokój. No to jedźmy do hotelu sportowców, Ziutek! rozkazał kierowcy. Wolałbym wsiąść tutaj, rzekł Tumidaj. Jeżeli to panom, oczywiście, nie zrobi różnicy.

Pada coraz mocniej, bąknął kapral, schował już swój oręż i jakby nagle stracił na wojowniczości. Jak się mówi, że odwieziemy, to odwieziemy. Dziękuję bardzo, powiedział Tumidaj, wolałbym jednak wsiąść. Taki letni deszczyk dobrze mi zrobi na cerę, wyjaśnił nieufnie spoglądającemu kapralowi. No to proszę, sierżant wręczył mu legitymację dziennikarską, jak pan tak bardzo dba o cerę... Dobranoc panu. Cześć, Jacek! powiedział Tumidaj, wysiadając z samochodu. Jeżeli panowie pozwolą, chyba też się pożegnaj, kulturysta również próbował wsiąść z samochodu.

Chwileczkę, odwieziemy pana do hotelu sportowców, sierżant przytrzymał go za rękę. No, ruszaj, Ziutek, na co czekasz? zwrócił się do kierowcy. Samochód milicyjny z rozwścieczonym Jackiem odjechał, Tumidaj zaś, poganiany przez deszcz, pobiegł w kierunku willi (nie do hotelu, jak to powiedział milicjantom). Z daleka zobaczył, że we wszystkich oknach jest już ciemno. Nie zdążył nawet dobiec do furtki, kiedy dogonił go zdyszany Jacek. Puścili

mnie, nic z tego nie kapuję, powiedział i zaraz sobie przypomniał, po co właściwie biegnie obok Tumidaja. Dlaczego, do cholery, nie dasz spokoju tej dziewczynie?! wrzasnął. A dlaczego ty nie możesz się odczepić ode mnie?

Tumidaj przyspieszył kroku. Ona się ciebie boi, nie rozumiesz tego? mówił zdyszany kulturysta. Chcesz, żebym naprawdę ci gnaty połamał? Boi się? Tumidaj przystanął i popatrzył uważnie na Jacka. Zauważyłem, że mnie unika, ale dlaczego? Mówiła coś? Podobno znalazł się prawdziwy morderca, powiedział kulturysta i zaraz tego pożałował.

Słuchaj, ja nic nie wiem. Prosiła mnie tylko, żebym na ciebie uważał, więc zmiataj stąd, pókim dobry! Jasne? Frajer, mruknął Tumidaj. Ale z ciebie tęgi frajer! Teraz wiem, dlaczego Sylwia mnie unika i wcale bym się nie zdziwił, gdybym okazał się nagłe tym wymyślonym mordercą. Podskoczył do osłupiałego kulturysty i potrząsnął go silnie za ramiona. Chłopcze, czy w ogóle nie przyszło ci do głowy, że ją ktoś cholernie nabiera? Ja nic nie wiem, bąknął zmieszany mister bicepsa. To jest dziewczyna mojego kumpla, więc ja... Chodźmy do niej, rzekł Tumidaj, trzeba natychmiast wszystko wyjaśnić. Odwrócił się i ruszył pędem, nie zważając na strumienie wody lejącej się z nieba. Osłupiały kulturysta, chroniąc się jednak pod drzewami, biegł za nim ciężko. Furtka była zamknięta, w milczeniu przesadzili ogrodzenie i ciągle zachowując milczenie (żeby nie obudzić śpiących w korytarzu goryli), podkraśli się do willi, po dzikim winie wdrapali się do okna pokoju Sylwii.

Było tylko przymknięte, więc Tumidaj otworzył je lekkim pchnięciem. Sylwia! szepnął. Panowało głucho milczenie. Może śpi? Jacek zręcznie usadowił się na parapecie okna. Sylwia, śpisz? Ale i tym razem milczenie było jedyną odpowiedzią. Wejść do środka i zobacz, poradził Tumidaj. Kulturysta wszedł, po chwili z pokoju rozległ się jego tubalny głos: Nie ma jej! Na wieży pobliskiego kościoła (tak się zazwyczaj pisze w tego rodzaju dramach) zegar właśnie wybijał północ.

Sylwia boso, z kaloszami w rękę, przemoczona do suchej nitki, w białym płaszczu (by Zadkower mógł ją łatwiej zauważyć) brnęła mozolnie po rozmięklej plaży wśród prostopadłych strumieni ciepłego deszczu. Morze szumiało spokojnie pod nawisłymi, gęstymi chmurami (żeby tylko na jutro zrobiła się pogoda, pomyślała przez chwilę, żeby tylko deszcz nie padał podczas otwarcia festiwalu, bo uroczystość wypadnie nie tak okazale, jak zapowiadają), ciemność była niemal całkowita. Zatrzymała się dokładnie w tym samym miejscu, przy niewielkim cypelku wydm porośłym krzaczkami, gdzie spotykała się zawsze z Jej-Gitarzystą. Otulając się szczelniej płaszczem, usiadła na przygiętych gałązkach, starając się nie myśleć o czekającym ją spotkaniu. Ale daremnie próbowała przypomnieć sobie radosne chwile spędzane tutaj późnym wieczorem z Jej-Gitarzystą. Czuła jedynie przez płaszcz, przez dzinsy, w głowę uderzenia kropel deszczu — nic więcej; ani strachu, ani zimna, ani nadziei związanej z rychłym pochwytniem prawdziwego mordercy i oczyszczeniem z wszelkich podejrzeń jej chłopca. Po pewnym czasie usłyszała ciche pluśnięcie wody, a kiedy wstała i podeszła do brzegu, zobaczyła wynurzającą się z morza pochyloną postać. Gotowa do ucieczki, już w półobrocie, w ostatniej chwili w pochylonej sylwetce odcinającej się niewyraźnie na tle ciemnego morza poznała Zadkowera. Ciągle pochylony, wyszedł ostrożnie na brzeg, przesunął na czoło okulary do nurkowania i stojąc po kostki w wodzie, i dysząc ciężko rozglądał się po plaży. Przysłaniał sobie oczy dłonią, jak gdyby był dzień i świeciło ostro słońce. Jestem, powiedział zdyszonym głosem. Zrobił nieporadnie kilka kroków w jej kierunku i dopiero teraz zobaczyła, że ma do stóp przymocowane pletwy i że jest w tych swoich spodenkach w paski.

A świadek? spytała. Dysząc szybko patrzył na nią bez słowa.

Tu należy przerwać, aby wzmóc napięcie oczekiwania na dramatyczne wydarzenia, myśli Tumidaj (nie darmo na-

czytał się wiele kryminałów i teraz to procentuje w jego wyobraźni), i wrócić do willi jaśniejącej już w tej chwili pełnymi światłami. Wzięła kalosze, dzinsy i płaszcz, stwierdza Supergwiazda po szczegółowych oględzinach pokoju, gdzie była więziona Sylwia. Niemożliwe! Uciekła w taki deszcz? I to po nocy! Felix w zdenerwowaniu palił papierosa. A jak poleciała na milicję? mówi Goryl Pierwszy. Na milicję! woła omdlewająco Supergwiazda. Taki skandal pod koniec mojej kariery! Czyni pośpieszne zabiegi wokół niezbyt efektownego nocnego makijażu. Do pokoju wpada zablocony Goryl Drugi. W ogrodzie też jej nie ma, informuje, ani nigdzie. Może z kimś się umówiła? zadaje pytanie Felix i zaraz sam sobie odpowiada. To niemożliwe.

Przecież wiedziała, że jest pilnowana. Chyba trzeba będzie związać manatki i uciekać. To jedyne wyjście z sytuacji, mówi Goryl Pierwszy, ale trzeba najpierw sprawdzić, czy Zadkower na własną rękę nie zaczął działać. On to lubi.

Gdzie on jest? krzyczy Supergwiazda i dodaje załamującym się głosem: może już zgwałcił tę biedną dziewczynkę?

Może tak zrobił, mówi Goryl Drugi i wybiega z pokoju.

Udaje mu się zatrzymać jakiś przygodny samochód, który go zawozi do hotelu. Tutaj Goryl Drugi stwierdza, że w recepcji nie ma klucza od pokoju zajmowanego przez Zadkowera, biegnie na górę i puka do drzwi, ale cisza jest jedyną odpowiedzią, więc udaje się do baru, podchodzi do jednego z kelnerów, współpracującego z gorylami (takie podwójne zabezpieczenie, a właściwie potrójne, a może jeszcze wyższego stopnia? w każdym razie wszyscy wszystkich śledzą), zapytuje: Widziałeś go? Chyba jest pijany, mówi kelner, pokręcił się tu trochę, a potem jakby mu się zrobiło słabo, wyszedł na taras, kazałem uważać na niego chłopakowi. Przywołuje ruchem głowy swego pomocnika. No, co jest z tym facetem? pyta. Nie wiem, odpowiada chłopak, deszcz pada, ciemno, nic nie widać. Na tarasie go nie ma. Może poszedł się kąpać albo co? Zdawało mi się, że biegnie w stronę kabin, ale czort go wie! Świet-

nie, to wystarczy! chwali go Goryl Drugi. Wybiega. Nie wie jednak, że całej rozmowie, umiejętnie zamaskowany w tłumie kotłującym się przy barze, przysłuchiwał się Kapitan Żeglugi Wielkiej, postawiony tu na czatach przez Tumidaję. Odczekał, aż kelner i jego pomocnik znikną w drzwiach zaplecza kuchennego, wtedy ukradkiem wyszedł na taras przez przymknięte tylko drzwi i ruszył chyłkiem wzdłuż żywo płótu oddzielającego plażę od gmachu hotelu, a potem skoczył w ciemność, w stronę zabudowań Łazienek Północnych. Sprawdzał wszystkie kabiny, aż natknął się na nie zamkniętą na klucz. Wszedł do środka, zapalił zapałkę, w jej migotliwym blasku dostrzegł białą koszulę wiszącą na wieszaku, obok zaś ciemny garnitur. Dziwne to wszystko, pomyślał. Czyżby jeszcze jeden amator nocnej kąpieli?

No, co z tym świadkiem? dopytuje się niecierpliwie Sylwia. Zaskower wpatruje się w nią tymi swoimi nieruchomymi oczami gada. Nie przyjdzie, mówi wreszcie. Och!

Jęknęła, ale przecież mieliśmy uzgodnić... Właśnie, przerywa jej z powstrzymaną wściekłością, dobrze, że ja w ogóle jestem. Zdejmuje szybko płetwy i podbiega do niej na bosych stopach. Czy jesteś pewna, że nikt nie dowiedział się o naszym spotkaniu? Absolutnie, odpowiada Sylwia. A jednak coś go wystraszyło, rzekł rozglądając się.

Nie sądzisz chyba, że przestraszył się deszczu? chwyta ją w objęcia i przyciska mocno do siebie, nie zdążyła uczynić najmniejszego ruchu. No, mów, jazda! dyszy. Komu powiedziałaś o naszym spotkaniu? Ociekająca deszczem, przygnębiona, protestuje słabo: Dlaczego pan mi nie wierzy?

Naprawdę nikt nie wie. Uspokoił się wyraźnie. No to pocałuj mnie, brutalnie unosi dłonią jej brodę. Ale co z tym świadkiem? dopytuje się Sylwia, wykręcając twarz pod jego zwierającymi się coraz silniej palcami. Chodzi ci o Świadka Jehowy? chichocze ubawiony własnym dowcipem. Przemocą chce ją pocałować, ale przeszkadzają mu w tym sterczące na czole okulary do nurkowania. Zrywa

je i z pasją rzuca na ziemię. Nie! Nie! Proszę mnie puścić!
woła Sylwia, wpatrując się w Zadkovera z niedowierzaniem i z coraz większym strachem. Co pan sobie wyobraża?

Jak pan może wykorzystywać w ten sposób sytuację? Uspokój się! jego chichotliwy głos przechodzi w gardłowy, ochrypły szept. Jesteś głupią gęsią, jak wszystkie piosenkarki, ale już powinnaś zrozumieć, o co chodzi. Zrobię z ciebie Międzynarodową Gwiazdę, tylko musisz być posłuszna.

Rozumiesz? Przyniosłam ten pierścionek, chce go pan zobaczyć? mówi Sylwia z wątlą nadzieją, iż w ten sposób uda jej się wyzwolić z objęć Zadkovera. Gwiżdżę na twój pierścionek! chrypi przytrzymując ją mocno. Chcę tylko ciebie. Pragnę tego od chwili, gdy tylko cię zobaczyłem.

Cudowna jesteś! (Słowo „cudowna” musi koniecznie tu paść, gdyż używają go nagminnie estradowcy i ich otoczek). Proszę, niech pan przestanie się wygłupiać, mówi Sylwia, zbierając się na odwagę. I co właściwie stało się z tym świadkiem? Dlaczego nie przyszedł? Jeszcze nie rozumiesz, mała idiotko, że nie mógł przyjść. Zadkower pochyla się nad nią, mówi ledwo słyszalnie: Jeszcze tego nie rozumiesz? Sylwia podnosi głowę i nagle widzi ten dziwny, niespotykany wyraz w jego nieruchomych, przekrwionych oczach gada. Morderca! szepce struchłała. Zadkower śmieje się chichotliwie. Prawdopodobnie Jej-Gitarzysta zajmie na stałe miejsce w jakimś dobrze pilnowanym więzieniu. Szkoda, że nie będziesz mogła go stamtąd wyciągnąć. Sylwia szarpnęła się gwałtownie — jakimś cudem udało się jej wyrwać. Skoczyła w ciemność, w stronę wydm, ale po kilku krokach Zadkower dopadł ją. Szamotali się w ciemnościach, w strugach ciepłego deszczu i Sylwia znowu wyrwała mu się, pozostawiając w jego oslizłych, spocynych dłoniach zdarty z siebie płaszcz. Zanim jednak zdążyła krzyknąć, Zadkower już był przy niej, chichotał coraz głośniejsze, szaleńczo. Upadli na rozmiękły, grząski piasek. Sylwia walczyła jak dzikie zwierzę schwytane w sidła: gryzła, wbijała paznokcie w jego ciało (ob-

mierze, rzecz jasna), ale w końcu ręce zboczeńca dosięgły jej szyi. Traciła przytomność. Nagle ten jego chichot urwał się. Ktoś cicho i szybko skoczył Zadkowerowi na plecy. To był Jej-Gitarzysta. Zadkower walczył jak dziewczyna: drapał, gryzł, kopał. W pewnym momencie udało mu się nawet poderwać z ziemi i uciec parę kroków, ale Jej-Gitarzysta łatwo dogonił go i powalił. Zadkower znów się podniósł i jeszcze raz został powalony ciosem w szczękę (dla żądnych sadystycznych rozkoszy — Jej-Gitarzysta demoluje Zadkowera doszczętnie, więc pociągnijmy ten opis jeszcze trochę). Teraz Zadkower chwycił Jej-Gitarzystę za nogę i wpił się zębami w jego łydkę. Jej-Gitarzysta jednak uwolnił się potężnym kopniakiem specjalnego, big-beatowego buta, a kiedy pochylił się nad niedoszłym mordercą, chcąc go obezwładnić, ten sychnął mu garścią piasku w oczy i zerwał się do ucieczki. Wtedy niespodziewanie zjawił się Jacek, Jej-Gitarzysta też już odzyskał wzrok, osaczyli Zadkowera pośrodku plaży. Goły, tylko w spodenkach w paski, obracał się bezradnie, widząc zbliżających się powoli dwóch osiłków żądnych okrutnej zemsty. Rozpłakał się i zaczął błagać o litość. Teraz (tak samo niespodziewanie jak Jacek) zjawił się Kapitan Żeglugi Wielkiej, zbliżył się do Zadkowera i nie bez satysfakcji wypowiedział sakramentalną formułkę: „W imieniu prawa aresztuję pana”. Wnet zjawił się Tumidaj. I to dla zaskoczenia (a także odcięcia drogi ucieczki Zadkowerowi) od strony morza. Właśnie wiosłując zawzięcie dobijał kajakiem do brzegu, a potem skoczył do siedzącej na plaży Sylwii. Dziewczyna uśmiechnęła się blade. Przepraszam, szepnęła, ja myślałam... Tumidaj ruchem ręki nie pozwolił jej dalej mówić. Trzeci raz się spóźniłeś, powiedział Zadkower, jakby odgadując jego myśli. Ciągłe przychodzisz za późno. Sylwia wstała, podtrzymywana przez Jej-Gitarzystę. Jacek podniósł z ziemi płaszcz i okrył dziewczynę. Szła z pochyloną głową. Jej-Gitarzysta i Jacek czujnie jej asystowali. Zadkower drżał cały jak w febrze i chichotał ci-

cho, tylko te jego czerwone, nieruchome oczy gada objęły uważnie Sylwię, gdy Jej-Gitarzysta wziął ją na ręce i niósł jak dziecko. Dlaczego on to zrobił? mruknął Kapitan, obserwując bacznie Zadkowera. A właściwie co on chciał zrobić? Tumidaj nie odpowiedział, popatrzył w niebo, przestało już padać, tu i ówdzie nawet pokazały się gwiazdy. Jutro znowu na plaży będzie tłum ludzi, pomyślał. Zapowiada się ładna pogoda. Szli dalej w milczeniu — Zadkower przed nimi, Kapitan w narzuconym na ramiona nieprzemakalnym płaszczu przy Tumidaju, w kąpielówkach tylko i z wiosłem w rękę, wyglądał dosyć okazale, lecz Tumidaj nie miał z tego powodu żadnych kompleksów, wiedział bowiem i miał zamiar wtajemniczyć w to wielu ludzi, że Kapitan Żeglugi Wielkiej to alter ego Tumidaja, który już dalej łatwo rozprawi się z resztą szajki Zadkowera. Sylwia natomiast, szczęśliwa z odzyskania ukochanego chłopca, wyjedzie z nim w ustronne miejsce, z dala od ludzi i od tej swoistej giełdy piosenkarskiej, która obojgu zakonchanym nie przyniosła szczęścia.

Stało się jednak inaczej. Wiadomość podana na konferencji prasowej, tuż przed rozpoczęciem Festiwalu, obiegła błyskawicznie całe miasto — Sylwia wystąpi! Tłum oszalał z radości, ucieszony Przedstawiciel Organizatorów zakomunikował oficjalnie, iż Sylwia nie brała udziału w ostatnich próbach z powodu śmierci swej babki, musiała pojechać na pogrzeb, ale już wróciła i wszystko jest w porządku.

Tumidaj nie wierzył. Uznał to za jeszcze jedną kaczkę organizatorów, w tym przekonaniu zajął swoje miejsce w amfiteatrze pośród innych dziennikarzy, spokojnie przysłuchiwał się i przyglądał popisom artystów inauguracyjnego koncertu Festiwalu, aż do momentu, kiedy rzeczywiście na scenie pojawiła się Sylwia i za chwilę (gdy zebrała już odpowiednią porcję oklasków) jej gitarzyści.

Tak, było ich dwóch. Ten drugi — to kulturysta Jacek. Ona smukła i drobna i dwóch osiłek dwumetrowych

w roli jej gitarzystów! Co jej się może stać przy takiej ochronie? myślał załamany Tumidaj. Poradziliby sobie z całym pułkiem Zadkowerów. Trzeba było wynaleźć im goźniejszego przeciwnika. — Nie wierzę w tę bajeczkę o babci — powiedział szepną Zadkower siedzący obok niego (czyli sprawozdawca festiwalowy Zadkowski, zwany popularnie Zadkowerem). — Wygląda to na kiepski chwyt reklamowy.

Tumidaj spojrział na swego sąsiada, jego czerwone, nieuchome oczy gada wpatrywały się z natężeniem w Sylwię, która właśnie zaczęła śpiewać. W sukni ze złotej lamy (umiejętnie dobranej pod kolor włosów), opinającej ciasno jej kształną kibić, lekko porusza się na scenie (taka piosenkarska „potańcówka” do piosenki), potem ujmując w dłonie mikrofon i śpiewa niskim, ciepłym głosem, jej gitarzyści brzdąkają na gitarach, po odśpiewaniu, odegraniu i odtańczeniu piosenki tłum szaleje z zachwytu — i to wszystko. Tyle tylko Tumidaj może umieścić w swym sprawozdaniu festiwalowym o Sylwii, najwyżej jeszcze parę ciepłych przymiotników — i to już naprawdę wszystko. Kilka banalnych sprawozdań, jakich setki pojawiają się co roku w prasie, a przecież nie po to tutaj przyjechał, aby wypisywać jota w jotę to samo, co inni dziennikarze robią od lat. Chce od razu uderzyć mocno. Liczył, że tajemnicze zniknięcie Sylwii i jego mozolne poszukiwania dostarczą mu odpowiedniego materiału do szlagieru sezonu. Nic z tego. Banalne sytuacje mają banalne rozwiązania. Sylwia nie zniknęła, wyjechała tylko z Sopotu na kilka dni w sprawach rodzinnych (jak to się mówi), więc żaden szlagier, nie ma sensacji, wszystko po staremu, chyba że napisałby powieść, co go tu spotkało i co sobie myślał o zniknięciu początkującej gwiazdki estrady. Mogłaby zaczynać się tak:

„Zawsze fascynowało mnie to ogromne zainteresowanie festiwalem piosenki w Sopocie...”